

e-terroryzm.pl



WYZWANIA

TERRORYZM

DONIESIENIA

ZAGROŻENIA

BEZPIECZEŃSTWO

SPRAWOZDANIA

DYLEMATY

OCHRONA

ANALIZY

Tunezja. Byłem tam

str. 6

str. 36

Rozmowa z generałem
Gromosławem Czempińskim

Szahidki – terrorystki, morderczynie?

str. 14

str. 58

Rozmowa z Peterem Zwi Malkinem,
agentem Mossadu, który schwytał Adolfa Eichmanna

Proza życia, proza wojny

str. 24

str. 65

Rozmowa z Leszkiem Erenfeichtem,
ekspertem w zakresie broni strzeleckiej

Terroryzm	str.
○ Tunezja. Byłem tam..... J. CIEĆKIEWICZ	6
○ 26 czerwca 2015..... K. PIETRASIK	12
○ Szahidki – terrorystki, morderczynie?..... M. ZIMNY	14
Konflikty	
○ Proza życia, proza wojny..... W. KOŹMIC	24
Analiza	
○ Arctic Canada military involvement. Part 1..... M. HOŁUB	29
Rozmowa	
○ Z generałem Gromosławem Czempińskim rozmawia Mariusz Łaciński.....	36
○ Z Peterem Zwi Malkinem rozmawiał Krzysztof Mroczkowski.....	58
○ Z Leszkiem Erenfeichtem rozmawiał Mariusz Łaciński.....	65
Publicystyka	
○ Polskie fatum..... A. ZARĘBA	42
Historia	
○ Kresy śmierci..... K. KUBIAK	49
○ Cichociemny „Wiking” – życiorys niepokorny..... K. MROCZKOWSKI	53
Uzbrojenie	
○ Kałaszk – produkt pierwszej potrzeby..... M. ŁACIŃSKI	75
○ Pistolet maszynowy Ingram M10..... T. MAŁYSA	83
Sprawozdania	
○ Zawody w strzelaniu specjalnym.....	87
○ Trzeci piknik rodzinny dedykowany pamięci generała Sławomira Petelickiego.....	89
○ Stowarzyszenie Studenci dla Rzeczypospolitej.....	91
○ VI Beskidzki Rajd 1. Pułku Strzelców Podhalańskich AK.....	93
○ Obchody 100 - lecia Bitwy pod Gorlicami.....	95
Zapomniane miejsca naszej chwały	
○ Szara iglica ze Skarżyska-Kamiennej..... K. KUBIAK	102
Warto poznać	
○ Tajne wojny służb specjalnych II RP... ..	104
○ Europejska wspólnota wywiadowcza... ..	106
Felieton	
○ Sposób na życie.....	108

Redakcja:

Przemysław Bacik
 Hanna Ismahilova
 Jacek Kowalski
 dr Kazimierz Kraj
 Tobiasz Małysa
 Natalia Noga
 Kamil Pietrasik
 Piotr Podlasek
 Anna Rejman
 dr Jan Swół
 Bernadetta Stachura-Terlecka
 Robert Witak
 Ewa Wolska-Liśkiewicz
 Anna Wójcik

Skład techniczny: Tobiasz Małysa
Administrator www: Bernadetta Stachura-Terlecka

Kontakt:

- Poczta redakcji biuletynu:
redakcja@e-terroryzm.pl
- Strona internetowa biuletynu:
www.e-terroryzm.pl
- Instytut Studiów nad Terroryzmem:
www.terroryzm.rzeszow.pl
- Wyższa Szkoła Informatyki i Zarządzania:
www.wsiz.rzeszow.pl

Wyższa Szkoła Informatyki i Zarządzania w Rzeszowie,
 ul. Sucharskiego 2, 32-225 Rzeszów

Publikacja jest bezpłatna, a zespół redakcyjny oraz Autorzy nie odnoszą z niej korzyści materialnych. Publikowane teksty stanowią własność Autorów, a prezentowane poglądy nie są oficjalnymi stanowiskami Instytutu Studiów nad Terroryzmem oraz Wyższej Szkoły Informatyki i Zarządzania.

Artykuły poruszane w czasopiśmie służą celom edukacyjnym oraz badawczym. Redakcja nie ponosi odpowiedzialności za inne ich wykorzystanie.

Zespół redakcyjny tworzą pracownicy Katedry Bezpieczeństwa Wewnętrznego i Instytutu Studiów nad Terroryzmem Wyższej Szkoły Informatyki i Zarządzania w Rzeszowie oraz skupieni wokół tych jednostek znawcy i entuzjaści problematyki.

Szanowni Czytelnicy!

Pragnę na wstępie przeprosić Drogich Czytelników za poślizg w redagowaniu numeru czerwcowego. Ale czasem dłuższe oczekiwanie wzmagą apetyt, w tym wypadku intelektualny. Myślę, że się Państwo nie zawiedziecie. Numer jest obszerny, liczy ponad sto stron. Zamieszczone teksty, ich jakość oraz waga poruszanych zagadnień jest nie do przecenienia.

Zaczynamy od terroryzmu. Kalendarium, Na muszce i już pierwszy obszerny i ważny zdaniem redakcji tekst red. Jakuba Ciećkiewicza o wydarzeniach w Tunezji. Następnie można by rzecz uchwycone w kadrze, na gorąco komentarz powracającego na nasze łamy Kamila Pietrasika. I co widzimy dalej artykuł mjr. dr inż. Macieja Zimnego znawcy terroryzmu samobójczego, żołnierza GROM i jednostek specjalnych Wojska Polskiego.

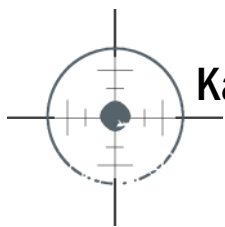
Od terroryzmu przechodzimy do konfliktu na Ukrainie widzianego oczami znawcy, bywalca na terenach przyfrontowych naszego autora Wojciecha Koźmicka i zarazem utalentowanego fotografa. W ramach ćwiczenia języka angielskiego zapraszam do lektury artykułu Michała Hołuba i roli Kanady w Arktyce. Po tym „zimnym” artykule wywiad niezawodnego Mariusza Łacińskiego z generałem Gromosławem Czempińskim. Dalej Z dystansu Tobiasza Małysy i już czytamy o polskim fatum opisanym piórem Rotmistrza Zaręby. Profesor Krzysztof Kubiak w swoim artykule prezentuje problematykę Kresów Wschodnich omawiając książkę Mikołaja Iwanowa. Kontynu-

ując rozważania historyczne poznajemy niezwykle życiorys cichociemnego majora Teodora Cetysa autorstwa Krzysztofa Mroczkowskiego. A po wspominkach o cichociemnym rozmowa z Peterem Malkinem, który uczestniczył w porwaniu z Argentyny Adolfa Eichmanna. I ponownie Mariusz Łaciński dzięki któremu poznamy Leszka Erenfeichta eksperta o broni palnej oraz dowiemy się prawie wszystko automacie Kałasznikowa – karabinie szturmowym legendzie, produkcie pierwszej potrzeby np. dla terrorystów. Wtórkuje mu Tobiasz Małysa pisząc o kompaktowej broni do zadań specjalnych M10. Dalej kilka sprawozdań z ciekawych imprez oraz informacja o działalności stowarzyszenia Studenci dla Rzeczypospolitej. I ponownie historia, relacja z obchodów stulecia bitwy pod Gorlicami autorstwa Przemysława Bacika. Krótka relacja z pobytu studentów Koła Naukowego Bezpieczeństwa narodowego UJ w JW GROM.

I wreszcie zbliżamy się do końca, poznając kolejne karty naszej chwały opisane piórem Krzysztofa Kubiaka. Na zakończenie jak zwykle recenzje, tym razem dwóch książek oraz felieton niezawodnego Starszego dzielnicowego.

Kolejny numer miesięcznika będzie numerem podwójnym, który jak mam nadzieję Państwa zainteresuje.

 **Za zespół**
Kazimierz Kraj



- 2015.06.26. Tunezja:** 28 osób zginęło, a 36 zostało rannych po tym jak uzbrojony mężczyzna otworzył ogień do gości hotelowych na plaży w mieście Susa.
- 2015.06.26. Kuwejt:** 5 osób zginęło, a ponad 200 zostało rannych w wyniku zamachu samobójczego na szyicki meczet w Kuwejcie.
- 2015.06.26. Francja:** W pobliżu Lyonu w wyniku ataku terrorystów zginęła 1 osoba, której odcięto głowę. Zamachu dokonał 35-letni Yassine Salhi.
- 2015.06.22. Afganistan:** W wyniku wybuchu bomby podłożonej przy drodze w prowincji Helmand na południu Afganistanu zginęło co najmniej 14 osób.
- 2015.06.22. Afganistan:** Zamachowiec samobójca wysadził się w pobliżu afgańskiego parlamentu w Kabulu. Kilku nieznanym napastników ostrzelało również jego gmach. Zginęło 6 talibskich napastników, rannych zostało 18 osób.
- 2015.06.18. USA:** 9 osób zginęło a kilkanaście zostało rannych w wyniku strzelaniny w kościele. Ataku dokonał 21 letni biały mężczyzna.
- 2015.06.15. Czad:** 23 osoby zginęły, a ponad 100 zostało rannych w wyniku zamachów samobójczych w mieście Ndżamena. Ataku dokonała organizacja Boko Haram.
- 2015.06.13. Irak:** W serii zamachów samobójczych w Bajdzi, na północ od Bagdadu zginęło 11 funkcjonariuszy irackich sił bezpieczeństwa. Sprawcami ataków są bojownicy IS.
- 2015.06.07. Nigeria:** W wyniku wybuchu bomby na targu bydła w stanie Borno zginęło 16 osób.
- 2015.06.05. Nigeria:** Co najmniej 31 osób zginęło, a 38 zostało rannych w wyniku zamachów samobójczych na targu w mieście Yola. Zamachów dokonało dwóch napastników, prawdopodobnie z Boko Haram.
- 2015.06.03. Egipt:** Dwóch policjantów pilnujących piramid w Gizie zastrzelili nieznanymi sprawcy, którzy uciekli na motocyklach.
- 2015.06.01. Irak:** W wyniku wybuchu dwóch samochodów-pułapek w pobliżu Samarry zginęło 37 osób a około 40 zostało rannych. Zamach zorganizowali dżihadyści z IS.
- 2015.05.29. Irak:** W wyniku eksplozji dwóch samochodów-pułapek w pobliżu hoteli w centrum Bagdadu, zginęło 10 osób, a około 30 rannych.

 **Marco Szczepanik**

Islamski Ruch Uzbekistanu

Islamski Ruch Uzbekistanu powstał siedemnaście lat temu w Afganistanie. Jego anglojęzyczna nazwa brzmi Islamic Movement of Uzbekistan. Dwójkę jego założycieli stanowili: Tahir Abdullachalilowicz Juldaszew Dżuma Namangani Twórcy IRU ogłosili dżihad przeciwko reżimowi politycznemu prezydenta Islama Karimowa, który po zamachach z 1997 roku podjął represyjne działania wobec fundamentalistów. Przywódcą religijnym Ruchu został Saudyjczyk Zubajr bin Abd ar Rahman. Celem IRU były wg Tahira Juldaszewa walka z uciskiem władz, korupcją i nierównościami. Ponadto uwolnienie z więzień braci – muzułmanów, stworzenie religijnego ustroju i rządu oraz prawa szariatatu. Kolejne lata nie zahamowały działalności Ruchu. IRU przekształciła się organizację międzynarodową. Kierownictwo ruchu przebywa w Waziristanie. Organizacja operuje wzdłuż granicy z Afganistanem, głównie północnej jego części. Pozycję Ruchu wzmacnia współpraca z talibami, Al. – Kaidą oraz klanem Haqqanich, który jest powiązany z pakistańskim wywiadem wojskowym ISI.



**KONFLIKT NA WSCHODNIEJ UKRAINIE:**

	zabici	ranni
do 3 VII br.	6 764	16 877
do 14 V br.	6 334	15 752

od IV 2014 Źródło: www.unocha.org

KRYZYS MIGRACYJNY NA MORZU ŚRÓDZIEMNYM:

napływ uchodźców do Europy

do 30 VI br.	137 000
do 31 V br.	90 000

od I 2015 Źródło: UNHCR.org

WOJNA DOMOWA W SYRII:

	zabici
do 8 VI br.	230 618
do 14 IV br.	220 271

od 18 III 2011 Źródło: The Syrian Observatory for Human Rights, syriahr.com

KONFLIKT IZRAELSKO-PALESTYŃSKI:

	zabici	ranni
w V 2015	1 0	271 11
w IV 2015	5 1	223 12

■ palestyńczycy ■ izraelczycy Źródło: www.unocha.org

EPIDEMIA MERS W KOREI PŁD:

	zachorowania	zgony
do 17 VII br.	186	36
do 18 VI br.	165	23

od V 2015 Źródło: <http://mers.go.kr>

EPIDEMIA GORĄCZKI KRWOTOCZNEJ EBOLA:

	zachorowania	zgony
do 17 VII br.	27 652	11 264
do 2 VI br.	27 145	11 147

od III 2014 Źródło: <http://who.int>



Tunezja.

Byłem tam

Piątek. 26 czerwca. Godzina 11.30. Atak.

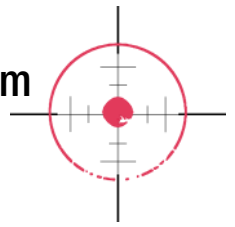
Kiedy 23-letni Seifeddine Rezgui, student wydziału inżynierii na uniwersytecie w Kairuan, wyszedł na plażę przed hotelem Imperial Marhaba, uzbrojony w karabin kałasznikowa, 3 magazynki i dwa granaty, piliśmy wino w winnicy Domaine Neferis. Na początek Selian White, z wyraźną nutą gruszki, akacji i odrobiną dębu. Świeże, delikatne, aromatyczne – wspaniałe na lato. Do wina podano oliwę z kawałkami pachnącej bagietki.

Menedżerka winnicy Samia Benali opowiadała o tunezyjskim winiarstwie, które zaczęło się w Kartaginie, rozkwitło w czasach rzymskich, upadło po najeździe Arabów, ale ponownie odżyło za protektoratu, m.in. właśnie w Domaine Neferis, gdzie w 1886 roku francuska rodzina zbudowała pałac i winnicę liczącą 3 tys. hektarów.

Gdy do kieliszków płynęło Cuvee Magnifique o intensywnym aromacie powideł, a historia winiarstwa dobiegała bolesnych lat 60., kiedy winnice upadały po nacjonalizacji, ktoś zapytał, czy Samia, propagując alkohol w kraju muzułmańskim, nie spotyka się z ostracyzmem.

– Kilka osób mnie krytkowało, ale tu jest przecież Tunezja! – odpowiedziała. – Tu kobiety wywalczyły prawa obywatelskie w latach 50: prawo do rozvodu, samotnego wychowania dzieci, podróżowania, aborcji, posiadania konta bankowego, prowadzenia firmy. Tych praw nigdy nie oddamy – dodała z uśmiechem, który współgrał z napisem na jej podkoszulku: „Why not?”. – Gdyby tu przyszli islamiści, musieliby stoczyć z nami wojnę! – żartowała.

W tym samym czasie 23-letni Seifeddine Rezgui wyjął karabin kałasznikowa, ukryty w parasolu plażowym, i rozpoczął jatkę wśród turystów. – Usłyszeliśmy



Tunezja. Byłem tam

huki – wspomina Anna Sowińska z Ciechanowa. – Powiedziałam do męża, popatrz, nowa atrakcja, fajerwerki. Po chwili wszyscy rzucili się do ucieczki, słyszałam pisk, krzyk i płacz dzieci. Ktoś się przewrócił, ktoś inny niósł na rękach starszą kobietę. Wszyscy krzyczeli – Terrorysty!

Gdy padły pierwsze strzały, obsługa hotelu Imperial Marhaba próbowała stworzyć żywy mur, aby osłonić turystów. 18-letni Ibrahim el Ghoul, który na co dzień zajmuje się wypożyczaniem wodnych skuterów, objął dłońmi czworo Anglików i odwracając się do zamachowca plecami, krzyknął: „Allah Akbar”. W ten sposób ocalił im życie. Kelnerzy rzucali do zamachowca krzesłami i doniczkami.

Tymczasem student Rezgui, nieustannie strzelając, szedł w kierunku basenu, recepcji, lobby, dotarł na drugie piętro, gdzie zdetonował granaty i po wystrzeleniu 3 magazynków naboju, zabiciu 38 osób i ranieniu 36, wyszedł na zewnątrz budynku. Policjanci zabili go, kiedy się modlił za hotelem.

Radiowy komunikat o ataku przerwał degustację wina w Domaine Neferis. Samia Benali skrzywiła się i szybkim ruchem wylała wino na beton. Szliśmy bez słowa wzdłuż taśmy produkcyjnej, przy której kilkanaście zaszokowanych kobiet w hidżabach, naklejało nalepki na butelki. Gdyby w Tunezji zapanował islamizm, straciłyby wszystko: pracę, pozycję, z trudem wywalczone prawa, cofnęłyby się w czasie o pokolenia.

**Poniedziałek. 22 czerwca. Godzina 9.00
(cztery dni przed atakiem)**

Jadę tam.

Podróż prasowa, zorganizowana przez Tunezyjski Urząd ds. Turystyki, była jednym z ostatnich akcentów kampanii „Jadę tam”, prowadzonej w mediach po marcowym ataku islamistów na muzeum Bardo. We Francji jej twarzami zostali Claudia Cardinale i Juliette Greco, w Polsce Robert Makłowicz i aktorka Joanna Jabłczyńska. Po celebrytach zaproszono dziennikarzy, żeby pokazali piękną, bezpieczną Tunezję.

Tunis powitał ich ospałą aurą ramadanu. Opustoszały Tunisia Palace przypominał czasy, kiedy mieszkał w nim Karol Szymanowski: mosiadz, drewno, ciężkie kotary, dyskretna obsługa w ciemnych garniturach. Kompozytor pisał do przyjaciół „tu jest wprost cudownie”, „bajecznie tu, pięknie”. Zachwycał się śpiewem muezinów o zachodzie słońca, pieśniami i tańcami na koniec ramadanu. W natchnieniu skomponował utwór: „Pieśni muezina szalonego”.

Na zewnątrz już bardziej współcześnie. Pustawą, główną aleję Tunisu - Avenue Habib Burgiba - wypełniają zasieki z drutu kolczastego. Budynek Ministerstwa Spraw Wewnętrznych strzegą czołg i opancerzony transporter. Dookoła stoją uzbrojeni żołnierze, których nie wolno fotografować. Po drugiej stronie ulicy urządzono wystawę demonstrującą sprawność armii, która po przeprowadzeniu lustracji, reorganizacji i rozbudowie wywiadu, zaczęła odnosić sukcesy. Aresztowała 100 islami-



Plaża Port El Kantaoui, niedaleko miejsca zamachu.

Fot. T. Hisgett

stów, odkryła skład broni i amunicji w znanym z „Gwiezdných Wojen” miasteczku Tatoonie, przeprowadziła operację antyterrorystyczną na południu, gdzie zabiła co najmniej dziewięciu islamistów, w tym dowódcę, który organizował zamach na muzeum Bardo. Na wystawę (czynną także w nocy) wchodzi się przez bramkę z wykrywaczem metalu. Piszczący brzęczyk symbolizuje czujność służb.

Poniedziałek. 22 czerwca. Godzina 15.00. Chleb czy demokracja?

Kawałek dalej, pod zegarem na Placu 14 stycznia 2011, mężczyzna w średnim wieku pokazuje przechodniom kolorowy portret obalonego dyktatora Ben Alego – *Za jego czasów było lepiej* – wymachuje dłonią. - *Nikt nie cierpiał biedy, była praca, a ekstremistów trzymano za mordę!*

Tak może dzisiaj myśleć więcej osób... W 2008 roku Organizacja Współpracy Gospodarczej i Rozwoju uznała Tunezję za najbardziej konkurencyjne państwo w Afryce, wzorcowy kraj, wyznaczający kierunek przemian w tej części świata. Wzrost gospodarczy sięgał 5 procent rocznie, inflacja wynosiła 5 procent, rząd dopłacał do podstawowych artykułów spożywczych, dawał zatrudnienie, gwarantował bezpłatną edukację i leczenie. Ludzie żyli normalnie, spokojnie, a islamisci siedzieli w więzieniach.

W 2008 roku przyszedł jednak kryzys. Dochody z turystyki spadły, żywność podrożała, rynek zalały chińskie produkty. Młodzi, dobrze wykształceni ludzie, świetnie posługujący się internetem - zostali bez pracy. Nie mieli przed sobą żadnych perspektyw, więc obalili dyktaturę. Skończył się stary czas klanu Ben Alego, zegar na placu 14 stycznia 2011 zaczął odmierzać godziny Jaśminowej Rewolucji.

Cały świat zapamiętał samobójstwo Mohameda Bouazizi, sprzedawcy warzyw, który podpalił się 17 grudnia 2010 roku na rynku w miasteczku Sidi Bu Zajd. Bouazizi pracował nielegalnie jako uliczny handlarz, usiłował wyżywić matkę i sześcioro rodzeństwa. Policjanci wielokrotnie konfiskowali mu wózek z towarami, wysypywali owoce do rynsztoka, bo nie był w stanie zapłacić łapówek. Zanim się podpalił, został poniżony przez patrol policji - spoliczkowany i opluty. Jego rozpaczliwy gest wywołał zamieszki, które zmusiły do ucieczki szefa państwa i obaliły Mubaraką w Egipcie.

Tunezja. Byłem tam

Skąd się wzięli w Tunezji islamisci? Częściowo z importu, częściowo, jako niechciany spadek po autokracji. Ruch

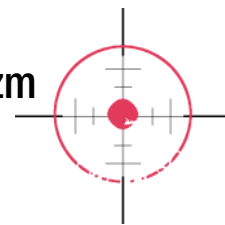


Tendencji Islamskiej (Ennahada) był skutecznie zwalczany przez władze Tunezji jeszcze czterdzieści lat temu, w czasach Ojca Niepodległości Habiba Burgiby, a jego następcą - Ben Ali, trzymał salafitów w więzieniach. Sympatycy ruchu emigrowali lub siedzieli. Ukrywający się aktywiści pozyskiwali zwolenników na prowincji, gdzie prowadzili działalność dobroczynną, pomagali potrzebującym, wspierali budowę szkół, wypełniając luki w systemie pomocy. Tak budowali zaplecze.

Kim był, z jakich pobudek działał i czego się spodziewał 23-letni siewca śmierci z Susy, Seifeddine Rezgui?

Studiował lotnictwo na uniwersytecie w Kairuan. Pilnie się uczył. Nie nosił brody, tańczył breakdance, był fanem rapu i Realu Madryt. Pozornie w niczym nie przypominał Bouaziziego. - *Byliśmy w szoku, gdy usłyszeliśmy wiadomości. Jego matka jest zdruzgotana - powiedział wuj zamachowca.*

Podobno Państwo Islamskie wciągnęło go w orbitę swoich wpływów zaledwie kilka miesięcy temu. Ostatni wpis na Facebooku zamieścił w Nowy Rok: „Niech Bóg zabierze mnie z tego niesprawiedliwego świata i sprawi, że jego mieszkańcy będą cierpieć i zginąć. Oni pamiętają o tobie tylko w chwili śmierci”. Podobno obiecano mu, za udział w zamachu, dom dla rodziny i samochód. Podobno był szkolony zaledwie kilka dni w ośrodku organizacji terrorystycznej Ansar al-Sharia. Pewne jest jedno: Seifeddine Rezgui także chciał zmienić świat. Przyszłość pokaże, czy mu się udało. Profesor Mohamed Ali Ben Zina, prodziekan [Wydziału Studiów Humanistycznych i Społecznych uniwersytetu](#) w Tunisie, który przeprowadził badania wśród młodzieży powtarza - *Dla młodych ludzi w Tunezji nie zrobiono nic, młodzi bezrobotni, którzy wywołali rewolucję, czują się oszukani, więc wybuchy niezadowolenia będą się ponawiać.*



Tunezja. Byłem tam

Wtorek, 23 czerwca.
(Trzy dni przed zamachem.)
Normalność medyny.

Jamel Ben Saiddane, znany powszechnie w sieci jako „WildTunis”, jest największym blogerem medyny. Zna tutaj każdy kamień. – *Medyna to 100 tysięcy ludzi, artyści, profesorzy, biznesmeni. 15 tysięcy domów, 500 pałaców, medres i meczetów. Trzeba je tylko umieć znaleźć* – opowiada rozgorączkowany. – *Spójrzcie na tę kolumnę - dotyka kawałka kamienia - Pochodzi z VIII wieku. - A tu, uniwersytet sprzed 1300 lat! Zabytki imponują. Imponuje spotkanie po drodze architekt - Zouber Mouhli – z Towarzystwa Ochrony Medyny, który wyprowadził całą miejscową biedotę do nowego osiedla i odrestaurował 30 wspaniałych pałaców. A mieszkać potrafi tylko tu, bo na medynie panuje niesamowita atmosfera.*

Tunezyjczycy pasjonują się historią, szczytą tradycją, akcentują odmiennosc: – *Jesteśmy wnukami Hanibala, orłami Kartaginy* – powtarzają z dumą. – *Zbudowaliśmy Kair i słynny arabski uniwersytet Al-Azhar. I rzeczywiście. Badania DNA udowodniły, że mają w sobie tylko 20 procent genów z Bliskiego Wschodu. Reszta to spadek po Berberach, Fenicjanach, Rzymianach, Wandalach, Arabach, Turkach, hiszpańskich Maurach, Żydach i mieszkańcach Afryki.*

Wieczorem, po uroczystej kolacji Iftar, medynę wypełniają tysiące młodych ludzi. Na scenie w kawiarni M'rabet występują wieloosobowe zespoły muzyczne. Śpiewają pieśni religijne, grają na bębnach, uprawiają rap. Pałają fajki wodne, klaszczą, tańczą. Tak wygląda normalna Tunezja. Trudno się dziwić Szymanowskiemu.

Środa, 24 czerwca.
(Dwa dni przed zamachem)
Strzały w Bardo.

Muzeum, gdzie zgromadzono zabytki Kartaginy i rzymskie mozaiki, po zamachach 18 marca ogląda się inaczej. Przed wjazdem na parking stoi szlaban. Przy wejściu, które przypomina boarding na lotnisku, wisi tablica upamiętniająca nazwiska 17 zamordowanych turystów, w tym trzech Polaków.

– *Byłem wtedy w pobliżu* – wspomina Abdelwahib Khedimi, przewodnik i działacz NGO. – *Siedziałem*



w kawiarni, parzyłem na ulicę, gdy zobaczyłem dwóch młodych ludzi ze szmacianą torbą. Po chwili wyciągnęli kałachy i zaczęli strzelać. Zabili 3 osoby na parkingu. Podbiegłem bliżej, z wewnątrz dobiegał huk wystrzałów. Policja sądziła, że to atak na parlament. Walka trwała dobre dwie godziny. Zamachowcami byli 27-letni Yassine Abidi, którego rodzina mieszka w pobliżu Tunisu i licealista Hatemie Khachnaoui z okolic Al-Kasrajn.

Muzeum Bardo, zwiedza się dziś inaczej. – *Zamachowcy szli tędy, a uciekali po schodach* – pokazuje Urszula z Tunezyjskiej Organizacji Turystycznej, pełniąca rolę przewodniczki. W gablotach na piętrze widać dziury po kulach i odłamki szkła, pozostawione na pamiątkę. Jeśli muzeum jest miejscem refleksji i zadumy nad światem, to naprawdę słusznie. Jest się bowiem nad czym zastanawiać.

– *Wieczorem, po ataku w Bardo, wyszliśmy na Avenue Habib Burgiba w wielkiej manifestacji przeciw terrorystom* - wspomina Abdelwahib Khedimi. – *Żeby pokazać, że w walce z islamizmem stoimy murem i wszystkich nas nie zabiją, bo zawsze ktoś zostanie, kto zaprotestuje. Że nie ma dla nich miejsca w naszym kraju.*

Skąd się wzięli w Tunezji islamiści? Częściowo z importu, częściowo, jako niechciany spadek po autokracji. Ruch Tendencji Islamskiej (Ennahada) był skutecznie zwalczany przez władze Tunezji jeszcze czterdzieści lat temu, w czasach Ojca Niepodległości Habiba Burgiby, a jego następcę - Ben Ali, trzymał salafitów w więzieniach. Sympatycy ruchu emigrowali lub siedzieli. Ukrywający się aktywiści pozyskiwali zwolenników na prowincji, gdzie prowadzili działalność dobroczynną, pomagali potrzebującym, wspierali budowę szkół, wypełniając luki w systemie pomocy. Tak budowali zaplecze.

- *Islamiści byli największym przeciwnikiem reżimów autorytarnych. W momencie, ich upadku, większość więźniów politycznych, w tym fundamentaliści islamscy, zostali uwolnieni w skutek amnestii. A ci ludzie nie stali się z dnia na dzień demokratami. Doktryna budowy kalifatu dalej im przyświeca* - mówi dr Ewa Szczepankiewicz Rudzka z UJ.

Tragedią Jaśminowej Rewolucji był brak liderów. Manifestanci krzykali „Godność, Wolność, Praca”, ale nie mieli żadnego pomysłu na zmiany. Dlatego w pierwszych demokratycznych wyborach wygrali islamiści z Ennahady, którzy w ogóle nie brali udziału w zrywie narodowym. Byli po prostu jedyną zorganizowaną siłą - wspomina dziekan wydziału humanistycznego Uniwersytetu w Tunisie, prof. Noureddine Kridis. - *Byli zdyscyplinowani i ładnie mówili o Bogu. Niestety, oszukali ludzi* - kończy gorzko profesor.

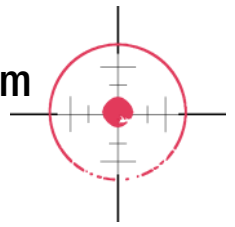
Tunezja. Byłem tam

Potem doszło do zabójstw polityków. 6 lutego 2013, nieznanymi sprawcami zamordowali krytyka partii islamistycznej, lidera Ruchu Demokratycznych Patriotów - Szorki Belaida. Kolejny opozycjonista, Muhammad Brahmī, został zastrzelony na oczach żony i córki 25 lipca 2013 przed domem w Tunisie. 30 VII 2013 Dziewięciu tunezyjskim żołnierzom podierznięto gardła. I tego społeczeństwu było już za wiele. Społeczeństwo, w wielkiej manifestacji pod parlamentem, zażądało ustąpienia rządu Ennahady.

Islamiści oddali władzę. Powołali ekspercki gabinet, który przygotował nowe wybory. Uchwalili nową konstytucję, w kolejnym głosowaniu 26 X 2014 zwyciężyła laicka, liberalna partia Nida Tunis. To jest Tunezja, gdzie ludzie potrafią się dogadać. I wszystko wydawało się być na dobrej drodze...

- *Islamiści chcą ukarać Tunezję za sukcesy w transformacji ku demokracji* - twierdzi dr George Yacoub z katedry arabistyki Uniwersytetu Warszawskiego. Czyn Seifeddinea Rezgui nie był więc gestem szaleńca. Miał doprowadzić do upadku gospodarkę młodego, demokratycznego państwa. - *Najgorsze, co mogłoby się teraz stać, to wyizolowanie nas ze wspólnoty międzynarodowej* - mówi Abdelwaheb Khedimi. - *Wtedy ataki się nasilą.*





Tunezja. Byłem tam

**Po piątkowym zamachu. Hammamet.
100 kilometrów od miejsca zbrodni.
Cisza kurortów.**

Hotel Sol Azur, gdzie z powodzeniem może mieszkać 1000 gości jest niemal pusty. Telewizor w lobby transmituje mecze. Znawca terroryzmu z Warszawy ostrzega telefonicznie polskich dziennikarzy, żeby w razie ataku weszli do wanny i zasłonili kotarę. Wyjazd prasowy się rozsypał. Koleżanka przeprowadza wywiad z dyrektorem hotelu, który wyjaśnia, że zatrudnia ochronę, ale niestety bez broni i natychmiast powiadamia media. Szef ochrony klnie się, że w razie zagrożenia zasłoni gości własnym ciałem.

Idę do miasta żeby kupić lokalne gazety. W miasteczku widać opustoszałe bazy, sklepy, kawiarnie, długi rząd pustych, otwartych taksówek. Niestety, te jadące do Sus, wieloosobowe, są za drogie dla jednego pasażera.

Na kręte uliczki medyny spływają potoki słów z pobliskiego meczetu. Słów pełnych złości i goryczy. Wśród nich powtarza się słowo „Ramadan”. Jest piątek, trwa największe święto muzułmanów, tymczasem ludzie, powołujący się na islam, zamordowali własnych braci.

Na placu przed świątynią, na matach, siedzi kilkudziesięciu zamyślonych mężczyzn. Chcę się wycofać, ale pokazują dłońmi przejście, robią mi miejsce. Jeden z nich porozumiewawczo kiwa głową.

W kawiarni przy plaży – podobno najlepszej w Tunezji – jestem jedynym gościem. Wspólnie z kelnerem przeglądamy arabsko i francuskojęzyczne gazety. Tytuły krzyczą: „Masakra”, „Krwawa kąpiel na plaży”, „Krwawy piątek”, „Czy Bardo długo będzie nas przesładować”?

Artykuły mówią, że prezydent Kaid Essebsi podejmie ostre środki bezpieczeństwa. Chce zamknąć 80 radykalnych meczetów, rozwiązać partie i stowarzyszenia, które budują zaplecze dla islamizmu. Na plażach i w hotelach pojawi się wkrótce 1000 uzbrojonych policjantów. – *Wiesz dlaczego w nas uderzyli - pyta kelner? - Bo u nas ma zgody na fanatyzm. Czy będzie zgoda na powrót do polityki zamordyzmu z czasów Ben Alego?*

Do kolacji siadamy w milczeniu. Urszula płacze. Jej łzy poruszają. – *Ale rozumiecie chociaż, jak wiele ci ludzie zrobili, żeby zbudować w swoim kraju normalność?* 🚫

Jakub Ciećkiewicz

Dziękuję dr Ewie Szczepankiewicz Rudzkiej z UJ za konsultacje.



Jakub Ciećkiewicz, niezależny dziennikarz, redaktor, fotografik, wykładowca uniwersytecki, animator imprez kulturalnych, podróżnik, członek Polskiego Towarzystwa Afrykanistycznego.

Jakub Ciećkiewicz: journaliste, rédacteur, photographe, organisateur d'événements, membre de la société africaniste polonaise.

KAMIL PIETRASIK

26 czerwca 2015 – Nowy (tragiczny) Czarny Piątek

Dzisiejszy dzień 26 czerwca br., można śmiało nazwać Czarnym Piątkiem. Dzień ten ma zupełnie inne znaczenie niż to, które znają Amerykanie, kiedy to Czarnym Piątkiem nazywają otwarcie szafu zakupów tuż przed świątami Boże Narodzeniowymi w Stanach Zjednoczonych. Otóż dlaczego jest inny niż to szaleństwo zakupowe w Stanach Zjednoczonych?

Po pierwsze: muzułmańscy fanatycy zaatakowali w kilku różnych miejscach na świecie. Pierwszy incydent to masakra miejscowej ludności, głównie kurdyjskiej w mieście Kobana na północnej Syrii. Zginęło tam z rąk fanatyków Państwa Islamskiego ponad 146 osób w tym dzieci i kobiety. Drugim incydem, który wstrząsnął światem to atak zamachowca-terrorysty na szyicki meczet w stolicy Kuwejtu. Tutaj w tym miejscu, śmierć poniosło 26 osób, a 227 zostało rannych - poinformowało w niedzielę (28 czerwca 2015 r.) kuwejckie ministerstwo spraw wewnętrznych^[1]. Warto dodać, iż według kuwejckich władz za zamachem stoi saudyjski obywatel, Fahd Suleiman Abdul-Muhsen al-Qaba^[2]. Należy zauważyć, że Kuwejt to kraj, gdzie 85 procent mieszkańców to wyznawcy islamu. W tym 45 procent to sunnici, a 40 procent to szyici. Wyznawcy innych religii w tym chrześcijaństwa stanowią pozostałe 15 procent^[3]. Sprawa jest podwójnie bulwersująca z dwóch powodów:

Kamil Pietrasik, magister, absolwent i doktorant w Wyższej Szkole Studiów Międzynarodowych w Łodzi. Zajmujący się naukowo problematyką czecheńską (historia, teraźniejszość). Również w zakres zainteresowań autora wchodzi: konflikty na Kaukazie Północnym, a także religia, historia i teraźniejszość Arabii Saudyjskiej. Autor wielu artykułów naukowych i uczestnik konferencji o zasięgu ogólnopolskim i międzynarodowych.

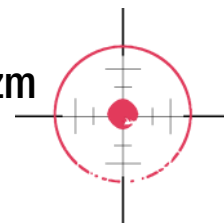


Pierwszy – podczas ataku na szyicki meczet było bardzo wielu wiernych, niektóre media podają liczbę nawet 2 tysięcy!

Po drugie – jest to święty miesiąc dla wszystkich muzułmanów na świecie bez względu, jakiego są odłamu islamu. W tym czasie następuje odnowa duchowa, umacnianie więzi pomiędzy wiernym a Bogiem i wydawałoby się, że nic nie może w tych relacjach przeszkodzić. A jednak tak nie jest. Jak widać.

Kolejnym miejscem, gdzie ucierpiała niewinna osoba to francuska miejscowość nieopodal Lyonu. Atak na zakłady gazowe nastąpił w południe, a zginęła jedna osoba, której fanatyk odciął głowę i owinał flagą z napisami Państwa Islamskiego. Dwie osoby zostały ranne. Zagrożenie byłoby bardzo duże, tym bardziej, że to zakłady gazowe, w których zniszczenie lub nieumiejętne obsługiwanie aparatury odpowiedzialnej za dostawę gazu mogły spowodować niewyobrażalne w skutkach





straty. Szczęście w nieszczęściu, że zginęła tylko jedna osoba, której życia niestety nikt nie przywróci^[4].

Trzecim miejscem, gdzie pojawił się terror to plaża w pobliżu tunezyjskiej miejscowości Sousse. Tunezyjczyk, młody człowiek pod parasolem plażowym ukrywał broń i dzięki temu mógł przeniknąć na teren plaży i zaatakować niewinnych ludzi. W incydencie zginęło 37 osób, a wśród zabitych są głównie: Brytyjczycy, Niemcy oraz Belgowie. Warto wspomnieć o 36 osobach, które zostały ranne. Według wstępnych informacji MSZ nie ma ofiar wśród Polaków^[5]. Będąc przy tym incydencie warto zauważyć stoicki spokój tunezyjskiego terrorysty, młodego 23-letniego studenta. Widać, że było to wyreżyserowane i starannie zaplanowane. Nie było w jego działaniach żadnej przypadkowości, czyli do t aktu terroru musiał się starannie i prawdopodobnie dość długo przygotowywać. Zapewne decyzja o zabiciu na plaży niewinnych ludzi nie była podjęta nagle lub z dnia na dzień. Dramatyczne i nieskuteczne były apele do terrorysty, aby zaprzestał mordowania: „Były krzyki i błagania o to, by nie zabijał turystów. Gdy zamachowiec opuścił plażę i pojawił się na ulicach wokół hoteli, z dachów Tunezyjczycy zaczęli rzucać w niego kamieniami i cegłami. Zabójca zginął jednak dopiero od kuli policjanta”^[6].

Prognoza? Po raz kolejny przekonujemy się, że zjawisko terroryzmu nie zanika, ani też nie słabnie, wręcz przeciwnie. Działa ze wzmożoną siłą. Uderza w niespodziewanym momencie i miejscu np. na plaży, gdzie jest to miejsce kojarzone z relaksem, wakacjami, sielanką i zabawą dzieci na brzegu morza budujących babki z piasku. Terroryzm ma formę zjawiska rozwojowego i tym samym będziemy, może niekoniecznie codziennie słyszeć o zamachu, ale sporadycznie, czego przykładem jest dzisiejszy dzień i nie tylko ... Mówi się, że historia to spis faktów, których nie powinniśmy powtórzyć. Jednak świat i poszczególne organy odpowiedzialne za bezpieczeństwo w poszczególnych krajach nie działają na tyle skutecznie oraz przewencyjnie, aby móc zlikwidować częściowo fanatyków (a konkretnie samotnych wilków), którym przyświeca jeden cel: zabić, zabić i jeszcze raz zabić. Takich samotnych wilków bardzo trudno namierzyć i zwalczyć, co udowodniły zamachy w Tunezji, Kuwejcie i we Francji

Artykuł pisany na gorąco (red.)

○ Pisząc o Tunezji, należy przypomnieć, iż 18 marca br., doszło w tym kraju do ataku na cele turystyczne. Wtedy było nim muzeum w Tunisie, które jest atrakcją dla turystów, w tym także dla Polaków. Liczba ofiar śmiertelnych to 23 osoby, wśród których byli Polacy.



Fot. Giorces



Fot. Thylacin

Tym samym liczba zabitych zagranicznych turystów wzrosła z 17 do 20 osób, które odwiedzały, wtedy Muzeum Bardo w Tunisie^[7]. Mogło się wydawać, że władze tunezyjskie po masakrze w muzeum wyciągną wnioski z tragedii i dalece wzmocnią bezpieczeństwo nie tylko własnych obywateli oraz przede wszystkim turystów. Brak dostatecznego zaangażowania państwa w likwidację zagrożeń płynących ze strony terrorystów spowodował, iż atak terrorystyczny się powtórzył i zebrał znacznie większe żniwo w postaci o wiele większej liczby zabitych i rannych niż miało to miejsce w marcu br.

Przypisy:


- [1] MSW informuje: Zamachu na meczet dokonał Saudyjczyk, <http://fakty.interia.pl/swiat/news-msw-informuje-zamachu-na-meczet-dokonal-saudyjczyk,nId,1842818>, 28.6.2015.
- [2] Tamże.
- [3] Kuwait, <http://www.everyculture.com/Ja-Ma/Kuwait.html>, 28.6.2015.
- [4] Szerzej zobacz: Zamach terrorystyczny we Francji. Policja znalazła ciało pozbawione głowy, <http://televizjarepublika.pl/zamach-terrorystyczny-we-francji-policja-znalazla-cialo-pozbawione-glowy,21013.html>, 28.6.2015.
- [5] Rośnie bilans zamachu na plaży w tunezyjskiej Susie: zginęło 37 osób, <http://www.tvp.info/20623595/co-najmniej-28-ofiar-ataku-na-plazy-w-tunezyjskiej-susie-polskie-biura-podrozy-ewakuuja-naszyc-turystow>, 28.6.2015.
- [6] Tunezyjczycy błagali, by nie strzelał do turystów. Rzucali w niego kamieniami, <http://www.tvn24.pl/wiadomosci-ze-swiate,2/zamach-w-tunezji-rzucali-w-napastnika-kamieniami,555439.html>, 28.6.2015.
- [7] Państwo Islamskie przyznaje się do ataku w Tunisie, <http://swiat.newsweek.pl/atak-terrorystyczny-w-tunezji-polacy-ranni-polacy-poszkodowani,artykuly,359297,1.html>, 28.6.2015.

Szahidki

- terrorystki, morderczynie?

Terroryzm samobójczy nie jest niczym nowym, lecz od ponad dekady, kiedy ten sposób przeprowadzania ataków okazał się niezwykle skuteczny, znajduje się w centrum medialnego zainteresowania. Jeżeli do tego jeszcze okazuje się, że zamach przeprowadziła kobieta, to można – niestety – już mówić o swoistej fascynacji medialnej. To przekłada się bezpośrednio na rozpowszechnienie wiedzy o zamachu, a więc także strachu, poczucia zagrożenia, czyli szeroko rozsyła przesłanie terrorystów, pokazuje ich wolę walki i bezwzględność postępowania. Staje się także – niestety – przykładem dla innych, gotowych ich naśladować. Stąd terroryzm samobójczy jest niczym mitologiczna hybryda, bowiem zlikwidowanie jednej grupy, gałęzi, odłamu, a nawet całej organizacji, prowadzi zazwyczaj do powstania następnych.

Terroryzm swoją pomysłowością i bezwzględnością stara się „zaskoczyć” zarówno przyszłe ofiary, jak też przeciwdziałające mu agendy państwowe, w tym siły i służby specjalne. Doświadczenia z przebiegu dotychczasowych zamachów są bowiem analizowane „po obu stronach barykady”. Powodzenie w tych niekonwencjonalnych zmaganiach, podobnie jak na



Na pewno umrzesz. Mamy dla ciebie miejsce w królestwie męczenników. Czemu więc płaczesz?^[1]

– przypisywane Vellupillai Prabhakaranowi, przywódcy Tamilskich Tygrysów.

„tradycyjnym” polu walki zależy od zaskoczenia, bo na sukces lub fiasko następnego zamachu wpływa także umiejętność trafnego przewidzenia zamiaru przeciwnika. Dlatego organizacje terrorystyczne powszechnie korzystają z samobójczej taktyki przeprowadzania zamachów, a od pewnego czasu włączyły do niego nowy i zaskakujący czynnik – udział kobiet – jako bezpośrednich wykonawców.

Na przestrzeni lat wyodrębniły się miejsca, w których kobiety przeprowadziły najwięcej zamachów samobójczych, oto one:

- Sri Lanka
- Izrael i obszary państwa Palestyńskiego
- Rosja i Czeczenia
- Turcja
- Irak
- Afganistan
- Nigeria (od 2014 roku)



Te kobiety mają świadomość i wolę bycia wolnymi kobietami, przekazywania ważnych przesłań, dawania przykładu kobietom na całym świecie!^[2]

– Abdullah Öcalan, przywódca Partii Pracujących Kurdystanu

Oczywiście nie są to jedyne miejsca tego typu ataków. Pojedyncze ataki zdarzają się także w wielu innych krajach, lecz te wymienione kraje prowadzą w tej niechlubnej statystyce. Dopisanie to tej listy Nigerii nastąpiło za sprawą organizacji o podłożu religijno – kryminalnym Boko-Haram, która wykorzystując słabość nigeryjskiej państwowości od 2009 roku walczy o państwo islamskie, a praktycznie kierowana przez Abubakara Shekau sieje postrach w środkowozachodniej Afryce. Od ubiegłego roku rozpoczęła przeprowadzanie zamachów samobójczych. Nie przeszkodził temu braku kulturowej akceptacji w Nigerii dla samobójstwa. Trzeba jednak (lub niestety) bez jakiegokolwiek satysfakcji stwierdzić, że Nigeria jest krajem, w którym islam jest religią dominującą, a prawo szariatu obowiązuje praktycznie w połowie kraju (w jego północnej części).

Właśnie ta wzrastająca liczba udziału kobiet z zamachach samobójczych wskazuje, że nie są to już incydentalne przypadki. Tym samym każe zastanowić się nad wieloma aspektami i próbować odpowiedzieć na podstawowe pytania: dlaczego kobiety, dlaczego właśnie tam i dlaczego w ten sposób, aktywnie włączają się do „finalnego produktu” każdej organizacji terrorystycznej, jakim jest zamach?

Powszechnie uważa się, że uległość i brak wrodzonej gwałtowności są tylko pewnymi cechami, które przypisuje się kobietom. Nie zawsze jednak takie twierdzenie jest prawdziwe. Właśnie ten powszechny

stereotyp jest często wykorzystywany przez organizacje terrorystyczne w celu przeprowadzenia, przy ich udziale zamachu samobójczego. I od początku trzeba podkreślić, że kobietami, które decydują się na śmierć w zamachu samobójczym są nie są głównie te, które wyznają islam, niemniej trzeba stwierdzić, że to właśnie islamskie kobiety przeprowadzały i przeprowadzają najwięcej zamachów samobójczych. Trudno jednak mówić o wyznawaniu islamu w byłej już organizacji Tamilskie Tygrysy Wyzwolenia Ilamu (LTTE), czy Partii Pracujących Kurdystanu (PPK). Ta ostatnia formacja polityczno-wojskowa to przykład organizacji czysto świeckiej. Zaprzała ona działalności z chwilą uwięzienia jej przywódcy Abdullaha Öcalana, lecz trudno jednoznacznie określić, czy w niedalekiej przyszłości pod wodzą kogoś innego nie powróci ona do działalności terrorystycznej.

Islam przedstawia kobiety głównie jako żony i matki, lecz pomijając czynniki religijne i kulturowe to stereotyp, bowiem ubrane w burki i czadory (a nawet czysto „europejskie” ubrania) kobiety muzułmańskie są zdolne - na równi z mężczyznami - do popełniania wielu zamachów terrorystycznych, więc dlaczego akurat w przypadku zamachów samobójczych miało być inaczej.

Zaznaczmy, że także w przeszłości kobiety brały czynny udział w działalności terrorystycznej. W latach 60. ubiegłego wieku, były wśród założycieli organizacji terrorystycznych w Europie Zachodniej (Ulrike Meinhoff – Frakcja Czerwonej Armii w Niemczech, Maria Cagol – Czerwone Brygady we Włoszech). Jedną z palestyńskich porwaczek samolotu Lufthansy w 1977 roku, Leila Khaled, mieszka do dzisiaj w Ammanie, w Jordanii i nadal jest uważana za eksperta w sprawach terroryzmu.

Kobiety – terrorystki zawsze charakteryzowały się zdecydowaniem, odwagą i brakiem zahamowań, m.in. przed dokonaniem zamachu, w tym także w formie pospolitego zabójstwa. Silne cechy charakteru (zwłaszcza przywódcze) kobiet wybierających ten „zawód” powodują, że w wielu przypadkach „górują” one nad mężczyznami. Jednak z drugiej strony wiedząc, że nigdy nie będą prezentowały takiego poziomu wyszkolenia jak mężczyźni (są bowiem słabsze fizycznie – w tym przypadku określenie „słaba płeć” jest prawdziwe), starają się udowodnić swoją wartość, właśnie wykazując się okrucieństwem i brakiem zahamowań. Na podstawie doświadczeń zebranych z przeprowadzonych przez siły specjalne operacji i akcji w zwalczaniu grup terrorystycznych i kryminalnych, w sytuacjach skrajnych zaleca się eliminowanie w pierwszej kolejności kobiet, bo analiza przypadków zranienia lub zabicia żołnierzy (funkcjonariuszy), doprowadziła do odkrycia dość zaskakującej prawdy, że w czasie bezpośredniego starcia w walce na styku kobieta – mężczyzna, kobieta (w przeciwieństwie do mężczyzny) nie zahała się użyć broni jako pierwsza.



Ataki samobójcze dokonywane są również przy użyciu pojazdów wypełnionych materiałami wybuchowymi (VBIED). Na zdjęciu policyjny check-point w mieście Baquba (Irak) po takim ataku samobójczym. Fot. Al Jazeera

Szahidki – terrorystki, morderczynie?



Pas samobójczy (o wadze ok. 9 kg) odnaleziony przez Siły Obronne Izraela. Fot. Israel Defense Forces

Kiedy w latach 80. i 90., okazało się, że wiele zamachów samobójczych jest dziełem kobiet, zaczęto prowadzić badania i analizować te przypadki, bowiem dotychczas w tej dziedzinie dominowali wyłącznie mężczyźni. Wtedy powód był dość prozaiczny - właśnie religijny (i miejsce kobiety w taki systemie wartości). Terroryzm samobójczy w swojej obecnej formie pojawił się w miejscach o dominującej roli islamu, a tam zgodnie z zasadami religijnymi oraz lokalnymi zwyczajami rola kobiet w zasadzie w każdej dziedzinie życia jest drugorzędna.

Co zatem takiego wydarzyło się, że i w tej dziedzinie kobiety stały się prawie równorzędne mężczyznom. Otóż przywódcy organizacji terrorystycznych dość szybko doszli do wniosku, że kobiety dają dużą przewagę taktyczną. Atak jest bardziej skryty, ponieważ z naturalnych powodów w przypadkach zagrożenia to na mężczyzn zwraca się baczniejszą uwagę. Tym samym prawdopodobieństwo osiągnięcia przez nie miejsca (celu) zamachu jest wyższe. Ponadto mężczyzna, który może wydać się podejrzany może zostać zatrzymany i np. natychmiast poddany przeszukaniu. A w przypadku kobiet – muzułmanek – założenie, że zostaną w ten sposób sprawdzone jest mniejsze – a już zwłaszcza w krajach muzułmańskich, jest to praktycznie nieprawdopodobne. Do tego należy dodać wspomniane już większe zainteresowanie mediów. Do zamachów przeprowadzonych przez mężczyzn zdążyliśmy się już – także niestety – przyzwyczaić, lecz do realizowanych przez kobiety - nie. Dlatego są one coraz częściej wykorzystywane, podobnie jak dzieci czy osoby niepełnosprawne umysłowo, lecz



Po zamachu samobójczym na restaurację Argana w w Marrakeszu.
Fot. B. C. Torrissen

to już odrębny i również złożony problem. Z tych powodów zamach samobójczy, przeprowadzony przez kobietę, daje nieporównanie większy efekt psychologiczny. To właśnie z powodu płci wykonawcy przekłada się on automatycznie na większe ogólne zainteresowanie, czyli terroryści otrzymują to, na czym im najbardziej zależy – rozgłos, bowiem wiadomość o zamachu jest szeroko rozpowszechniana. Ostatnią kwestią jest także i to, że kobiety to przecież połowa populacji rodzaju ludzkiego (bez wnikania w szczegóły)

Pierwszy zamach samobójczy przeprowadzony przez kobietę, został zorganizowany przez Syryjską Socjalistyczno-Narodową Partię (SSNP) w Libanie w Bateer Al Shuf Jezzin 9 maja 1985 roku^[3]. Khyadali Sana, która wstąpiła do organizacji zaledwie trzy miesiące wcześniej, skierowała prowadzony przez siebie i wypełniony materiałem wybuchowym samochód w izraelski konwój wojskowy. W wyniku eksplozji dwóch żołnierzy zginęło, a dwóch kolejnych zostało rannych. Przed zamachem złożyła ona oświadczenie, że jej czyn był umotywowany: *zemstą spowodowaną działaniem wroga*^[4]. Dwa miesiące później 28-letnia Kharib Ibtisam wykonała kolejny zamach samobójczy na izraelski punkt kontrolny. Przed atakiem nagrała na taśmie wideofonicznej swoje pożegnanie. Ubrana w mundur wojskowy i czerwony beret zwracała się do swoich rodziców i prosiła ich o wybaczenie oświadczając, że: *pragnę zabić tylu Żydów i ich popleczników i być może mogła*^[5]. Jednak nie udało jej się dostać w okolice posterunku izraelskiego i stała się jedyną ofiarą własnego zamachu (kilku żołnierzy zostało tylko lekko rannych). Ogółem organizacja SSNP przeprowadziła dwanaście zamachów samobójczych. Pięć z nich było dziełem kobiet, co stanowi 42 proc.^[6].

Na wzrost liczby samobójczych zamachów terrorystycznych popełnianych przez kobiety składają się:

Przyzwolenie spowodowane decyzją przywódców (religijnych, wojskowych, klanowych). W wielu publicznych wystąpieniach można usłyszeć, że popierają oni kobiece zamachy samobójcze. Poparcie dla kobiecego terroryzmu samobójczego płynie także z innych ośrodków i miejsc (w tym także władz różnego szczebla), ale w zależności od wpływów religijnych w danej organizacji prowadzona jest zróżnicowana polityka odnosząca się do kobiecego terroryzmu samobójczego. W wydanym na początku XXI wieku oświadczeniu, przywódcy religijni Arabii Saudyjskiej odmówili swojego udziału w usankcjonowaniu terroryzmu samobójczego jako męczeństwa oraz udziału kobiet w działalności terrorystycznej. Jednakże już 1 sierpnia 2001 roku Najwyższa Rada Islamska wydała edykt religijny (fatwę) zachęcającą palestyńskie kobiety do stawiania się „ludzkimi bombami”. Zmianę poglądów w miarę potwierdzenia skuteczności ataków w wykonaniu kobiet widać na przykładach wypowiedzi duchowego przywódcy Hamasu Szejka Ahmeda Jassina (zabitego przez Izrael w marcu 2004 roku). W gazecie *Al-Sharq al-Awsat* 31 stycznia 2002 roku ogłosił, że kobiety mogą być „żywymi bombami” tylko pod warunkiem, że będzie im towarzyszył mężczyzna. W kolejnym oświadczeniu 2 lutego 2002 roku Jassin zmienił już trochę zdanie i stwierdził, że kobiety mogą przeprowadzać zamachy samobójcze, ale czas na jaki mogą opuścić dom nie może przekroczyć 24 godzin. Następca Jassina Abdel Aziz Rantisi (także zabity, ale w kwietniu 2004 roku) ujął całą sprawę jednoznacznie: *nie ma żadnych powodów, dla których przeprowadzanie zamachów samobójczych miałyby być domeną mężczyzn*^[7].

Cieszący się dużym autorytetem egipski uczonego islamski, będący przewodniczącym organizacji skupiającej największych islamskich teologów Yusuf al-Qaradawi, w odpowiedzi na kobiece zamachy samobój-

czy w Afuli (19 maja 2003 roku) wydał fatwę, w której stwierdza że: *był to akt męczeństwa w imieniu Allaha* oraz dodał: *kobieta może wyjść z domu by wziąć udział w dżihadzie nawet bez zgody swojego męża*. Al-Qaradawi widział korzyści dla terroryzmu samobójczego z udziałem kobiet. *Mogą zrobić to, co będzie niemożliwym dla mężczyzn*. W związku z tym mogą one nie stosować się do zasad religijnych (nie nosić zasłon na twarzy, poruszać się bez „eskoroty” mężczyzn, itp.)^[8].

Takie przyzwolenia powodują, że kobiety korzystają z okazji i po raz pierwszy niejako zrównane z mężczyznami stają się czynnymi uczestnikami walki. W czasie pogrzebu Wafy Idriz – pierwszej Palestynki, która wysadziła się w powietrze, kobiety z Tulkarem skandowały: *Ta kobieta nie jest ostatnią, nasze ciała zamienimy w bomby – pułapki, i wysadzimy się w powietrze przed twarzami Żydów*^[9].

Ten zamach odbił się szerokim echem w krajach arabskich. Egipski dziennik „Al – Akhbar” napisał: *...Palestyńskie kobiety zerwały z tradycyjnym podziałem na płęć, zgodnie z metryką urodzenia, deklarując że poniesienie ofiary dla Palestyńskiej ojczyzny jest sprawą nie tylko mężczyzn. Wręcz przeciwnie, wszystkie palestyńskie kobiety napiszą historię wyzwolenie swoją krwią i staną się bombami czasowymi dla izraelskiego wroga. One nie zadowolą się byciem matkami męczenników ...*^[10].

Motywy narodowe i religijne. Rosnąca popularność zamachów samobójczych, połączona ze wzrostem wpływów fundamentalizmu islamskiego intensyfikują uczucia pełne nienawiści i woli walki. Dlatego także kobiety włączają się do niej – na miarę swoich możliwości, by wyrazić chęć bycia zaangażowanym w wydarzenia, które mogą wiele zmienić w ich kraju, czy regionie. Także kusząca jest perspektywa osiągnięcia szczęścia „w drugim życiu”. Ten argument wydaje się dość istotny, łączący chęć poświęcenia swojego życia w zamachu samobójczym z ideą pośmiertnego życia w muzułmańskim raju.

Wdowa po jednym z zamachowców z londyńskiego metra ujawniła niedawno na Twitterze, że chce odebrać sobie życie w zamachu samobójczym. Jej mąż, Mohammed Sadique Khan, w 2005 roku wysadził się na jednej ze stacji King's Cross i zabił wówczas 26 osób. Píše: *Wolałabym otrzymać moje męczeństwo, myślę, że jestem gotowa... i kupię kamizelkę* - napisała.

Szahidki - terrorystki, morderczynie?

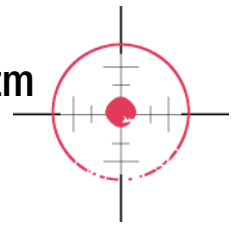


Kamizelka terrorysty-samobójcy. Fot. Military Training Inventory, USARAK.

Według brytyjskiej gazety „Sunday Mirror”, na Twitterze kobieta umieściła wiersz, w którym składa hołd zabitego przywódcy radykalnej grupy al-Szabab z Somalii. *Może jutro już będzie raj. Rozglądam się i widzę, jak piękny jest dżihad (...). Oddycham dżihadem, to jest mój czas*.

Lecz zamachy samobójcze to nie tylko wychowane „od dziecka” muzułmanki. W listopadzie 2006 roku, 38-letnia Belgijka Muriel Degauque, która nie tak dawno przeszła na islam, wysadziła się w powietrze w Iraku zabijając kilku policjantów. Ten ostatni przykład dowodzi, że chyba jednak istnieje korelacja pomiędzy religią islamską, a staniem się „ludzką bombą”. Degauque bowiem nie była, jak się w takich przypadkach powszechnie uważa emigrantką rozczarowaną swoim życiem w Europie, lecz tzw. „czystą” (bez żadnego peroratoryjnego lub rasistowskiego podtekstu) Europejką.

Motywy o podłożu kulturowym i zwyczajowym. Kobiety wywodzące się z tradycyjnych patriarchalnych społeczeństw, w terroryzmie samobójczym widzą swoją szansę na wprowadzenie zmian – nawet krótkotrwałych z oczywistych przyczyn – w swoim doczesnym, ciężkim i monotonnym życiu. Dotyczy to także kobiet, które chcą poprawić swój wizerunek w otoczeniu z wielu powodów (bezpłodności, normalnego – ale tylko dla nas zachowania, które tam jest uważane za rozwiązłość). Samouniżenie w zamachu samobójczym ma być ceną, którą są skłonne ponieść, by: „odzyskać dobre imię”. Dobitnie pokazuje to przykład jak to funkcjonowało na Sri Lance. Bardzo dużo tamilskich kobiet w swoim życiu było zgwałconych (niestety



Po zamachu samobójczym w Wołgogradzie, 29 XII 2013 r.
Fot. volganet.ru, Администрация Волгоградской области.

ten proceder trwa nadal) i w związku z tym została im odebrana ich „cześć”. Wystąpienie w roli żywej bomby: *było zrozumiałą i zaakceptowaną ofertą dla kobiety*^[11]. Także członkowie rodzin zachęcali ofiary gwałtów, by wstępowały do LTTE, wiedząc, jako los je czeka, a na Sri Lance kobiety muszą być posłuszne takim rodzinnym „postanowieniom”.

Motywy o podłożu traumatycznym (wspomagane przez wielowiekowe zwyczaje) występowały zwłaszcza w Czeczenii. Dwie wojny, toczone (przez obie strony rosyjską i czeczeńską) praktycznie bez przestrzegania jakichkolwiek zasad obowiązujących w stosunkach państwowych nawet w tak specyficznym okresie, powodowało nieprzepartą chęć i nakaz wywarcia zemsty, nawet za cenę swojego życia. Żony, siostry i córki zamordowanych były skłonne zrobić dla zemsty wszystko, by spłacić tzw. „dług sióstr”^[12]. To właśnie wykorzystywały organizacje terrorystyczne, wmawiając im, że śmierć w zamachu samobójczym: *jest dla nich najlepszą przyszłością*^[13].

Motywy uczuciowe mają miejsce, gdy kobiety wiążą się z mężczyznami będącymi aktywnymi członkami organizacji terrorystycznych. To prawdopodobnie także może mieć wpływ na ich pragnienie włączenia się do aktywnych działań terrorystycznych, mogą również być do tego zachęcane przez swoich partnerów.

Kiedy mężczyzna przeprowadza zamach samobójczy, jego czyn jest umotywowany głównie religijnym lub

narodowym fanatyzmem, cechą którą dzielają też kobiety. Jednak tak naprawdę kobiety inaczej postrzegają samobójczą misję. Dla nich jest to główna droga ucieczki od życia, jakie jest od nich oczekiwane. Kiedy stają się „ludzkimi bombami”, ich intencją jest nie tylko nadanie swojemu czynowi protestu wygłaszanego w imieniu kraju, religii, organizacji, przywódcy, lecz także swojej płci.

Partia Pracujących Kurdystanu zorganizowała w Turcji dwadzieścia jeden zamachów samobójczych, czternaście z nich przeprowadziły kobiety, czyli około 66 proc.^[14].

Na Sri Lance kobiety z Tamijskich Tygrysów Wyzwolenia Iłamu (LTTE) przeprowadziły około 30 – 40 proc. wszystkich zamachów samobójczych^[15], które LTTE wykorzystywała do eliminowania przeciwników politycznych i przywódców znienawidzonych Indii. Do 2006 roku była jedyną organizacją, która tą metodą zabiła wielu ważnych polityków (na przykład: 20 maja 1991 roku zginął premier Indii Rajiv Gandhi), a nawet głowę państwa – prezydenta Renashinga Prendesa, zabitego w 1993 roku..

W Czeczenii kobiety uczestniczyły prawie w każdym zamachu samobójczym na żołnierzy rosyjskich i współpracujące z Moskwą władze. Pierwszy z nich był dziełem Chawy Barajewej, która 9 czerwca 2000 roku w Alkhan Kala wjechała samochodem i zdetonowała ładunek wybuchowy w budynku zajmowanym przez rosyjskie siły specjalne. Zginęło 27 żołnierzy. Jej ostatnie, pożegnalne słowa brzmiały: *wiem, co robię, raj ma swoją cenę i mam nadzieję, że to będzie moja cena za wejście do raj*^[16].

Pierwszy „kobięcy” zamach samobójczy w Izraelu miał miejsce 27 stycznia 2002 roku w Jerozolimie. Dwudziestoosmioletnia Wafa Idris poszła do dzielnicy handlowej i wysadziła się w powietrze. Oprócz niej zginęło dwoje Izraelczyków, a ponad dziewięćdziesięciu było rannych. Terrorystka była pielęgniarzką Czerwonego Półksiężycy. Bezdzienna i rozwiedziona (właśnie z powodu bezpłodności) mieszkała w obozie uchodźców Amari w Ramallah. Jej dwóch braci było powiązanych z organizacją Al-Fatah, a najstarszy z nich w czasie Pierwszej Intifady (1988 rok) został aresztowany. Idris była dwukrotnie ranna od izraelskich gumowych kul, gdy opatrywała rannych w starciach Palestyńczyków. W tym być może należy upatrywać źródeł jej motywacji.

Pierwszy zamach samobójczy, przeprowadzony przez kobietę w Nigerii miał miejsca w 2014 roku, kiedy kobieta mająca około 20 – 30 lat, wysadziła się w powietrze przy koszarach wojskowych w Gombe, na północy kraju.

W każdej z zamieszkujących w tych rejonach społeczności kobiety są ograniczone w swoim życiu do sfery prywatnej, ograniczonej do prowadzenia domu i opieki nad dziećmi. Prace domowe są niekiedy ich całym życiem, „na zewnątrz” dominują mężczyźni. W typowej rodzinie tego regionu mężczyzna zapewnia środki do życia, a kobiety służą głównie do „dawania” potomstwa. Tym niemniej kobiece ataki samobójcze nie byłyby możliwe bez logistycznego i duchowego wsparcia organizacji terrorystycznych.

W Turcji i Sri Lance działalność terrorystyczną od momentu jej powstania, cechowało pełne równouprawnienie płci. Dwie organizacje terrorystyczne, LTTE i Partia Pracujących Kurdystanu (PPK) nie stwarzały żadnych trudności dla chcących do nich wstąpić kobiet. Miały one w organizacji taki sam status jak mężczyźni. Kobiety przechodziły przez wszystkie szczeble szkolenia, w tym także były przygotowywane do zamachów samobójczych, ale ich wykorzystywanie do działań terrorystycznych było zróżnicowane w zależności od charakteru danej organizacji.

PPK od czasu swojego powstania (w 1987 roku) była kierowana przez jedyne go głównego przywódcę - Abdullaha Öcalana. Od samego początku kobiety były tak samo szkolone, skoszarowane i przygotowywane w spartańskich warunkach na równi z mężczyznami. Öcalan zdecydował o rozpoczęciu zamachów samobójczych w 1995 roku.

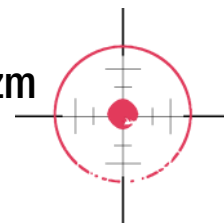
Można wyróżnić kilka powodów dlaczego w PPK kobiety zdecydowały się na odegranie roli „ludzkich bomb”. Z oczywistych powodów nie były w stanie w pełni dorównywać mężczyznom w wojskowym rzemiośle, a zwłaszcza w dziedzinach, gdzie liczy się siła fizyczna. Stąd narodził się pomysł ich wykorzystania w sposób, w którym ich kobiecość będzie atutem, a nie przeszkodą. Zamachy samobójcze były idealnym rozwiązaniem, bo zakładano, że kobiety nie będą podlegały takim samym procedurom kontroli i sprawdzania jak mężczyźni, szczególnie, gdy będą wyglądały na ciężarne. Pierwszy zamach samobójczy w wykonaniu PPK był dziełem kobiety, która 30 czerwca 1996 roku zabiła 6 tureckich żołnierzy i raniła 30 innych osób. Materiał wybuchowy nadał jej kształt niewiasty ciężarnej¹⁷¹.

Przez wstąpienie do organizacji zaoferowano kobietom możliwość swoistego awansu społecznego do rangi wojownika. W obrębie organizacji kobiety nie były już „podwładnymi mężczyzn”. Pozwolono im być osobami aktywnymi na terrorystycznym polu walki i ginąć w zamachach samobójczych, w których kobiety znalazły sposobność ucieczki od określonej od wieków roli w kurdyjskiej społeczności. Odkryły nieznaną sobie dotąd sposób na życie. Pod autokratycznymi rozkazami Öcalana miały wytyczną tylko jedną drogę – poprzez wykonywanie samobójczych zamachów terrorystycznych. Niektórym z nich to widać wystarczało.

Liczba członków Tamijskich Tygrysów była oceniana na 10 do 18 tysięcy. Według danych władz wojskowych Sri Lanki kobiety stanowiły prawie połowę. Wiele z nich zostało zwerbowanych, gdy były jeszcze dziećmi, w wieku około 10 lat. Przywódca LTTE Velupillai Prabhakaran utworzył specjalne kobiece „komando” nazwane „Ptakami Wolności”. Kobiety w LTTE nie były dyskrymi-



Zniszczona kwatera ONZ w Bagdadzie po zamachu samobójczym z wykorzystaniem VBIED. Fot. J. M. Bowman, USAF.



nowane ze względu na płeć. Były przygotowywane do walki jak mężczyźni, miały broń i uczono je jak się nią posługiwać. Na równi z mężczyznami wykonywały wszystkie zadania bojowe, ale specjalizowały się w misjach samobójczych, zwłaszcza tych, których celem było zabicie określonej osoby. Ich udział w zamachach był preferowany z uwagi na bardziej „niewinny” wygląd. Na czas wykonywania „zadania” wyposażano je w truciznę na wypadek schwytania.

Francuski filozof Bernard-Henri Levy, który badał udział kobiet w działalności LTTE, na podstawie rozmów z byłymi członkami organizacji stwierdził, że część szkolenia obejmowała także opanowanie przez nie umiejętności ukrywania granatów ręcznych w miejscach intymnych. Przy czym takiej formie szkolenia podlegały wyłącznie kobiety, które były zamężne lub były wdowami. Nie jest to nic wyjątkowego, bo np. w ten sposób część plastycznego materiału wybuchowego wnieśli na pokład samolotu belgijskich linii lotniczych SABENA, porwanego 8 maja 1972 roku przez palestyńskich terrorystów z organizacji Czarna Wrzesień, dwie kobiety – współpracniczki Ruma Isa Tanus i Tirza Ish'ah Halasah Samirah.

Tamilskie społeczeństwo jest zaliczane do tradycyjnych i kobiety w członkostwie w LTTE upatrywały swoją szansę na: „*robienie tego, co inni* (mężczyźni – przyp. aut.)”^[18]. Jak stwierdziła jedna z nich (nosząca stopień podoficera – w organizacji obowiązywała struktura wojskowa) *mamy moralne wsparcie naszego przywódcy i osiągnęłyśmy swoją pozycję tylko dzięki niemu*^[19].

W obu przypadkach (PPK i LTTE) należy podkreślić niezwykle wysoką i niekwestionowaną pozycję i charyzmę męskiego przywódcy. *Samobójcy z Tamilskich Tygrysów nie są produktem religijnego kultu, ale raczej zwolennikami kultu jednostki*^[20], napisał Ehud Sprinzak, jeden z analityków terroryzmu samobójczego. Kobiety z LTTE przeprowadziły wiele samobójczych misji na wybrane ważne osoby, bo ich dostęp był ułatwiony właśnie poprzez mniej szczegółową kontrolę z uwagi na płeć, a ich strój był bardziej przydatny do ukrycia ładunków wybuchowych.

W organizacjach islamskich, wbrew niektórym oświadczeniom, nigdy nie wprowadzono „równości” i zawsze kobieta była i będzie traktowana jak osoba „drugiej kategorii”. Dlatego organizacje palestyńskie i czeczeńskie są bardziej niechętne przyjmowaniu kobiet, nadawaniu im pełnego statusu członka, chyba, że od razu zdecydują się na podjęcie się misji samobójczej. Z uwagi na szybkość przejścia od zamiaru do działania, przepro-



Zniszczenia po zamachu samobójczym na posterunek policji w Kabylie (Algieria). Ładunek wybuchowy uszkodził ponadto kilka okolicznych sklepów. Fot. Magharebia.

wadzenie przez kobiety zamachów samobójczych w Czeczenii i w Izraelu było pewnym zaskoczeniem nie tylko dla ofiar, ale także dla męskich członków organizacji, bo zmuszało to ich pogodzenia się z rezygnacją z wielu zasad, uświęconych od lat przez islam i dominację patriarchalnej struktury społecznej.

W Czeczenii kobiety wykonują zamachy samobójcze na równi z mężczyznami. Ataki na rosyjskich żołnierzy i cywilów są usprawiedliwane poprzez dostosowaną do bieżących potrzeb interpretację zasad islamu oraz koniecznością zemsty za zabitych członków rodziny. Chawa Barajewa, która ciężarowym Kamazem, wypełnionym materiałem wybuchowym, 6 czerwca 2004 roku staranowała rosyjski posterunek w Ałchan-Jurcie. Już po wykonaniu zamachu samobójczego, „pośmiertnie” otrzymała oficjalne zezwolenie religijne (fatwę) na stanie się męczennikiem. Jej zamach został określony jako czyn mudżahedina (wojownika), który umarł w chwale. Na czeczeńskich stronach internetowych są zamieszczone artykuły określające rolę kobiet w świętej wojnie (dżihadzie). I tu występuje pewna sprzeczność z rzeczywistością, bo tam przeważa pogląd, że ich udział jest wymagany, ale bardziej w wypełnianiu tradycyjnych ról, a nie w walce. Nie są też zachęcane do popełniania zamachów samobójczych, ponieważ: *sytuacja nie jest jeszcze na tyle tragiczna*^[21].

W Palestynie kobiety zajmują się głównie gromadzeniem informacji przydatnych dla organizacji terrorystycznych. Palestyńskie kobiety pozostawiły terroryzm mężczyznom, dlatego dość trudno jest stworzyć jedno-

znacznym modelem osobowościowy terrorystki samobójczyni. Palestynki, które dokonały zamachów samobójczych stanowiły przekrój całej tamtejszej społeczności. Były osobami o różnym poziomie wykształcenia, różnym wyznaniu, pochodzeniu i statusie społecznym.

Brygady Męczenników al-Aksa oświadczyły, że wyszły naprzeciw dobrowolnie podjętym przez kobiety decyzjom o staniu się męczenniczkami. Z kolei Hamas podkreślił, że nie jest zainteresowany bezpośrednim udziałem kobiet w zamachach samobójczych, a kobiety nigdy nie wspięły się w hierarchii tej organizacji powyżej statusu szeregowego członka. Różnica wynika z tego, że al-Aksa ma bardziej świecki charakter i jest odłamem dawnego Fatahu Jasera Arafatka, zaś Hamas nawiązuje do tradycji Bractwa Muzułmańskiego – religijnej organizacji fundamentalistów islamskich. Wszystkie kobiece zamachy samobójcze zostały przeprowadzone przez mieszkanki Zachodniego Brzegu, a nie Strefy Gazy, bo tam wpływy Hamasu i Palestyńskiego Jihadu są największe. Trzeba w tym miejscu dodać, że kobiety w Palestynie mają o wiele większe prawa niż w innych krajach arabskich. Mogą brać udział w głosowaniach, zakładać swoje biura, prowadzić samochód, mają prawo do własności prywatnej. Są przyjmowane na uniwersytety i nie są ograniczone tylko do przebywania w obrębie swojego domu, noszą europejskie stroje.

Także media przyjmują na siebie rolę jednej ze stron biorących udział w propagowaniu kobiecego terroryzmu samobójczego, publikując dane i fotografie „tych, które zostały męczenniczkami”, bardziej jako symbolu ich czystej desperacji, niż zwykłych wyrachowanych, zimnokrwistych „bojowniczek walczących z zachodnią cywilizacją”. Jednakże nagłośnione przypadki wykorzystywania kobiet w zamachach samobójczych nie zmieniają faktu, że wszystko zaczęło się od dobrowolnego wyrażenia przez nich woli uczestnictwa w zamachach samobójczych. Wprawdzie Kurdyjska Partia Pracy często „motywowала” kobiety do udziału w samobójczych misjach poprzez eliminowanie niepokornych, ale w innych organizacjach nie miało to miejsca. Zamachy samobójcze palestyńskich kobiet były i są wspierane przez palestyńską propagandę, a ich pogrzeby stają się okazją do manifestowania szerokiej akceptacji społecznej dla ich czynów.

Irak i Afganistan, pokazały także nowe oblicze terroryzmu samobójczego kobiet. Nie jest niczym nowym, że zamachy przeprowadzają także osoby, które nie są do końca świadome swojej roli. Ale pierwszy raz w tych wspomnianych krajach stało oczywistym, że jako żywe bomby

są wykorzystywane kobiety upośledzone umysłowo. Ich poziom rozwoju umysłowego nie pozwala na prowadzenie przez nie „normalnego” życia, nakładając na nie szereg ograniczeń, których z powodu wad w rozwoju swojego mózgu nigdy nie przezwyciężą. Jednak to, by udać się w określone miejsce potrafią. I to właśnie jest wykorzystywane przez ludzi planujących zamachy.

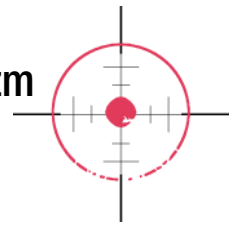
W grudniu 2007 roku, do budynku sunnickiej milicji o nazwie „Rada Przebudzenia” w Bagdadzie weszła kobieta i wysadziła się w powietrze. Kolejna eksplozja miała miejsce kilkanaście minut później na targu z ptakami. Ofiarami detonacji padło ponad 98 osób, a ponad 200 zostało rannych. Przy zwłokach sprawczyń znaleziono resztki zdalnie sterowanych detonatorów. Późniejsze śledztwo wykazało, że leczyły się one na choroby psychiczne i dlatego najprawdopodobniej były nieświadome swojego czynu.

O poczuciu zagrożenia i jego skutkach świadczą wydarzenia z 5 marca 2015 roku w Nigerii. Tłum zlincolnął kobietę, którą z uwagi na jej specyficzne zachowanie potraktowano jako przyszłego zamachowca – samobójcę. 33 – letnia Thabita Haruna, ubrana w tradycyjny długi hidżab próbowała wejść na plac targowy. Kiedy została zatrzymana przez ochronę, by zostać przeszukaną, odmówiła i zaczęła uciekać. Podejrzenia, że ma przy sobie materiał wybuchowy sprawiły, że tłum (nie ustalono personalnie kto) pochwycił ją, włożył jej na głowę oblaną benzyną oponę i podpalił. Warto przypomnieć, że zaledwie rok temu, kobieta pierwszy raz przeprowadziła zamach samobójczy w Nigerii. W czerwcu 2014 roku, jadąc na motocyklu, chciała wjechać na teren koszar w mieście Gombe. Gdy wartownicy chcieli podjąć próbę skontrolowania jej zdetonowała ładunek wybuchowy, zabijając siebie i jednego żołnierza.

Praktycznie od czasów interwencji koalicji przeciwo-terrorystycznej pod amerykańskim przywództwem w Iraku przywództwem w Afganistanie, przeprowadzanie zamachów samobójczych było w zasadzie obszarowo ograniczone do miejsc zamieszkałych przez wykonawców. To powodowało, że badając te bardzo złożone czynniki i okoliczności, powodujące udział kobiet w zamachach




rys. Andrzej Zaręba



samobójczych można było dochodzić do wielu wniosków, nawet poznawać ogólne zasady. Jednak przykłady zamachów samobójczych przeprowadzanych przez kobiety od połowy pierwszej dekady XXI wieku wskazują, że wielka migracja tych osób, wynikająca z możliwości przemieszczania się nie pozwala, by zachowując naukowe podejście do tego zjawiska ograniczać je do czynników, generowanych wyłącznie przez ich najbliższe otoczenie, co powoduje, że mogą atakować cele tylko tam się znajdujące. Tzw. „eksport” bezpośrednich wykonawców zamachów samobójczych, a więc także i kobiet nie pozwala już na dokonywanie jednoznacznych klasyfikacji, uogólnień i wniosków. Oczywiście nie oznacza to, że stają się one już nieaktualne, jednak należy wiedzieć, że do przeprowadzenia zamachu samobójczego można „ściągnąć” wykonawcę, a więc także i kobietę, praktycznie z drugiego końca świata. Oczywiście jej motywacja, przygotowanie, nawet przeszkolenie pozostaje w niezmienionej formie, tylko nie można ograniczać się do przekonania, że np. zamachu w Afganistanie dokonują wyłącznie Afganki.

Niezależnie od wszystkiego, w swoim zamkniętym i na swój sposób hermetycznym środowisku – niezależnie od tego, gdzie ono się znajduje – nadal są czczone jako bohaterki i być może w takim właśnie uznaniu, które mimo wszystko trudno jest współcześnie zrozumieć, tkwi sedno ich motywacji, która popycha je do odebrania sobie życia w momencie naciśnięcia detonatora schowanej bomby. Ukrytej pod ubraniem, lub w pojeździe, którym właśnie jadą. A może

mających świadomość, że one „tylko mają się zbliżyć do miejsca lub celu zamachu”, a inni - z bezpiecznej odległość - zdecydują za nie kiedy zginą w walce o coś, czego być może wielu z nich nawet nie zna, nie rozumie, a może i nie w pełni akceptuje 


Przypisy:

- [1] Ch. Reuter, *Zamachowcy – samobójcy*, Świat książki, Warszawa 2003, str. 294.
- [2] Tamże.
- [3] C. Beyler *Chronology of Suicide Bombings Carried out by Women*, <http://www.ict.org.il/articles/articledet.cfm?articleid=471>.
- [4] Tamże.
- [5] tamże.
- [6] C. Beyler, *Female Suicide Bombers*, <http://www.ict.org.il/articles/articledet.cfm?articleid=470>.
- [7] Tamże.
- [8] Tamże.
- [9] *The role of Palestinian Women In Suicide Terrorism*, www.israel.org/mfa/go.asp?MFAH0n210.
- [10] *Suicide Bombings*, Handbook, US Army Training and Doctrine Command, 25 sierpień 2005.
- [11] A.Cutter, *Tamil Tigresses, Hindu Martyrs*, <http://www.columbia.edu/cu/sipa/PUBS/SLANT/SPRING98/article5.html>.
- [12] D. Gancarz, *Czarne wdowy*, *Dziennik Polski* nr 219 (18012), 19 września 2003.
- [13] Tamże.
- [14] C. Beyler, *Female Suicide Bombers*, <http://www.ict.org.il/articles/articledet.cfm?articleid=470>.
- [15] Tamże.
- [16] *Suicide Bombings: the Ultimate Weapon?*, <http://www.ict.org.il/articles/articledet.cfm?articleid=373>.
- [17] C. Beyler *Chronology of Suicide Bombings Carried out by Women*, <http://www.ict.org.il/articles/articledet.cfm?articleid=471>.
- [18] C. Beyler, *Female Suicide Bombers*, <http://www.ict.org.il/articles/articledet.cfm?articleid=470>.
- [19] *Death Wish: Suicide Bombers Have Historic Links and Tactical Advantages* <http://www.abcnews.com>, 30 styczeń 2002.
- [20] E.Sprinzak, “Rational Fanatics”, *Foreign Policy Magazine*, September, 2000. http://www.dunamai.com/>/articles/Islam/Saudi_suicide_bombings_not_terrorism.htm.
- [21] C. Beyler, *Female Suicide Bombers An Update*, <http://www.ict.org.il/articles/articledet.cfm?articleid=470>.

Fot. na wstępie: Izraelski żołnierz przy propagandowym plakacie islamskim. Fot. Israel Defense Forces



To tylko ćwiczenia. Na zdjęciu szkolenia w Afganistanie na wypadek zauważenia terrorysty-samobójcy. Fot. J. Wilbanks, defense.gov.



Proza życia, proza wojny

Przyglądam się leżącym niedaleko wzgórzom. Gdzieś na nich widać ziemne umocnienia, które każdy nazywa rejonem umocnionym separatystów. Widać je dobrze nawet z daleka. Można codziennie stać w oknie i patrzeć czy czegoś tam nie widać. Znużonym wzrokiem wodzę po niedalekich przecież miejscach. Większość chłopaków odpoczywa po wieczorno-nocnych walkach. Niektórzy w kuchni gotują dla siebie posiłki. Kawalek dalej na wytartych sofach siedzą w oparach papierosowego dymu ci, którzy z nudów wybierają telewizję. Włączony jest jakiś rosyjski kanał. Ukraińskiego nie ma ani jednego. A więc w ukraińskiej bazie leczą rosyjskie filmy, programy dokumentalne i wiadomości z Moskwy. Rosjyści prezenterzy telewizyjni podają regularnie informacje z Donbasu. Kto, kogo i gdzie ostrzelał i jakie są straty wśród ludności cywilnej. Interpretacja wydarzeń jest oczywiście korzystna dla strony separatystycznej. Nikogo to w gruncie rzeczy nie dziwi.

Wojna została przegrana

– Tak, wojna informacyjna została przegrana – ze spokojem mówi jeden z żołnierzy. Rozmawiamy o przestrzeni medialnej, w jakiej toczy się wojna o umysły i serca obywateli, przede wszystkim Ukrainy i Rosji. Gdzieś za naszymi plecami słychać włączony telewizor, z którego niesie się język rosyjski. Wojna trwająca od roku na wschodzie jest wielowymiarowa. Od działań wojennych może nawet ważniejszy jest front medialny. Nie giną na nim ludzie, ale tworzy pole dla działań wojennych. Jak mantrę powtarza się od wielu miesięcy, że kluczem do zwycięstwa jest przeciągnięcie na swoją stronę społeczeństwa. W obecnych warunkach na froncie i przy kruchych porozumieniach politycznych jakieś zdecydowane działania wydają się mało prawdopodobne. Dlatego też walka o świadomość ludności Donbasu toczy się na pełną skalę. Problemem w tym wszystkim nie jest nawet język przekazu, ale nastawienie tego, kto



tworzy przekaz i formułuje wiadomości. W Stacji Ługańskiej można odbierać tylko kanały rosyjskie. Sygnał stacji ukraińskich tu nie dochodzi. Ktoś gdzieś zainstalował antenę satelitarną, więc pewnie ma dostęp także do innych kanałów i informacji. Ale to tylko jakiś jednostkowy przypadek. W obecnych warunkach i przy niepewności jutra trudno namawiać ludzi do inwestowania pieniędzy w urządzenia satelitarne, aby mogli porównać przekaz medialny płynący z obu stron konfliktu. Zresztą zapewne większość osób nie zdaje sobie sprawy z faktu bycia przedmiotem walki, jaka toczy się o ich świadomość ponad ich głowami. Pokrzywdzeni wojną, krzywdzeni są też ustawicznie propagandą sącząca się z mediów. - Dlaczego tak się dzieje? Dlaczego Ukraina odpuszcza front telewizyjny podczas gdy wszyscy wiedzą, że właśnie to medium cieszy się największym stopniem zaufania? Zadaje pytania i ciągle słyszę jakieś niejasne tłumaczenia.

Nie wiadomo dokładnie dlaczego tak jest. Brak determinacji władzy, panuje jakaś niemożność działania, a może i niechęć, działania Rosji - padają różne argumenty, które jednak nie stanowią pełnej odpowiedzi. Tu na dole mało kto rozumie wielką politykę. To, co jest oczywiste tutaj, nie musi być tak samo oczywiste gdzie indziej. Zresztą Kijów czy jakieś wię-

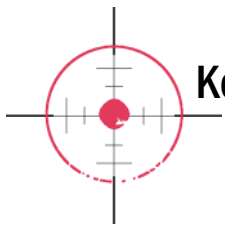
sze ukraińskie miasta są daleko, blisko są miasta opanowane przez separatystów i wojna, która toczy się tu naprawdę na serio. Problemy w skali makro są o wiele rzadziej omawiane, niż problemy małe i oddolne, które dla żyjących tutaj ludzi są o wiele ważniejsze.

Żołnierze, z którymi spędzam czas, raczej nie są podatni na akceptację rosyjskiego punktu widzenia. Przy stosunkowo wysokim morale, nie ma dla nich znaczenia czy kanały rosyjskie w ten czy inny sposób ich oczernią. Filmy rosyjskie może i oglądają z zaciekawieniem, dla starszych wiekiem to jednak jakiś stały element w ich życiu od czasów młodości, ale propagandowe podsumowania działań wojennych wywołują u nich tylko wzruszenie ramion. Wieczorem i tak pójdą robić swoją robotę, a teraz co najwyżej się pośmieją, poprzeklinają i zapalą kolejnego papierosa.

Walka trwa

Doniesienia medialne odbierane są różnie. Lokalna społeczność widzi jedno, armia widzi zupełnie coś innego. Choć wszyscy godzą się z faktem, że ogólnie wojna informacyjna nie toczy się pod dyktando Ukrainy, to tu – w Stacji, w małym wymiarze, trwa





Konflikty

cały czas. Jesteśmy na jednym z wypadów do miejscowego przedszkola. Poruszamy się po terenie kontrolowanym przez armię ukraińską, ale nikt z jadących nie rozstaje się z bronią. Zresztą to normalna zasada zachowania się w tym rejonie. Za oknami widzimy cały czas ślady po walkach. Zniszczenia w dziesiątkach miejscowości Donbasu są jak najbardziej realne i paradoksalnie taka podróż to oddech sztucznego odpoczynku od sztucznego świata mediów. Przedszkole, do którego dojeżdżamy po kilkunastu minutach jazdy, mieści się w sporym, ale na szczęście nieuszkodzonym budynku. Jedyne ślady walk to widoczne w kilku miejscach dziury po kulach, które wyglądają drastycznie i przejmująco w połączeniu z dziecięcymi zabawkami i małutkimi mebelkami. Dowódca batalionu od samego początku mojego pobytu w Stanicy upierał się, aby pokazać mi także i to miejsce. To dobra sugestia, choć wynikająca trochę ze skłonności do pochwalenia się także poza wojennymi dokonaniem oddziału. Skupienie się na czystej walce, zniszczeniach i obrazkach łatwo dających się opisać jako wojna, nie wyczerpuje przecież istoty tego pojemnego pojęcia. W całej tej próbie poznania bliżej konfliktu na wschodzie Ukrainy jest także miejsce i na życie cywili.

Proza życia, proza wojny

Sama wizyta w przedszkolu to nie tylko kurtuazyjna rozmowa z pracownikami. Chłopaki wypytyują o potrzeby i o bieżącą sytuację placówki. Tym razem nie przywożą darów, ale - jak słyszę - pomoc przez nich okazywana jest stała. Oddział, u którego kwatruję, regularnie zaopatruje przedszkole w produkty żywnościowe i leki. Tak jak w całej niemal Stanicy, nie przelewa się także i tutaj. Samo przedszkole dopiero stosunkowo niedawno zostało ponownie otwarte po zakończeniu działań bojowych, jakie toczyły się bezpośrednio w Stanicy. Niby to jakaś oznaka normalności, ale złudzenia co do trwałości spokoju ma mało kto. Wszyscy, z którymi rozmawiam przyznają nieoficjalnie, że takie bezpośrednia pomoc i działania, które oswiają miejscową ludność z armią są najlepszym sposobem na zmiany w świadomości tutejszych mieszkańców. Podarowanie chleba lub konserwy, poparcie tego dobrym i uspokajającym słowem są codziennymi małymi próbami zrobienia wyłomu w myśleniu. Podobnie zresztą





rzecz się ma z wydawaniem żywności dla potrzebujących na blokpoście. Gdzieś tam w głębi serca przynajmniej niektóre chłopaki mają nadzieję, że chociaż częściowo wpłynie to na ludzkie zachowania. Ale jak bardzo i czy w ogóle? Tak naprawdę nie wie tego nikt.

Bardzo trudno o dokładne dane dotyczące nastrojów ludności na terenach objętych działaniami wojennymi. Na terenach znajdujących się pod kontrolą Ukrainy na pierwszy rzut oka wielkiej wrogości wobec armii nie widać, ale jednocześnie każdy kto szczerze i obiektywnie stara się podejść do tego tematu twierdzi, że nawet w takiej Stanicy około 70-90 proc. mieszkańców jest bardziej za stroną separatystyczną niż za Ukrainą. Trudno o miarodajne dane, gdyż wiele osób ze strachu, a pewnie i z wyrachowania, kryje w sobie prawdziwe odczucia, co do wojny i walczących stron. Podczas gdy sytuacja, co do dalszego losu Donbasu nie jest wyjaśniona do końca, wiele osób wyczekuje jaki będzie finalny obrót wydarzeń. Teraz lepiej nie określać się do końca, bo przecież trudno przewidzieć jakie będą reakcje sąsiadów, a także samego wojska. Bo niby można wywiesić flagę ukraińską, ale kto wie czy za chwilę jedyną obowiązującą nie będzie jakaś trójkolorowa jednej z republik autonomicznych. I co wtedy?

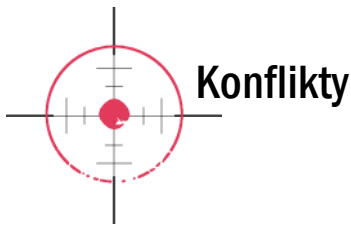
Wiele rodzin zostało rozdzielonych linią frontu, część bliskich została na terenach separatystycznych. Wiele rodzin ma swoich bliskich walczących w oddziałach nie uznawanych przez nikogo republik. To zresztą też jest ważny czynnik kształtujący zachowanie części miejscowej społeczności. Chłopaki opowiadają zresztą, choć nie wdając się w specjalne szczegóły, że częściowo wiedzą kto walczy po drugiej stronie



i jednocześnie zostawił tutaj swoją rodzinę. Wskazują rejon – o tu i tu mieszkają, a tu ktoś po nocach przychodzi w odwiedzinę. Tak więc lepiej uważać bo naprawdę różni ludzie mogą kryć się w domach oddalonych o kilkaset metrów.

Interesy

Podczas jednego z powrotów z zaprzyjaźnionego przedszkola zapraszamy do auta kobietę, która idzie w kierunku zgodnym z naszym kierunkiem jazdy. Transport lokalny jest daleki od stanu, jaki był tu przed wojną, a odległości są całkiem spore. Nasza niespodziewana pasażerka chce zdążyć do Ługańska, widać, że wyraźnie się spieszy, bo musi przejść przez punkty kontrolne po obu stronach „granicy” i zdążyć na odpowiednią marszrutkę. Prosi o wysadzenie kawałek od ostatniego ukraińskiego blokpostu; nie chce, aby ktokolwiek zobaczył, że jest podwożona przez auto należące do armii ukraińskiej. Po 200 metrach dołączy do innych osób przemierzających drogę pomiędzy Stanicą i Ługańskiem. Miły gest chłopaków, który nic nie kosztuje, a ile może dać korzyści w tak złożonych czasach.




Ale armia ukraińska ma wiele różnych obliczy i złe doniesienia na temat zachowań żołnierzy czy też konkretnych pododdziałów też coraz częściej pojawiają się w mediach czy w zwykłych rozmowach.

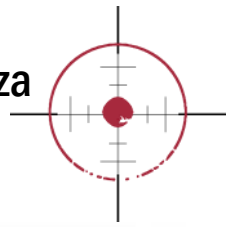
Na płocie obok szlaku, do którego podwoziliśmy miejscową kobietę, ktoś wymalował całkiem zgrabny napis: „Przejdźcie przez punkt kontrolny tylko na podstawie przepustek”. Odkąd strona ukraińska wprowadziła konieczność posiadania dokumentów uprawniających do przekraczania granicy pomiędzy terytoriami obu walczących stron, coraz częściej zaczęto mówić o łapówkach, jakie niektórzy obrotni żołnierze wymuszają na ludziach przechodzących przez blokposty. Jak dasz 20 hrywien, możesz iść. Jesteś niechętny temu rodzajowi opłaty, to stój albo zawracaj, dla ciebie przejścia nie ma. Tak w skrócie można streścić sytuacje, które coraz częściej zdarzały się i pewnie zdarzają na Donbasie. Ludzie zapewne płacą, ale swoje wiedzą. Ukraińska armia wcale nie będzie im się kojarzyła z jakąś przyjazną czy też wyzwolicielską siłą, a raczej z kontynuacją dotychczasowych reguł istniejących od lat w ukraińskim państwie. Czyli - jak dajesz łapówkę, to otrzymujesz coś w zamian. Nowa jakość w państwie po wydarzeniach na Majdanie jakoś się nie pojawiła mimo głośnych zapowiedzi władz o walce z wszechobecną korupcją. I miejscowi, którzy i tak niechętnie odnosili się do protestów z przełomu 2013-2014 r., jeszcze bardziej utwierdzają się w przekonaniu, że wszystko to było złe i niepotrzebne. A przede wszystkim jest im obce. I to, w kontekście wojny, jest w tym momencie najważniejsze.

Wojna wojną, a prywatne interesy i brak jakiegoś ogólnego odpowiedzialnego myślenia, są widoczne i słyszalne podczas wielu rozmów. Do historii z łapówkami dochodzą opowieści o przemytnikach, którzy wykorzystując obecną sytuację wwożą na tereny separatystyczne wszelakie produkty, często za cichym, aczkolwiek sówicie opłaconym przyzwoleniem jakiegoś ukraińskiego oddziału kontrolującego daną trasę. Jedni będą takich łapać, inni machać ręką i dorabiać na lewo do niewielkiego żołdu. Jakoś nie widać, aby ktoś się przejmował faktem, że wszystkie te negatywne zachowania w gruncie rzeczy obracają się przeciwko oddziałom ukraińskim.

- A co my możemy zrobić? - mówią chłopaki z mojego oddziału na wzmiankę o różnych nielegalnych praktykach. - Zgłaszaliśmy takie przypadki i co? Kazano nam nic nie robić. Zresztą my z nimi razem ramię w ramię walczymy. Kiwam ze zrozumieniem głową. Sytuacja jest patowa. Widzę jednocześnie w tym jakąś beznadziejność działań moich towarzyszy. Mogą rozdawać ile tylko dadzą rady chleba i innych produktów, a przysłowiowy sąsiedni oddział swoimi działaniami będzie niweczył wszystko co zbudowali. Mogą nie chodzić pijani po ulicach, ale i tak zawsze ktoś się znajdzie kto kupi, normalnie niedostępny dla wojskowych alkohol i po pijaku będzie budował kiepski wizerunek ukraińskiej armii. Ukraiński rząd może stosować taktykę blokady terytoriów separatystycznych, ale przy niedostatecznym nadzorze odgórne dyrektywy będą tylko fikcją.

Telewizja, ciepłe słowo, prosty gest, łapówka, awanturnictwo. Wszystko to widać jak na dłoni - jeśli dłużej się pobędzie na Donbasie. Są określone zachowania, są też ich konsekwencje. Przy tym wszystkim gdzieś nikną wielkie słowa i szumne idee. Proza życia, proza wojny, to suma wielu indywidualnych historii 





MICHAŁ HOŁUB



Arctic Canada military involvement. Part 1



Introduction

The Canadian involvement in the Arctic area can be presented in many perspectives. From the historical perspective, starting from the first expedition conducted in late nineteenth and early twentieth century. Also from the national, vital Canadian point of view means to pay attention and keep power to control the Northern areas as a territory of global significance; it allow Canada to be sure that the vicinity is secure and Canadians fulfill their responsibilities as a global power. In every of this aspects, the Canadian Armed Forces play important role. The reason of this paper is to present Canadian military involvement in Arctic.

Area

The Department of National Defence and the Canadian Armed Forces define the North as the area encompassing:

- the Sub-Arctic Region – the part of Canada that lies between 55 and 60 degrees North latitude;
- the Arctic Region – the part of Canada that lies north of 60 degrees North latitude;
- the High Arctic – the part of the Arctic Region that lies north of the Arctic Circle, which is 66.5 degrees North latitude.^[1]



○ Autor artykułu koncentruje się na kwestii rosnącego zaangażowania Kanady w obszarze Arktyki. Nie jest to jednak omówienie pełnego spektrum zaangażowania, lecz tylko jego części, czyli aktywności kanadyjskich Sił Zbrojnych. Przedstawiony został zarys ich konstrukcji, po czym omówiona została kwestia zaangażowania elementu lądowego, zarówno jego części zasadniczej, jak i sił rezerwowych. Przybliżone zostały takie obszary jak: ćwiczenia międzynarodowe, stałe operacje wojskowe – zarówno wyłącznie angażujące siły zbrojne, jak i typu „joint”, oraz porozumienia międzynarodowe. Prezentowany materiał umożliwi również poznanie zasadniczych elementów, na których opierają się wojskowe sojusze i porozumienia, z których wynika zaangażowanie innych państw w omawiane ćwiczenia i operacje. Co jest kwestią zasadniczą, autor wyjaśnia gdzie, w jakim stopniu i dlaczego Siły Zbrojne Kanady angażują się w rejonie Arktyki.

Historical background

The Canadian military has operated in the North since the days of the volunteer Yukon Field Force, established in 1898. The Force (unit size) helped the Northwest Mounted Police maintain law and order during the Gold Rush times. After departure of the Yukon Field Force, no military was present in the North until 1923, when soldiers from the Royal Canadian Corps of Signals opened first stations of the Northwest Territories and run Yukon Radio System. The radio system remained operational throughout World War II, to support commercial and industrial development in the Yukon and close areas.

In the 1930s, the Royal Canadian Air Force began photo mapping the North in order to support plans to open an oceanic shipping harbour. Throughout the 1930s the Royal Canadian Air Force undertook sporadic civil-type air operations into the North reaching the top of the continent, but never venturing out over the Arctic Archipelago.

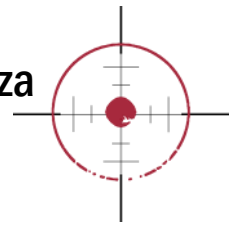
In 1950s Canada built an arctic patrol vessel for the Royal Canadian Navy (HMCS Labrador, commissioned on 8 July 1954, American Wind Class Icebreaker) which had later become the first warship ever to get the Northwest Passage. In 1954, the HMCS Labrador was transferred to the Canadian Coast Guard marking the beginning of the Canadian Coast Guard's icebreaker operations.

Military interest increased in the 1950s when Canadians started the construction of the Distant Early Warning joint Canada-United States project. In 1975 the Canadian Armed Forces had established permanent presence in the North with the formation of a headquarters in Yellowknife known as Canadian Forces Northern Area.^[2]

Finally, in August 2005, two Canadian warships entered Hudson Bay for the first time in more than 30 years. The Canadian Forces were waiting for the launch of *Radar Sat II* (satellite) in 2006, which gave Canada a first-ever capability of knowing what surface vessels are in Canadian northern waters.^[3] Today, military responsibility for the North falls under Canadian Joint Operations Command. The Command oversees six sub-commands including Joint Task Force (North).

Canadian Armed Forces - background

The Canadian Armed Forces (CAF) consist three components: maritime component, which is the Royal Canadian Navy, air component called the Royal Canadian Air Force and land component - the Canadian Army. The Navy and the Air Force continued permanent presence in the Arctic region, both through exercise, patrolling and exploring operations. Moreover, they support land component in every needed areas, like transport, reconnaissance or particular assets. According to this I would like to focus on the land component.



Arctic Canada military involvement. Part 1

As a kind of permanent activity it is worth to notice that there is a plan to establish (in cooperation with Natural Resources Canada Department) the unique facility in Resolute Bay, Nunavut province. The existing facility housing NRCan's Polar Continental Shelf Program is expanded to accommodate the CAF Arctic Training Centre (CAF ATC). The CAF ATC will provide a permanent footprint in a strategic location that will allow for staging and force projection across the high Arctic. The facility will enable training and routine operations by providing a location to pre-position equipment and vehicles, and can also serve as a command post for emergency operations and disaster response in support of civilian authorities.^[4]

What is more - it is critical to know that Canadian Army is the largest element of the Canadian Armed Forces:

- 21,600 members serve as full-time soldiers in the Regular Force,
- 24,000 are part-time volunteers in the Reserve Force (including 5,000 Rangers).

In fact, Rangers are a part of the Reserve, but actively participates in current activities like training, exercises and operations. There are over 170 Ranger patrols which are organized into five patrol groups. They provide patrols and detachments for national-security and public-safety missions in sparsely settled northern, coastal and isolated areas of Canada that cannot conveniently or economically be covered by other parts of the CAF.^[5]



Figure 1. Canadian Rangers Patrol Groups Area of Responsibility (AOR).^[6]

U.S. Coast Guard Cutter Alder transits past an iceberg field located above the Arctic Circle, while steaming south along Greenland's western coast, August 22, 2010. Alder is underway as part of Operation Nanook, one of three major operations conducted per year in the Canadian Arctic, designed to demonstrate international cooperation and expand the international ability to respond to emergencies in the Arctic.
 Fot. U.S. Coast Guard / G. Degener



International cooperation

The United States is Canada's most important ally and defense partner. Security relations between this to global powers are longstanding and highly successful.

The principal bilateral defense forums, arrangements and agreements with the U.S. are:

- **Permanent Joint Board on Defense (PJBD)** – established in 1940.
- **Military Cooperation Committee** – established in 1946 and as the primary strategic link between Canadian and U.S. joint military staffs.
- **North American Aerospace Defense Command (NORAD)** – established in 1958 and based at Peterson Air Force Base in Colorado Springs, Colorado, NORAD is a Canadian and U.S. bi-national organization tasked with aerospace warning, aerospace control and maritime warning for North America.
- **The Combined Defense Plan.**
- **Tri-Command Framework** – signed September 2009, outlines how NORAD, U.S. Northern Command (USNORTHCOM), and the Canadian Joint Operations Command (CJOC) operate and cooperate.
- **The Canada-U.S. Civil Assistance Plan** – signed February 2008.^[7]

The United States of America and Canada have also cooperated during military exercises in the Arctic^[8]. This close collaboration can be seen in Operation Nanook, Canada's annual military exercises in the Arctic, designed to promote Arctic preparedness. In 2010, American and also Danish militaries were invited to participate in order to develop joint preparedness.^[9]

In May of 2010, the Canadian and Danish Chiefs of Defense Staff signed a MOU (Memorandum of Understanding) on Operational Cooperation in the Arctic. There are yearly joint Canada/Denmark military exercises in the North.^[10]

Operations

There are a few permanent, domestic operations^[11] conducted in the Arctic:

1. OP (operation) LIMPID: routine domestic surveillance mission.
2. OP NANOOK: Contribution to whole-of-government sovereignty patrols and security exercises usually held in the high and eastern Arctic.
3. OP NUNALIVUT: Joint sovereignty patrols and security exercises in the high and central Arctic.
4. OP NUNAKPUT: Contribution to whole-of-government exercises emphasizing aid to law enforcement in the North.

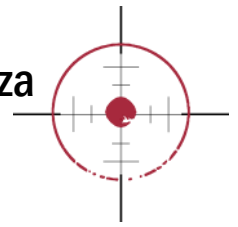
What is more, like in OP LENTUS conducted in July 2014, CAF were able to deploy personnel to support local authorities for emergency state.

Some of the goals of OP NANNOK and OP NUNALIVUT improve CAF ability to operate in Arctic conditions and maintain interoperability with international partners for maximum effectiveness in response to safety and security issues in the North. It leads to strengthen Canadian position on the international Arctic scene.

According to the list below, two of the OPs are the largest and have the most important impact on Canadian attitude to the Arctic.

OP NANOOK

Operation NANOOK is the Canadian Armed Forces' annual engagement with international military and security partners to demonstrate interoperability in the Arctic. This aspect of operation usually entails exercises using scenarios in which the Canadian Armed Forces partner with other Canadian government departments



Arctic Canada military involvement. Part 1

and agencies, and with allied armed forces, to mount whole-of-government responses to security and environmental issues. (...) The number of soldiers, sailors, airmen and airwomen deployed on Operation NANOOK has ranged from about 650 to more than 1,250.^[12]

2007 – The operation took place on Baffin Island near Iqaluit and Kimmirut in Nunavut included drug-interdiction and oil-spill scenarios.

2008 – The operation took place in and around three communities on Baffin Island: Iqaluit, Kimmirut and Pangnirtung in Nunavut. Exercises conducted during Operation NANOOK 2008 used maritime emergency scenarios, including the evacuation of a ship in distress and an oil spill.

2009 – Conducted on the southeastern coast of Baffin Island. It comprised three phases: sovereignty patrolling, a military exercise focusing on anti-submarine warfare, and a full spectrum military exercise.

2010 – Take a part in the eastern Arctic and high Arctic and involved about 600 personnel from the Canadian Coast Guard, the U.S. Navy, the U.S. Coast Guard and the Royal Danish Navy. The operation focused on a whole-of-government exercise using a spill-response scenario (a simulated petrochemical leak in Resolute Bay, Nunavut).

2011 – The first phase, conducted in cooperation with international partners from the United States and Denmark, included sovereignty and presence patrolling ashore on Cornwallis Island and at sea in Davis Strait, Baffin Bay and Lancaster Sound, and the first deployment of an unmanned aerial vehicle (UAV) in the high Arctic.



Chief Boatswain's Mate Stephen Pool fires an M240B during a gunnery exercise onboard Coast Guard Cutter Alder, July 24, 2010. Alder is underway as part of Operation Nanook, one of three major operations conducted per year in the Canadian Arctic, designed to demonstrate international cooperation and expand the international ability to respond to emergencies in the Arctic. Fot. G. Degener / U.S. Coast Guard

The second phase, an exercise using an air-disaster scenario, was cancelled to allow the engaged forces to respond to a real crisis. On 21 August 2011, when First Air Flight 6560 crashed near Resolute Bay, Nunavut, Canadian Armed Forces members deployed on Operation NANOOK 2011 were first on the scene, and remained to assist the federal and territorial authorities throughout the rescue and recovery operation.

2012 – This operation demonstrated Canada's Arctic capabilities in two separated locations: Inuvik and Tsiigehtchic, N.W.T., in the western Arctic, and Hudson Strait, Hudson Bay and its littoral area in the eastern Arctic.



2013 – Supporting emergency management scenarios, responding to threats to public safety and assisting law enforcement agencies were the main focuses during this operation conducted in areas of Cornwallis Island, Resolution Island and King William Island.

2014 – The operation took place in the Baffin Island region of Nunavut in August 2014. It involved more than 800 participants, including personnel from all branches of the CAF as well as federal and territorial governments, a ship from the Royal Danish Navy, and a surveillance aircraft from the United States Navy.

The scenario-driven operation provided a visible presence in the North and demonstrated Canada's ability to respond to security and safety incidents in the region. Operation NANOOK 14 focused on two key aspects: search and rescue (SAR) capabilities and the CAF's ability to support other government departments (OGDs) in remote areas of the North.

OP NUNALIVUT

Operation NUNALIVUT is a sovereignty operation conducted annually since 2007 in Canada's North, providing an opportunity for the CAF to assert Canada's sovereignty over its northernmost regions, to demonstrate the ability to operate in the harsh winter environment in remote areas of the High Arctic, and to enhance CAF capability to respond to any situation in Canada's North.^[13]

In this operation, for example, take part the US military detachment - New York Air National Guard unit. The 109th Airlift Wing is sending about 30 airmen and two LC-130 planes to transport supplies in support of the Canadian forces participating in Operation Nunaliut. The 109th took part in the Canadian maneuvers for the first time last April.^[14] There are some historical facts^[15]:

2007 – three teams patrolled Ellesmere Island on snowmobiles, covering almost 6,000 kilometers.

2008 – Canadian scientists supported by the Canadian Rangers conducted research and investigation of changes in the Ward Hunt Ice Shelf on the north-west part of Ellesmere Island.

2009 – CAF conducted four aerial surveillance and ground patrols on Ellesmere Island and Axel Heiberg Island.



Royal Danish Naval Vessel Knut Rasmussen participates in Operation Nanook 2010. Fot. G. Degener / U.S. Coast Guard

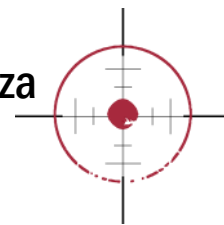
2010 – Operation demonstrated the Canadian Armed Forces' ability to respond to emergencies on Ellesmere Island, near Canadian Armed Forces Station Alert, on Ward Hunt Island, and on the sea ice of the Arctic Ocean. It was a combined exercise with a Greenland-based Royal Danish Navy reconnaissance unit.

2011 – About 250 Canadian Armed Forces members conducting cross-country patrols in Nunavut.

2012 – The operation was conducted on Cornwallis Island and Devon Island by a task force of about 150 Canadian Armed Forces members, including about 50 Canadian Rangers. It combined ground patrols with search-and-rescue (SAR) exercises and diving operations in support of the Northern Watch Technology Demonstration Project, an initiative of Defence Research and Development Canada (DRDC).

2013 – The operation focused on demonstrating the Canadian Armed Forces' capability projection in the High Arctic during winter, the ability to operate in the harsh winter environment and the capacity to respond to any situation in Canada's North. CAF members conducted reconnaissance and surveillance patrols on the land, in the air and on ice over 600km going as far west as Mould Bay, Northwest Territories and as far north as Isachsen, Nunavut.

2014 – The operation was conducted in three distinct locations in the Resolute Bay, Nunavut area. The Task Force Headquarters operated out



Arctic Canada military involvement. Part 1

of Resolute Bay. What is important, first in this operation took a part US National Guard Air unit (109th Wing).

2015 – The operation conducted in April, in and around Cambridge Bay. It is worth to know the statement of Lieutenant-Colonel John St. Dennis, Task Force NUNALIVUT Commander: “Operation NUNALIVUT is an all-encompassing activity, bringing together not only the Canadian Army, Royal Canadian Navy and the Royal Canadian Air Force, but also our many community, Allied and Governmental partners; it’s a tangible demonstration of how “Team North” can come together successfully in an environment that few have been to, and fewer still can operate in.” (...) ^[16]


Exercises

Joint Task Force (North)’s area of responsibility comprises of a number of unique environmental and logistical features which differentiate this region from the rest of Canada. These features pose additional and significant requirements on the conduct of military exercises and activities, making it an excellent training environment for southern-based troops. Joint Task Force (North) is a key player in the North and uses its local expertise to prepare plans and lead units that come to train in Canada’s Arctic.^[17]

Every year, JTFN is involved in exercises and activities throughout its area of responsibility, including NOREX (Northern Exercises package like TRILLIUM RESPONSE for 4th Division and Exercise ARCTIC RAM for 3rd Division), Northern Mercury (communication exercise), national Search and Rescue (SAR) exercise and other special trainings and courses.

Conclusion

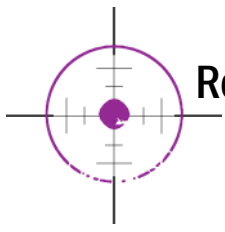
The increasing involvement of Canada in the Arctic region is noticeable, but there are no typical signs of military expansion. Solid operations, such as Operation Nanook and operation Nunavut will help preserve insight into the region and safeguarding the national interests of Canada. In contrast, regular exercises, involving also international elements, are primarily aimed at maintaining the capacity of Canadian Forces to act in this specific area.

Currently there are no reasons based on which one might conclude that Canadian involvement is characterized by dynamic growth. It is rather a permanent and systematic marking its sphere of influence within the framework of national security interest and strengthening position on the international area .

Przypisy:

- [1] <http://www.forces.gc.ca/en/operations-canada-north-america-recurring/op-nunavut.page> dostep 05.05.2015.
- [2] <http://www.forces.gc.ca/en/operations-regional-jtf-north/background.page> (05.05.2015).
- [3] <http://www.journal.forces.gc.ca/vo6/no4/north-nord-eng.asp> (05.05.2015).
- [4] <http://www.forces.gc.ca/en/news/article.page?doc=canadian-armed-forces-arctic-training-centre/hkdons6l> (05.05.2015).
- [5] <http://www.army-armee.forces.gc.ca/en/index.page#> (06.05.2015).
- [6] <http://www.army-armee.forces.gc.ca/en/index.page> (04.05.2015).
- [7] <http://www.forces.gc.ca/en/news/article.page?doc=the-canada-u-s-defence-relationship/hob7hd8s> (03.05.2015).
- [8] In September 2009, NORAD, USNORTHCOM and Canada Command (a predecessor to CJOC) signed the Framework for Enhanced Military Cooperation which codified the close relationships among the three commands and ensured a timely and coordinated response to defense and security challenges to North America. The framework’s goal is to improve unity of effort by promoting enhanced military cooperation in the preparation and conduct of defense, security and safety operations in North America, including the Arctic. (<http://www.forces.gc.ca/en-05.05.2015>).
- [9] <http://www.international.gc.ca/arctic-arctique/partners-international-partenaires.aspx?lang=eng> (05.05.2015).
- [10] <http://www.international.gc.ca/arctic-arctique/partners-international-partenaires.aspx?lang=eng> (03.05.2015).
- [11] <http://www.forces.gc.ca/en/operations/current-list.page#tab-1424977816603-1> (06.05.2015).
- [12] <http://www.forces.gc.ca/en/operations-canada-north-america-recurring/op-nanook.page> (08.05.2015).
- [13] <http://ottawacitizen.com/news/national/defence-watch/arctic-exercise-kicks-off-today-involving-canadian-army-rcn-rcac-canadian-rangers> (07.05.2015).
- [14] <http://ottawacitizen.com/news/national/defence-watch/u-s-air-unit-taking-part-in-canadian-arctic-exercises> and Associated Press (02.05.2015).
- [15] <http://www.forces.gc.ca/en/operations-canada-north-america-recurring/op-nunavut.page> (05.05.2015).
- [16] http://news.gc.ca/web/article-en.do?nid=957709&_ga=1.6169907.1866089514.1430770697 (04.05.2015).
- [17] <http://www.forces.gc.ca/en/operations-regional-jtf-north/exercises.page> (08.05.2015).

Fotografia na wstępie: HMCS Corner Brook sails past an iceberg during Operation Nanook 2007, fot. Canadian Armed Forces.



„Gromek, ściągniesz na nas nieszczęście...”

Z generałem Gromostawem Czempińskim rozmawia Mariusz Łaciński

– Pisze pan generał jakieś wspomnienia o operacji ewakuacji sześciu agentów CIA i DIA z Iraku.

– Tak, piszę i ciągle przerywam. Książka powstaje w bólach.

– Zwykle tak przecież bywa.

– Tak, bo jest wiele ciekawych rzeczy do opowiedzenia, ale nie koniecznie wszystkie powinny ujrzeć światło dzienne.

– Tak tyle, że już wiele o tej operacji napisano. To było jakieś bajkopisarstwo?

– O wielu sprawach mówiłem wcześniej, ale nie wchodząc w pewne szczegóły.

– Ale było kilka spotkań z oficerami amerykańskiego wywiadu, bo trzeba było przecież odnaleźć ich ludzi w Iraku.

– Zaczęło się od tego, że Amerykanie szukali jakiegoś wywiadu, który pomógłby wywieźć ich agentów z tego kraju. W chwili, kiedy Irak rozpoczął atak na Kuwejt, oni obserwowali działania wojsk Husajna. Ale z uwagi na zaostrzający się reżim kontrwywiadowczy i policyjny w Iraku Amerykanie nie potrafili przeprowadzić tej operacji ewakuacyjnej przy pomocy własnych ludzi.

– Dlaczego zwrócili właśnie się o pomoc do naszego wywiadu?

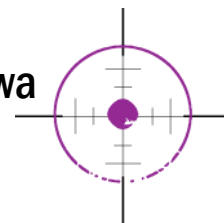
– Inne agencje im odmówiły; Irakijczycy polowali szczególnie na Amerykanów, bo wiedzieli, że wojna wisi na włosku. Wiedzieli, że jak ich złapią to będzie to element jakiejś rozmowy przetargowej.

– Złapani agenci mogli być zakładnikami.

– Tak, a Irakijczycy mogli mieć ich sporo, bo wiedzieli, że w ambasadzie USA pracuje wielu specjalistów do spraw wywiadu. W końcu Amerykanie zwrócili się do nas, bo wiedzieli, że nasz wywiad jest niezależny i godny zaufania. Były trzy spotkania – jedno w Lizbonie, a dwa w Warszawie, między innymi z zastępcą szefa do spraw operacyjnych CIA i całą dużą delegacją amerykańską. I na podstawie tych rozmów oni zrozumieli, że jak tylko zakończył się w Polsce okrągły stół, to Solidarność ma coraz większy wpływ na formowanie się rządu, więc oni



gen. Gromostaw Czempiński (drugi od prawej)



natychmiast weszli w współpracę z naszym wywiadem, bo wiedzieli, że jest *stricte* polski.

- Ale mogli mieć przecież jakieś wątpliwości? Chyba uzasadnione...

- Tak. Nawet do dzisiaj utrzymuje się u różnych polityków takie przekonanie, że nasz wywiad był odnogą wywiadu rosyjskiego.

- A tak nie było?

- Odpowiem tak. Informacje o chłodnych relacjach naszego wywiadu z KGB pochodziły od oficerów wywiadu rosyjskiego - uciekinierów wysokiego szczebla. To od nich Amerykanie dowiadywali się, że polski wywiad jest samodzielny i chodzi własnymi ścieżkami. Oczywiście nie oznaczało to, że ludzie z KGB nie otrzymywali od nas pewnych informacji, ale nie były one jakimś zagrożeniem na kierunku amerykańskim.

- Ale Amerykanie mieli także informacje od uciekinierów z naszego wywiadu.

- Tak i oni im mówili, że polska szkoła wywiadu w Kiejkutach była całkowicie od Rosjan niezależna i nie było na nią żadnych wpływów politycznych. Za tem po kilku spotkaniach, a zwłaszcza po tym majowym - o ile pamiętam - w Warszawie Amerykanie z miejsca zaczęli z nami współpracę. Nie mieli żadnych wątpliwości, czy mogą nam przekazać wszystkie tajne informacje. I dlatego po pewnym czasie zwrócili się do nas o pomoc w ewakuacji sześciu ich oficerów- agentów wywiadu CIA i DIA z Iraku.

- Nie mieliście obaw?

- Tak, w pewnej chwili otrzymaliśmy od naszej agentury informacje, że jest to operacja bardzo niebezpieczna i wyjątkowo trudna do zrealizowania.

- Dlaczego?

- Bo kontrwywiad i policja iracka zaostryły procedury poruszania się po Iraku ludziom z obcych państw. Obowiązkiem obcokrajowca było zgłoszenie się osobiście na policję i dopiero po rozmowie z oficerem tamtejszego kontrwywiadu mógł

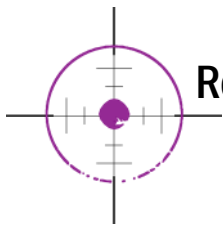
o trzymać wizę wyjazdową. Istniała też obawa, że może się to negatywnie odbić na kilkuset naszych inżynierach i robotnikach pracujących w tamtym czasie w Iraku. Było więc duże i uzasadnione ryzyko, że całe to przedsięwzięcie może się nie udać. Poza tym Irakijczycy zaczęli grupować obcokrajowców w obiektach, co do których istniało domniemanie, że - jak tylko zacznie się wojna - zostaną zaatakowane.

- Rozumiem, że podjęcie decyzji o przeprowadzeniu tej akcji nie było sprawą prostą. Czy tak?

- Nasz rząd obawiał się ryzyka i początkowo poinformowaliśmy Amerykanów, że tego jednak nie zrobimy. Resort był na *nie*, bo obawialiśmy się o możliwe retorsje wobec obywateli Polski. Ja jednak mając na uwadze, to że jest istotna operacja, bo nasza współpraca z Amerykanami przecież dopiero się zaczęła uznałem, że trzeba to zrobić. Była to właściwie operacja humanitarna, bo dotyczyła ewakuacji ludzi, którzy byli bez szans na uzyskanie tych wiz wyjazdowych.

- Był pan wtedy zastępcą do spraw operacyjnych wywiadu UOP więc sam podjął pan to wyzwanie i zaryzykował?

- No tak, więc postanowiłem poinformować ministra, że zrobimy jednak tę operację. Szukałem ochotników, ale nie mogłem ich znaleźć. Oficerowie mieli różne wymówki, bo byli przekonani, że tego się da zrobić. W tej sytuacji powiedziałem - „jadę sam”, a oni na to - „jak pojedziesz, to pewnie nie wrócisz”. Jednak się zdecydowałem i przekonałem Milczanowskiego i Kozłowskiego, który mnie zawsze darzył jakimś zaufaniem. I pojechałem do Iraku na papierach dyplomatycznych, ale na miejscu przekonałem się, że na tym dyplomatycznym statusie daleko nie zajadę i może to zrobić uszczerbek jakiś na mojej karierze, bo się z tego Iraku nie wydostanę. Oficerowie z naszej rezydentury też mi mówili, że „na takim paszporcie nie możesz się tu poruszać, bo cię kontrwywiad od razu namierzy. Najlepiej jak byś był zwykłym robotnikiem”. Więc rezydentura zrobi-



ła mi takie dokumenty w oparciu o osobę, którą uznano, że jest podobna do mnie, a ja byłem jakby jej sobowtórem.

- Rozumiem, że były to dokumenty osoby rzeczywiście pracującej w Iraku?

- Tak i to pozwalało mi się względnie swobodnie poruszać po Iraku zwłaszcza, że tyle tych check pointów było wokół Bagdadu. Praktycznie przy każdej drodze wylotowej.

- Z tego, co wiem to sześc.

- Tak, ale to po drodze do Mosulu.

- Ale była też pewna kobieta z irackiego kontrwywiadu, która pomogła i wprowadziła do komputera pomocne dane.

- No tak, ale było to pewne ryzyko. Jak mi te papiery zrobili to sytuacja była taka, że było dwóch tożsamyh polskich obywateli pracujących w Iraku w firmach zagranicznych. Istniało ryzyko równoczesnego pojawienia się ich na check poincie, ja tu,

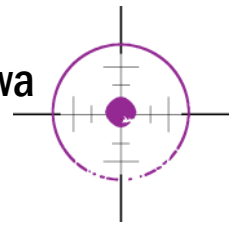
a on na przykład w Biafsze. A warto dodać, że iracki kontrwywiad miał doskonale funkcjonujący system komputerowy, najlepszy na Bliskim Wschodzie, ale - tak czy inaczej - mogłem się poruszać. I taki pomysł mi wpadł do głowy, że ja to zrobię i że to się uda. Rezydentura zaczęła mi organizować imprezy, na których nawiązywałem różne kontakty z miejscową ludnością. I tak poznałem pewną kobietę, która wyróżniała się między innymi tym, że była ubrana inaczej niż kobiety w tym kraju i знаła język angielski.

- Był to jakiś kontakt intymny? Coś zaiskrzyło, chemia jakaś?

- Nie, ona się po prostu mną zainteresowała. Taki normalny kontakt. Ją do mnie przyciągał przede wszystkim ogromny zasób wiedzy, jaką miałem. Tłumaczyłem, że wprawdzie niedawno przyjechałem do jej kraju, ale interesuję się tym, co się dzieje wokół Iraku i że moim zdaniem wojna jest nieunikniona; prowadziliśmy tego typu dyskusje. Ona mogła



gen. Gromosław Czempiński (pierwszy z lewej)



też zakładać, że jestem mężczyzną i interesuję się nią, bo jest po prostu kobietą. A potem dowiedziałem się od kolegów, że nie wystarczy iść tylko z dokumentami wyjazdowymi do Kuwejtu na policję, żeby dostać wizę wyjazdową, ale muszę również być zarejestrowany w irackim systemie komputerowym, co pozwalało mi poruszać się po terenie Iraku.

- I ta kobieta pomogła?

- Dokumenty, z którymi się do niej zwracałem dotyczą mnie oraz moich najbliższych przyjaciół. Problem polegał na tym, że występowałem w tych dokumentach jako obywatel o innym nazwisku - jako robotnik jakiś czy inżynier, a byłem przecież dyplomatą.

- Czyli chodziło o wprowadzenie odpowiednich danych w iracki system komputerowy.

- Pewnego dnia człowiek, który pilnował ambasadę powiedział mi - „miejscowe służby się panem bardzo interesują” i wtedy zdałem sobie sprawę, że za chwilę te podwójne papiery będą grały przeciwko mnie. Więc postanowiłem to przyspieszyć.

- No ale chodziło o tych Amerykanów.

- Tak chodziło o tych sześciu, inni pewnie w Iraku pozostali. Nie wiem, jak ta kobieta to zrobiła, ale powiedziała mi, że są zarejestrowani w ich systemie komputerowym i mogą ubiegać się wizę wyjazdową. Myślę, że prowadziła wobec mnie jakąś grę.

- A może, panie generale, było odwrotnie? Może to pan z nią pogrywał?

- Trzeba zawsze pamiętać, że do gry trzeba dwojga. Ja zakładałem, że ona jest z miejscowych służb i obsługuje te spotkania. Nie wiem w jaki sposób to zadziałało, ale wiedziałem, że ci Amerykanie muszą z Iraku jak najszybciej wyjechać.

- Ale panie generale wydaje się to wręcz nieprawdopodobne.

- Wydaje mi się, że dopisywało mi szczęście, a ona uważała, że robi gest wobec mnie, zyskując

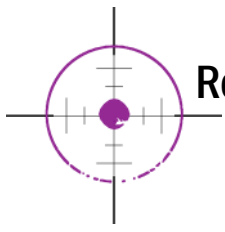
moje zaufanie, bo najprawdopodobniej przypuszczała, że ja nie zaryzykuję i że mogę przyjść do niej z jakimiś papierami dla Amerykańskich oficerów. Jak się nad tym nadal głowię; wciąż się zastanawiam jak to opiszę w książce. Ale w ostatecznym rozrachunku oni dostali te wizy wyjazdowe.

- Potem była ewakuacja i sześć chcek punktów kontrolnych w drodze do Mosulu...

- Tak. Ruszyliśmy o piątej. O tym, że planuję ewakuację następnego dnia poinformowałem centralę o pierwszej w nocy, wiedząc o tym, że czeka ona na depezę ode mnie do jedenastej. Wiedziałem, że następny seans jest o szóstej, a operację zaczęliśmy o piątej. Więc wiedziałem, że między pierwszą w nocy, a szóstą rano nikt nie zjawi się w centrali i nie zareaguje na mój plan. Co więcej, oni w Warszawie nie wiedzieli, że ja będę jechał na lewych papierach, bo gdyby to wiedzieli, to tym bardziej by mi na to nie pozwolili. No ale jednak depeza przysłała i szef rezydentury przyjechał z nią do mnie o wpół do piątej na miejsce zbiórki skąd mieliśmy ruszać. Postawił mnie pod ścianą i mówi, że ja na papierach dyplomatycznych nie mogę się poruszać po Iraku i jechać razem z tymi Amerykanami, mówił - „bo to ty jesteś w największym niebezpieczeństwie i zwracasz na siebie uwagę”. Tyle tylko, że nie wiedział, że mam inne lewe dokumenty, a na to centrala by się nie zgodziła. I mi mówi - „Gromek, ściągniesz na nas nieszczęście”... Więc ja tłumaczę Amerykanom, że centrala nie zgadza się na mój udział w tej operacji, bo ściągam na siebie uwagę irackich służb. A oni mówią, że też mają wytyczne. „Jak pana z nami nie będzie, to my też nie wyjeżdżamy”. Trzeba było wsiąść do auta i z nimi jechać. Mieliśmy samochody osobowe podstawione przez naszych ludzi, ale nie z wywiadu tylko przez naszych inżynierów pracujących w Iraku i pojechaliśmy do Mosulu.

- A jak było z tym alkoholem po drodze?

- Trzeba było sięgnąć po ten sposób, bo oni ni w żąb po polsku nie mówili i jeszcze dostali nasze dokumenty. Ale na całe szczęście na tych sześciu



check pointach głównie mnie z samochodu wyrzucali i mnie sprawdzali, bo miałem najłabsze dokumenty. Ale że byłem kierownikiem całej tej wycieczki, to jakoś dałem radę.

- Ale ostro pili gorzałę?

- Tak, bo chodziło o to, by jakoś złamali ten angielski i gadali niby jak Polacy. Ale adrenalina tak na nich działała, że po dwóch butelkach Scotch Whisky nie mogli się upić. Na ostatnim check pointie Irakijczycy trzymali nas chyba z cztery godziny. Umieścili nas w pomieszczeniu z kamerami i sprawdzali czy te nasze dokumenty są legalne czy nie. A nas było trzech Polaków i tych sześciu Amerykanów. Zrobiliśmy takie zamieszanie, że niby wszyscy gadamy po polsku. I się udało. Ale Amerykanie byli tak spięci, że nie wiedzieli nawet jak się nazywają. Jak pytałem na przykład Kowalski, to oni coś tam bełkotali zalani więc ci z kontrwywiadu się nie zorientowali, że to są Amerykanie.

- A potem był sprint na granicy...

- Mówię im - „panowie, spokojnie”. No to przeszli może ze dwieście pięćdziesiąt metrów, a potem zaczęli biec. Jeden z moich współpracowników zemdlał; powiedział mi potem, że to było ponad jego siły. Ale wszystko dobrze zagrało - dzięki współpracy zespołu ludzi, rezydentury i centrali. Ta akcja przyczyniła się do uwiarygodnienia naszego wywiadu w oczach służb zachodnich.

- Ta operacja chyba przyczyniła także do powstania jednostki specjalnej GROM i jej sfinansowania. Czy był to ze strony Amerykanów jakiś rodzaj podziękowania?

- Ten zamysł powstał w głowie Sławka Petelickiego, który był oficerem kontrwywiadu zagranicznego i zajmowała się między innymi ochroną naszych ambasad i palcówek za granicą. Zwłaszcza po zamachach na Bliskim Wschodzie. I jak nasza ambasada w Bejrucie została zaatakowana Sławek powiedział - „Gromek, trzeba stworzyć jednostkę specjalną”. Popierali to Milczanowski, Brochwicz i Kozłowski.

- Ale taka jednostka specjalna trochę jednak kosztuje...

- Sławek powiedział do mnie - „Może trzeba by pojechać do Waszyngtonu i pogadać z nimi o tym. No i pojechaliśmy. W hotelu Marriot w Betesdzie spotkaliśmy się z oficerami CIA. Sławek powiedział im o co chodzi. Spotkanie nie trwało długo. Może godzinę albo półtorej. Po ich wyjściu Sławek mówi - „Kłapa... Nie chcą nam pomóc”. Ja też mówię - „Cholera nie wiem o co chodzi?” A potem, o dziewiątej rano pojawiła się cała ekipa. Było ich chyba z siedmiu czy dziesięciu specjalistów i zaczęło się. Przedstawili plan i szczegółowe działania jak taką jednostkę można stworzyć. Jak ma wyglądać cała logistyka, jacy mają być ludzie i instruktorzy. Ile to kosztuje. Jaka ma być broń i łączność. I powiedzieli nam też - „Dajemy wam poligony, przysyłajcie ludzi i działamy”. Pamiętam jedno, jak wysokiej rangi oficer powiedział wtedy - „Damy wam wszystko, tylko tego nie zmarnujcie”.

- Ale pański sukces w Iraku miał także swoją cenę. Mam tu na myśli śmierć Jacka Bartosiaka snajpera w GROM-ie, który zginął w wypadku drogowym w Bejrucie rozjechany przez ciężarówkę, której kierowca nagle zniknął. On wprawdzie nie uczestniczył przy operacji ewakuacji Amerykanów, ale czy nie była to zemsta Irakijczyków za tę właśnie akcję?

- Tak to odebraliśmy. Była to prawdopodobnie retorsja irackiego kontrwywiadu.

- Na jego pogrzebie w Warszawie, w którym uczestniczyłem byli także amerykańscy oficerowie...

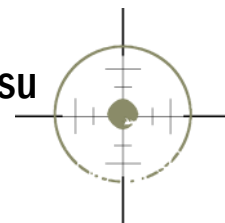
- To oczywiste. Trudno żeby ich tam nie było skoro zginął żołnierz GROM-u.

- Serdecznie dziękuję za spotkanie i rozmowę



rys. A Zaręba

Z dystansu



Wskazano dowódcę SZ RP w czasie wojny

Jak poinformowało BBN, na wniosek premier Ewy Kopacz prezydent Bronisław Komorowski wskazał generała Marka Tomaszycyckiego jako kandydata do mianowania na stanowisko Naczelnego Dowódcy Sił Zbrojnych w czasie wojny. Zgodnie z reformą systemu kierowania i dowodzenia Siłami Zbrojnymi, naczelny dowódca przejmie dowodzenie w czasie wojny podlegając bezpośrednio pod prezydenta, który kierował będzie obroną państwa razem z rządem. Naczelnym dowódcą nie przejmie dowodzenia całymi siłami zbrojnymi, ale wycinkiem zadań związanych z obroną kraju. Zdaniem prezydenta Komorowskiego, przepisy nowej reformy kładą kres problemom z regulacją spraw kierowania państwem w warunkach kryzysu wojennego, uzbrajają państwo w realną zdolność skutecznego i szybkiego reagowania oraz umożliwiają wykorzystanie potencjału Sztabu Generalnego celem zwiększenia roli prezydenta w czasie zagrożenia wojennego.

Mniej Indian, coraz więcej wodzów?

Polska znajdzie się w „elitarniej” piątce państw NATO

... wydających na cele obronne co najmniej 2% swojego PKB. Dzieje się tak jednak dlatego, że generalnie nakłady wojskowe państw Sojuszu mają jak dotychczas tendencję spadkową. W 2014 roku tylko cztery państwa przeznaczyły tyle w swoim budżecie na armię: Stany Zjednoczone, Grecja, Estonia i Wielka Brytania. Ogólny poziom nakładów na obronę wśród państw europejskich jest krytykowany przez USA, które muszą brać na siebie większy ciężar finansowy. Swoje budżety obronne zmniejszą w tym roku natomiast główni członkowie NATO:

Włochy, Wielka Brytania, Niemcy i Francja.

Zdaniem ekspertów, dodatkowe nakłady zbrojeniowe Polska powinna przeznaczać na zakup i budowę systemów przeciwrakietowych, broni przeciwpancernej, samolotów bezzałogowych, rozbudowę marynarki wojennej i pojazdów dla piechoty a także dozbrojenie Wojsk Specjalnych. Potrzebne są też inwestycje w nowe systemy łączności oraz przeniesienie jednostek wojskowych z granicy zachodniej na wschodnią.

Tylko czy w tej elicie nie powinny znajdować się same najbogatsze państwa Sojuszu?

Podwodna bomba ekologiczna w Bałtyku

Naukowcy ostrzegają przed niemiecką bronią biologiczną zatopioną po II wś. w Morzu Bałtyckim. Składowiska szacowane na 40-300 tys. ton po zwycięstwie nad hitlerowcami przejęli i zatopili tam Amerykanie. Skład zawierający pociski i bomby m. in. z iperytem, luizytem i fosgonem wylądował głównie w pobliżu Bornholmu. Część składowiska zalega w polskiej strefie ekonomicznej.

Zawartość ulegających korozji pocisków i bomb przedostaje się do Morza Bałtyckiego, którego wody posiadają jedynie minimalną wymianę z oceanem. Jednakże większość trucizn to trudno rozcieńczalne oleiste ciecze, a zimna temperatura wody w Bałtyku ma rozpuszczanie się toksycznych substancji dodatkowo utrudniać. Zagrożenie wymaga na początek precyzyjnego określenia miejsc i rodzaju zatopionej broni biologicznej. Sprzątanie morza kosztować może nawet 5 mld \$. Kto ma je wyłodzić, nie wiadomo.

Niemcy wyprodukowali, Amerykanie zatopili, a sprzątać będą... ?

TM



Polskie fatum



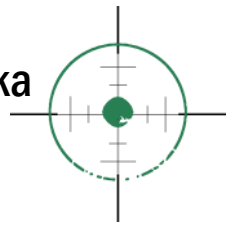
Jedno z najbardziej ulubionych przez Polaków słówek jest definiowane przez "Słownik języka polskiego" PWN z 2007 roku jako: „zaimek tworzący w połączeniu z czasownikiem formy o znaczeniu biernym np. „Wychowywał się u dziadków”. Słownik podaje jeszcze kilka innych możliwych do zastosowania definicji tego uniwersalnego i sympatycznego zaimka, ale ta wydaje się najtrafniej oddawać jego dziejowe znaczenie dla narodu polskiego. Biernik w połączeniu z czasownikiem przewija się przez historię Polski, oplata ją jak winna latorośl modrzewiowy dworek i okresowo staje się lingwistycznym dyktatorem podejmowanych decyzji.

„Stało się” - można sobie wyobrazić pierwszą myśl marszałka Śmigłego-Rydza, w sumie prawego człowieka lecz o chwiejnym charakterze, niedokończonego artysty - malarza, po nadejściu depeszy o przekroczeniu granicy Polski przez niemieckie wojska. Pięć lat później wybuchowi Powstania Warszawskiego także „nie dało się” zapobiec, pomimo, że było jasne jak słońce, iż Niemcy opanowali panikę i ustabilizowali front.

Zaimek „się” pełni w polskim dialogu wewnętrznym rolę swoistego greckiego fatum, które ciąży nad naszym nieszczęśliwym krajem, uniemożliwiając przekreślenie

historycznego przekleństwa. Bo to „się” jak wiadomo powstaje poza nami, gdzieś w przestrzeni metafizycznej. I tak dzieje się (!) prawie od samego początku. Sięgając w głąb dziejów jesteśmy na przykład świadkami jak Zakon Krzyżacki „zadomowił się” w Prusach, oczywiście znów z sprawą wszystko wyjaśniającego „się”, które zastępuje nam w Polsce wielotomowe analizy, tak lubiane w krajach tzw. zgniłego zachodu. Te analizy bowiem bywają konkretne, druzgocąco krytyczne i pozbawione cech krzepiących. Zazdrościmy jednocześnie tym potęgom, gdzie niewiele zostawia się miejsca na naszą ulubioną improwizację (czyżby polityka polska była odmianą jazzu?), bo też byśmy chcieli dostawać niemieckie ubezpieczenia społeczne oraz móc sobie pozwolić na angielskie domki z ogrodami. Tyle tylko, że tamtym zachodnim potęgom „udało się”, zaś nam „się” za jasną cholerę nie chce udać...

Jednocześnie uważamy się (!) za lepszych od nich, bo to przecież nie sztuka zwyciężać jeśli się posiada zaplecze naukowo-badawcze, tradycje przemysłu i handlu, i pierwszorzędne uzbrojenie oraz dobrze wyszkolonych żołnierzy. My jako ci bliżsi spraw fatalnie karmicznych tradycyjnie „idziemy w bój bez broni” i na koniec zazwy-



Polskie fatum

czaj „nam się nie udaje”. No ale prawdziwa sztuka nie leży w banalnym sukcesie, łatwym do przewidzenia, kiedy się posiada kompetentnego dowódcę, zawodowych podoficerów i biegłych w rzemiośle żołnierzy. Prawdziwa sztuka bowiem to próbować zwalczać broń pancerną za pomocą nieuzbrojonych poetów (podobno piórem też można zabić, ale to zapewne wymaga długotrwałego szkolenia) lub skonstruować nowy typ szabli kawalerskiej obiektywnie najdoskonalszej w dziejach ludzkości^[1] zamiast zainwestować w wygodny pistolet maszynowy dla kawalerii.

Ale owo „się” pełni także funkcję terapeutyczną i jest świetnym adwokatem przed sądem Historii. Dzięki usługom funkcjom zaimka swoje decyzje, najczęściej niezbyt udane (a przecież decydenci są podobno opłacani sowskie za decyzje dobre), usprawiedliwiają tzw. wielcy.

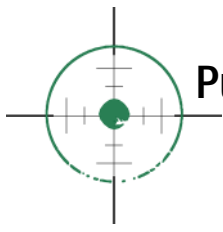
Sądu historii raczej niż oczyszczenia przed Trybunałem Stanu przez dwie dekady domagał się gen. Wojciech Jaruzelski, który 13 grudnia 1981 roku zmarnował unikatową sposobność uczciwego dogadania się władzy wyposażonej w środki techniczne i militarne z chwilowo upodmiotowionym społeczeństwem. Zamrożenie ak-

tywności społecznej i ogólna beznadzieja, jaka po udanej operacji militarnej (podkreśla się do dziś sprawność z jaką odzyskujący perspektywy na przyszłość obywatele zostali „wzięci za mordę” przez organy państwowe) nastąpiła była podobno lepsza od tego, co by nastąpiło alternatywnie, gdyby „oni się (!) tu pojawili”.

Wobec tego argumentu, znajdującego się w tradycyjnym arsenale języka politycznego, autor mógł się sprawnie wyplątać z własnej decyzji, skoro spotykał się (!) z krytyką. Do fatum „się” nikt bowiem nie może o nic mieć pretensji.

Tak samo trudno mieć dziś pretensje do gen. Tadeusza Komorowskiego, skoro: „powstania 1 sierpnia 1944 o godzinie 17.00 nie dało się odwołać”. Oczywiście realnym zagrożeniem dla bezpieczeństwa Armii Krajowej była częściowa dekonspiracja, ale przecież znamy z kart „Pana Tadeusza” słynną kwestię „Szabel nam nie zabraknie, szlachta na koń siędzie, ja z synowcem na czele i jakoś to będzie”. Post factum zawsze można się wytłumaczyć, że w subiektywnej ocenie nie można narażać kilku istnień ludzkich czyli wypuszczonych w miasto patroli, bo ryzyko chaosu było zbyt wielkie (tak jakby kontrolowanie izolowanych grup walczących chaosem nie było). A potem oczywiście - „sytuacja zmieniła się”.





Ostatecznie ryzyko tego hazardu wzięli na siebie (nie pytani przez nikogo) cywilni mieszkańcy największego miasta w Polsce. Cena okazała się być na poziomie 180 000-200 000 zabitych (spory o wysokość kwoty toczą się do dziś). Poświęcenie to nie miało żadnego wpływu na strategiczne decyzje podjęte wcześniej w Jałcie przez przywódców tzw. Wielkiej Trójki. Z całą zaś pewnością jednym z długotrwałych efektów odczuwalnych na poziomie indywidualnym było całkowite rozbrojenie społeczeństwa w epoce PRL i trwająca do dziś społeczna hoplofobia.

Dzięki niezwykłym walorom tego zaimka, możemy na kanwie pomocnej ojczystej mowy zbudować twierdzę obrony przed oszczercami. Na sąd historii powoływał się o ile mnie pamięć nie myli minister spraw zagranicznych II RP - Józef Beck, kiedy się okazało, że przeszacował wartość swoich ocen sytuacji politycznej, co doprowadziło do kompletnej kompromitacji społecznej naczelnego dowództwa Wojska Polskiego 18 września 1939 roku.

Splot wydarzeń którymi miał zarządzać z urzędu Beck, korzystający ze wszystkich możliwych przywilejów władzy, doprowadziły w końcu do całkowitego pata w trzecim tygodniu września 1939 roku: rząd i naczelne dowództwo w opinii społecznej utraciły mandat do wykonywania władzy, ze wschodu nadciągnęła nieoczekiwana sowiecka armada, której wejścia podobno „nie dało się” przewidzieć. Na koniec Rumuni okazali się spenetrowani przez Niemców i pan minister wraz z panem prezydentem dostali się do domowego aresztu na podo-



Powstaniec wyciągany z kanału przez żołnierzy niemieckich.
Fot. A. Ahrens, Bundesarchiv.



Warszawa w styczniu 1945 r. (Kanonka i Rynek na Starym Mieście).
Fot. M. Swierczyński

bieństwo rzymskiego poety - Owidiusza. Jednak dziś obaj mają swoje ulice i skwery, bo przecież od sądenia jest Historia, a adwokatami w tym sądzie dziejowym są dwaj kumple z palestry - zaimek „się” plus wybrany czasownik.

Tam gdzie widać „się”, milkną spory i pouczenia, bo wobec żelaznej w końcu logiki fatum, wszystko co jest, było ukartowane z góry, gdzieś poza nami, a my, choć próbowaliśmy ze wszystkich sił zapobiec nieubłaganemu, to na koniec i tak - wobec niezwykłego fatum- musieliśmy ulec. Zostaliśmy w końcu narodem który czci klęski i własne straty, a nieliczne sukcesy poddaje wnikliwej analizie prokuratorskiej (jeżeli ktoś przewycięży fatalne „się” to albo ma konszachty z diabłem albo jest agentem obcego wywiadu).

Taka sytuacja ma z pewnością swoje dobre strony. Z korzyścią dla kierownictwa, które wszak odnosi zwycięstwa - głównie moralne. No bo wiadomo wszystkim prawdziwym patriotom, że: „być zwyciężonym i nie ulec to zwycięstwo”. Autor tych słów osiągnął w końcu sukces i spokojnie spoczął w krypcie na Wawelu, żegnany przez miliony obywateli chwilowo wolnego kraju, ale coraz częściej podnoszą się poważne zarzuty, że w gruncie rzeczy był Litwinem i austriackim agentem. Lepiej zatem byłoby dlań, gdyby podobnie jak towarzysz Montwiłł - Mirecki, poległ na jakiejś stacji kolejowej ugodzony celną kulą z naganta przez lokalnego carskiego stupajkę. Z tych powodów nasze kierownictwo zazwyczaj ma znacznie większy komfort pracy niż analogiczne kierownictwo z zagranicy. Trudno sobie bowiem wyobrazić jakiegoś przegranego wodza narodu polskiego, którego nie sądzi Historia, ale zwyczajny organ władzy świeckiej, tak jak obozowego ciurę.

Jest rok 1756, dzień 20 maja. Okolice Minorki. Angielski admirał John Byng popełnia błąd przy zwrocie eskadry liniowej. Jest ostrożny, trzyma się kurczowo regu- laminu i nie ryzykuje, bo zapewne bardziej pragnie powro-

The SHOOTING of ADMIRAL BYNG. on board the MONARQUE. London Misc.



Rozstrzelanie admirała Bynga. Fot. National Portrait Gallery

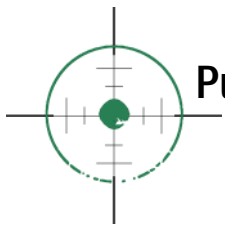
tu na ojczyzny łono (angielskie parki mają naprawdę kuszący urok) niż prawdziwej chwały wojennej. Okręty angielskie zostają rozdzielone, wywiązuje się chaotyczna walka, w której więcej trafień notują Francuzi. Mimo więc przewagi liczebnej Anglików, Francuzi zostają na chwilę panami morza. Rozwój wypadków układa się w dalszym ciągu niekorzystnie dla floty angielskiej. Zwykła porażka morska i niewielki błąd w ocenie sytuacji na początku bitwy, wiceadmirał Byng swoją daleko posuniętą ostrożnością i siłą spokoju zamienia w strategiczną klęskę wojenną. Zrobiło się niewesoło, ponieważ odejście floty angielskiej do Gibraltaru spowodowało kapitulację angielskiego garnizonu Minorki.

Opinia publiczna na Wyspach Brytyjskich, kiedy wieści osiągnęły Londyn wpada w histerię - to niesłychane upokorzenie wymaga ukarania winnych. Zwołany zostaje sąd, który historycy oceniają dziś jako niesprawiedliwy. Kilkunastu gniewnych oficerów floty w granatowych mundurach ze złotymi szamerunkami musi wydać wyrok na swojego kolegę. Nie jest to wcale takie proste, to nie jest zwykła praktyka morska zastosowana wobec leniwego marynarza albo śpiącego na wachcie oka - takich pariasów załatwia się prosto - od tego jest „kot o dziewięciu ogonach”^[2] lub hak zwisający z rei. Ale tym razem na ruszt dostał się sam wiceadmirał, prawdziwy pan, komendant całej eskadry liniowej! W grę wchodzi względy osobiste i poczucie solidarności zawodowej korpusu oficerskiego.

12 § Prawa Morskiego przewiduje najsurowsze konsekwencje: „wobec wszystkich tych, którzy powodowani strachem, z zaniedbania lub obojętności nie wezmą udziału w akcji bojowej albo uchylą się od walki opuszczając akwen, na jakim się toczy, lub nie uczynią wszystkiego, aby zniszczyć jednostkę nieprzyjacielską, przeciwko której zobowiązani są podjąć akcję.” (cytat za Paweł Piotr Wieczorkiewicz, „Historia wojen morskich. Wiek żagla”, Warszawa 1995).

Niespełna rok po tym wydarzeniu król Jerzy II odmówił ułaskawienia przesadnie trzymającego się regulaminu Bynga. Za strategiczną klęskę o w sumie nie aż tak wielkich konsekwencjach dla kraju został on rozstrzelany 14 III 1757 r. w Portsmouth. Gazety opublikowały wstrząsający obraz pracowicie powtarzany w pracowniach graficznych Zjednoczonego Królestwa. Na pokładzie klęczy arystokrata w pończochach i fraczku, ma zasłonięte oczy. Przed nim linia strzelców, synów najlichszego gminu. Za chwilę palce pociągną za spusty, iskry spadną na panewki, pierś admirała rozorzą ołowiane kule z muszkietów. Obraz zapewne zapadł tak silnie w pamięć Europejczyków, że wszedł do kanonu sztuki. Powtórzy go Goya w epoce wojen napoleońskich, a potem Manet na wieść o egzekucji cesarza Maksymiliana Habsburga w Meksyku^[3].

Szok musiał być potężny także dla Admiralicji królewskiej, bo od tego czasu angielscy dowódcy okrętów zaczęli być znani z zuchwałości. Ostatecznie lepiej zginać od kuli wroga niż od kul ustawionego na pokładzie plutonu piechoty morskiej.



Stefan Płuzański, Bitwa pod Oliwą 1627.

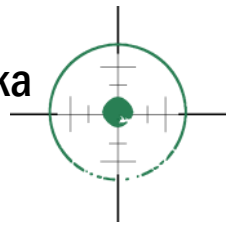
Jeśli wyobrazić sobie co usłyszeliśmy na temat tego brutalnego „mordu sądowego” w Polsce dnia dzisiejszego, to pierwszy na myśl przychodzi komentarz jakiegoś światłego dziennikarza i oskarżenie klasy politycznej o tani populizm czyli schlebianie tzw. masie.

Od 25 lat bez mała żyjemy w przekonaniu że opinia publiczna równa się ciemna masa, a ten kto interesuje się zdaniem ludzi na temat sytuacji w kraju, ten jest pogrobowcem Wyższej Szkoły Marksizmu- Leninizmu.

Trudno jednak podejrzewać króla angielskiego wraz z jego arystokratycznymi admirałami, o kryptomarksizm. Bardziej w moim odczuciu ilustruje ten tragiczny przykład stosunek Anglików do kwestii „się”. Bo gdyby admirał Byng był jakimś polskim dowódcą, zapewne nie stanąłby przed plutonem egzekucyjnym, tylko napisał jako starzec otoczony wnukami w zaciszu majątku jakieś zgrabne pamiętniki, w których nakreśliłby dziejowe determinanty, które spowodowały zaniechanie udzielenia pomocy podwładnym, a potem “jedynie słuszną” decyzję o powrocie pod urwiska gibraltarskie. Jednak tu napotykamy na ostateczną barierę wyobraźni, która prowadzi nas ku wątkom sprzed stuleci - oto bowiem niemożliwy jest do wyobrażenia polski szlagon dowodzący żaglową jednostką

(uprzedzę krytyków - wiem o admirale Krzysztofie Arciszewskim, ale ów jeden wyjątek na setki kontrprzykładów to jednak trochę za mało, zaś postać Jana z Kolna należy do takiej samej kategorii zjawisk, co i teza, że Kopernik też była kobietą).

Wydaje się (!), że zawrotna kariera, jaką zrobili w polskiej historii zaimek plus czasownik mają swoje źródło w odwróceniu się naszego narodu od morskiej wody. Bo w XVIII wieku kiedy Polska kończyła swoją karierę, jako niepodległe państwo europejskie, na kontynencie trwały śmiertelne zmagania mocarstw o dominację czy choćby tylko przetrwanie. I o tym jaki los przypada komu w udziale, w dużym stopniu zależny był właśnie od stosunku tych państw do morza. Kraje które dziś decydują o losach Europy, wcześniej przez setki lat prowadziły politykę morską, która w efekcie cementowała społeczeństwo, mimo klasowych różnic i nieuchronnych rozwarstwień. Mimo pretensji, jakie dziś zgłaszają marksiści do pierwszeństwa w kwestiach społecznych, załóżki ubezpieczeń we Francji założył już na długo przed Marksem monsieur Colbert, chcąc związać marynarzy i ich rodziny ze stałą służbą morską (w przeciwieństwie do nieco luzackiego charakteru służby w armii lądowej, kadr marynarki



wojennej nie sposób było rozpuścić do domów na zimę). Szybko też zorientowano się, jaką wartość posiadają ludzie morza dla kraju. Kardynał Richelieu podkreślał: „Bardziej potrzebuję mężnych krzepkich żeglarzy, wodą morską i walkami wykarmionych, niż rycerzy eleganckich, gdyż tamci lepiej królowi służą.” (str. 187 Michel Mollat du Jourdin, „Europa i morze”, Warszawa 1995). Walka z żywiołem takim jak morze wymaga cech, które są bezcenne w życiu społecznym, przede wszystkim poczucia odpowiedzialności i realizmu. Nic nie dawało się (szczególnie w epoce żaglowej) pokombinować, ponieważ jak zauważył w „Zwierciadle morza” Józef Conrad „okręt nie zniesie blagiera”.

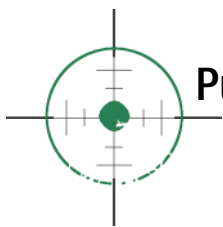
Można powiedzieć, że morze unieważnia z natury swojej władzę duumwiratu lingwistycznego zaimka i jego kolegi czasownika. Podejrzewam, że prawidłowe odczytanie tego stanu rzeczy spowodowało tak żywiołową niechęć narodu politycznego I Rzeczypospolitej do żeglugi. Choć przecież rzut oka na mapę Polski już od czasów najwcześniejszych wskazuje na oczywistą zależność od Bałtyku, gdzie kończy się kręgosłup geograficzny kraju czyli rzeka Wisła. Nad nią i jej dopływami przez całe wieki toczyło się całe życie społeczne i gospodarcze kraju. Ale ponieważ panowie bracia zakosztowali wygodnego życia za pośrednictwem Gdańska, wobec tego mogli zarabiać niewyobrażalny szmal bez wysiłku. Mechanizm jest zapewne podobny do tego jaki obserwujemy w przypadku dzisiejszych krajowych piłkarzy, którzy zarabiają tęgą kasę w klubach zagranicznych, a dość przeciętnie zachowują się na zgrupowaniach reprezentacji krajowej. Po prostu nie są chciwi - w porównaniu z kolegami z zawodówki mają w garści zawrotne sumy, panienki z dyskotek wiejskich kładą się przed nimi pokotem na stołach bilardowych zaś w garażach dacz z kopertowym dachem grzeją się silniki nowych porszawek. Wobec tego wysiłki jakichś tam geniuszy zza oceanu z ich abstrakcyjnymi gażami i ryzykiem kontuzji są dla nich całkowitą egzotyką. „Byłe polska wsi spokojna...”.

System gdzie: „może nie wiedzieć Polak co to morze, gdy pilnie orze” działał od zarania dziejów perfekcyjnie. Na miejscu chłopstwo zasuwało w latyfundiach, przynosząc zyski w postaci plonów co ciekawe to jeszcze w 1936 roku Polska negocjowała z Holendrami cenę okrętów podwodnych używając jako waluty... melasy browarnianej), które inni chłopci spławiali do Gdańska, gdzie naród polityczny sprzedawał surowiec potrzebny Holendrom i Anglikom, aby

ci nie umarli z głodu i co ważniejsze mieli z czego budować okręty, na których mozolnie budowali potęgę swoich metropolii, głównie kosztem Hiszpanii. Profesor Norman Davies jest zdania, że ślady po tych transakcjach pozostały w języku angielskim, gdyż słowo *spruce* oznaczające drzewo świerkowe przyjęło się właśnie z powodu intensywnego angielskiego importu pruskich smreków z północy Rzeczypospolitej. Świerk w czasach sprzed hitechowych był niezastąpiony jako budulec masztowy.

Gdańsk zaś przez stulecia dbał o to, aby któryś z przedstawicieli narodu politycznego odzianego w węgierskie żupany i uzbrojonego w tureckie szable przypadkiem nie zasmakował w żegludze albo - co gorsza - nie zorientował się, ile szmalu traci na pośrednictwie handlowym miasta. Co jakiś czas w Koronie wybuchał skandal, z chwilą gdy król wiedziony samolubną chciwością i karygodnym lekceważeniem zasad demokracji, usiłował w podstępny sposób obciążyć spokojny i sielankowy naród polityczny koniecznością posiadania floty koronnej. Na szczęście nikt nie żył wiecznie, zatem po śmierci Zygmunta Augusta polska flota przestała istnieć.





Budowa floty była niebezpieczna zarówno z punktu widzenia wygody gdańszczan jak i dla stabilizacji społecznej, bo w przeciwieństwie do służby lądowej, nie dało się udawać służby morskiej (konik zaś śmignie w stronę domu, nawet jeśli w głowę trafi grot wrażej strzały), zaś ówczesna żegluga była zjawiskiem heroicznym. No i - z czego każdy z panów braci zdawał sobie sprawę - budowa floty wymagała regularnego płacenia podatków, poświęcenia osobistego, zaangażowania, zdolności nie tylko do retoryki łacińskiej i teatralnych gestów. Zatem przecież lepiej było sprzedawać drewno i ziarno za korzystną cenę. Świat sielanki trwał dopóty dopóki Holendrzy, Anglicy i Francuzi (i cała reszta, której tu nie wymienimy, bo szkoda na to miejsca) pozajmowali kolonie zamorskie i wielkie nadwiślańskie imperium zbożowo-świerkowe przestało się liczyć w polityce.

Niedługo potem Gdańsk stał się peryferyjnym porciekciem pruskim a później niemieckim, zaś Rzeczpospolita Obojga Narodów przeszła do historii. W konsekwencji na marazmie i posiadaniu pod gruszą stracili wszyscy, nawet najwięksi gdańscy cwaniacy, którzy broniąc przywilejów handlowych miasta posunęli się nawet do egzekucji załóżków korpusu oficerskiego kaperskiej floty koronnej.

Nieistnienie okazało się dla społeczeństwa polskiego wyjątkowo długie i bolesne. W czasie niebytu zaś, z powodu istnienia ojczyzny w sferze wyłącznie leksykalnej, „się” wzmocniło swoje znaczenie, chroniąc kierownictwo przed nadmiarem rzeczywistości i zastępując przydługie i nudne wywody szczegółowe. Na papierze na przykład jest tak, że: „naród chwyta za broń” i zwycięsko walczy z wrogiem. To przecież jest szalenie proste. Wystarczy w odpowiedniej chwili rozdać „narodowi” karabiny. I jako „się” zwalczy wroga. A o amunicji napiszemy jakiś heroiczny wiersz. Będzie się zaczynał na przykład od słów: „Nam strzelać nie kazano...”

Rotmistrz Zaręba

Przypisy:

- [1] Chodzi o polską szablę kawaleryjską wz. 34, potocznie zwaną ludwikówką. Została opracowana w Instytucie Technicznym Uzbrojenia MSWojsk. pomiędzy 1933-1934 rokiem. Następnie wprowadzono ją do wyposażenia jednostek kawalerii rozkazem ministra Spraw Wojskowych w roku 1937. Szabla ta jest uważana za ostatni etap rozwoju szabli jako narzędzia bojowego. Wymagania techniczno-taktyczne były bardzo wysokie, między innymi podczas prób odbiorczych głownia miała być zdolna do wielokrotnego przecięcia drutu stalowego o grubości 5 mm. Design tej szabli bojowej był oparty na siedemnastowiecznej szabli husarskiej, uważanej za najdoskonalszą formę, użyteczną zarówno do cięć z siodła, a także sposobnej do fechtunku

pieszego. Wysiłek włożony we wprowadzenie do uzbrojenia tej skądinąd pięknej szabli był nieco kuriozalny, zważywszy na fakt, że do końca istnienia II Rzeczypospolitej nie zdołano zwiększyć realnej wartości bojowej kawalerii, do czego przyczyniłoby się z pewnością wyposażenie oddziałów konnych w indywidualną broń automatyczną (np. polski pistolet maszynowy „Mors”)

- [2] Kot o dziewięciu ogonach (w oryg. *A cat-of-nine-tails*). Bat o drewnianej rękojeści i rozwidlonym sznurze, zakończonym dziewięcioma końcówkami posiadającymi zawiązane węzły. Istniało kilka odmian tego instrumentu utrzymywania dyscypliny wśród załóg Royal Navy w XVIII i XIX wieku, między innymi kot na złodziei, opisany jako posiadający większe węzły na sznurach. Kara biczowania miała ściśle przestrzegany regulamin. Przestępca obnażony do pasa był przywiązywany do gretingu na pokładzie głównym, w asyście sekcji piechoty morskiej i dobosza. Karę wykonywał bosmanmat przy zebranej załodze, zmuszonej do obserwowania konsekwencji łamania dyscypliny. Chłosta był wymierzana za liczne czyny niepożądane jak picie na służbie, nieposłuszeństwo (co zdaje się miało bardzo rozmyte granice), zaniedbanie służby czy udział w bójce. Ilość batów była ściśle regulowana przez rodzaj „zbrodni” popełnionej przez załoganta. Na przykład za wulgarność i świntuszenie można było zarobić 18 batów zaś pijaństwo zagrożone było karą w wysokości 12 batów.
- [3] Eduard Manet (1832-1883) francuski malarz, prekursor impresjonizmu. W 1867 namalował pierwsze z serii płócien przedstawiających egzekucję cesarza Meksyku Maksymiliana (1832-1867), brata cesarza austriackiego Franciszka Józefa I. Klasyczne dziś obrazy, ikony sztuki wczesnego impresjonizmu francuskiego, były w rzeczywistości ilustracjami politycznymi o takiej sile wyrazu i znaczeń, że we Francji zabroniono ich wystawiania. Manet przyznawał, że motyw egzekucji zaczerpnął z twórczości Francesco Goi (1746-1828) i jego słynnego obrazu *Rozstrzelanie powstańców madryckich* z 1814 roku. Biorąc pod uwagę ogromną polityczną erudycję hiszpańskiego geniusza, wydaje się prawdopodobne, że zetknął się on wcześniej z powszechnymi w Europie relacjami ilustrowanymi sprawy tak szokującej jak publiczna egzekucja angielskiego admirała.





KRZYSZTOF KUBIAK

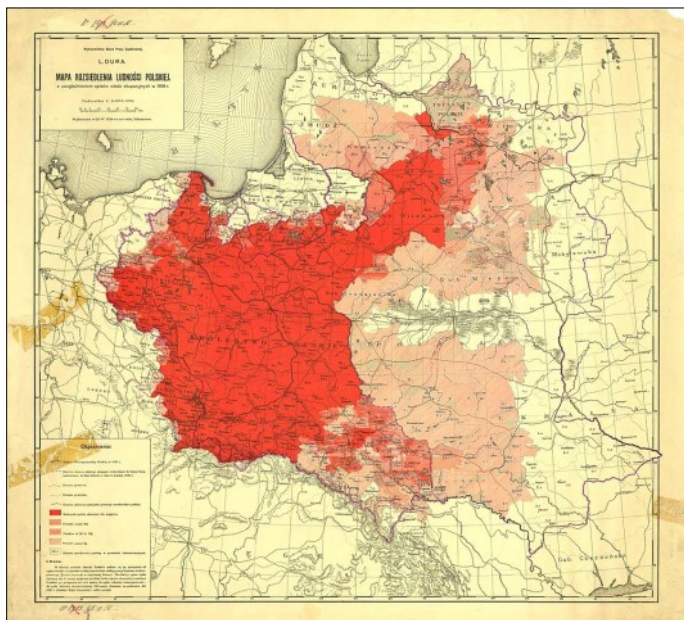
Kresy śmierci

„Gdzieś na Ukrainie”, Jan Stanisławski (1860-1907)

Przebieg granicy państwowej wytyczonej postanowieniami zawartego w Rydze traktatu między Polską a Sowiecami (*Traktat pokoju między Polską a Rosją i Ukrainą, podpisany w Rydze dnia 18 marca 1921 r.*, Dz. U. Nr 49, poz. 300) pozostawiał na obszarach, na które rozciągnęła się czerwona władza znaczne grupy ludności polskiej. Na terenach przygranicznych (de facto rozgraniczenie przeprowadzono według linii II rozbioru z 1793 roku, z korektą na rzecz Polski w postaci części Wołynia Polesia Polesia z miastem Pińskiem) dominowali rdzenni polscy mieszkańcy Kresów, ale znaczącą rolę odgrywali przesiedleńcy rolni z połowy XIX wieku (dobrowolni osadnicy poszukujący na wschodzie ziemi leżącej odłogiem). W głębi Rosji (Petersburg, Moskwa, Odessa, Syberia) przebywali również robotnicy i przedstawiciele wolnych zawodów przemierzający się po Imperium w poszukiwaniu nowych, perspektywicznych możliwości życiowych. Nie sposób zapomnieć oczywiście o zesłańcach politycznych, Polakach wywiezionych w czasie I wojny światowej wraz z ewakuowanymi z Kongresówki zakładami przemysłowymi, żołnierzach armii carskiej narodowości polskiej i jeńcach wojennych – Polakach służących w armii austro-węgierskiej i niemieckiej, ale owi przymusowi migranci stanowili mniejszość polskiego żywiołu znajdującego się w głębi Rosji na początku lat dwudziestych ubiegłego wieku.

Mimo, że układ pokojowy zawarty w Rydze pomiędzy Rzeczpospolitą a Sowiecami gwarantował Polakom możliwość swobodnego opuszczenia Sowieckiej Rosji w praktyce możliwości w tej mierze były nader ograniczone, na co wpłynęły – między innymi – niefortunne zapisy artykułu VI Traktatu Ryskiego^[4]. Dość powiedzieć, że nawet potomkowie uczestników walk o niepodległość z lat 1830-1865 musieli udowadniać urzędnikom sowieckim używanie języka polskiego jako mowy potocznej, co wskazywało na ich przywiązanie do polskości. Od arbitralnych decyzji administracyjnych władzy sowieckiej nie przewidziano żadnej procedury odwoławczej. Wykorzystując jako pretekst brak dalszych zgłoszeń repatriacyjnych Sowieci ogłosili (w styczniu 1923 r.) zakończenie akcji repatriacyjnej. Po kilku miesiącach negocjacji wznowiono ją jednak kończąc ostatecznie całe przedsięwzięcie w czerwcu 1924 roku. Łącznie z prawa opcji skorzystało w Sowiecie około 1,1 mln osób. Podkreślić należy, że o rezygnacji z możliwości przesiedlenia decydowały jednak nie tylko intencjonalne działania sowieckiej administracji. Znaczna część chłopów polskich, kierując się przywiązaniem do ziemi w ogóle odrzuciła jakąkolwiek możliwość repatriacji, gdyż oznaczałoby to utratę dorobku całych pokoleń, bez pewności otrzymania częściowej choćby rekompensaty. Powiedzieć trzeba przy tym jasno, że Polska, państwo powracające namażę Europy po 123 latach rozbiorów, mozołem i krwią zdobywając miejsce w gronie narodów

Kresy śmierci



Mapa rozszedlenia ludności polskiej z uwzględnieniem spisów z 1916 roku. Fot. Biuro Pracy Społecznej pod redakcją L. Dury ([Link](#))

europczyckich, niewiele, lub zgoła nic nie mogła zaoferować rodakom – włościanom z za wschodniej strony nowej granicy. Również część polskiej inteligencji oraz robotników i rzemieślników wrosłych w rosyjską głębię niezdecydowana się na powrót, przedkładając „małą stabilizację” zbudowaną na nadziei, że „wszystko jakoś się ułoży” ponad ryzyko budowania na nowo egzystencji w nowym miejscu, wśród innych ludzi. Zupełnie odrębną i najmniej liczną, choć pretendującą do reprezentowania zarówno rodaków w Sowietach, jaki też „ludu pracującego w pańsko-burżujskiej” Rzeczypospolitej byli polscy komuniści (w pewnym okresie – co wyraźnie trzeba sobie powiedzieć – znacząco nadreprezentowani w sowieckich organach bezpieczeństwa^[2]).

W wyniku rozmaitych zawirowań, a i własnych decyzji w „Czerwonym Imperium” pozostało od 1,2 do 2 milionów Polaków. Władze w Warszawie szacowały liczebność wschodniej diaspory na około 1,5 mln osób, natomiast (zaniżony) oficjalny sowiecki spis ludności z 1926 r. wykazywał liczbę 771 760 Polaków, z tego tylko w Ukraińskiej Socjalistycznej Republice Sowieckiej blisko 500 000 skupionych w większości na Żytomierszczyźnie. Losom jakże licznej mniejszości, Polaków w Sowietach, poświęcona jest praca Mikołaja Iwanowi „Zapomniane ludobójstwo”. Autor, co wymaga podkreślenia, nie skupia się bynajmniej na ostatnim akordzie dziejów Polaków na Wschodzie, czyli na – tak zwanej – „operacji polskiej” NKWD, ale kreśli niezwykle plastyczny, przejmujący i porażający realizmem obraz szeregu eksperymentów społecznych podejmowanych przez władze sowieckie, przy bardziej niż aktywnym udziale polskich komunistów, wobec naszych rodaków, którym przyszło pozostać pod ich władzą. Ludność polska w ZSRS od początku miała bowiem status szczególny, bez mała, zakładniczy.

○ W głębi Rosji (Petersburg, Moskwa, Odessa, Syberia) przebywali również robotnicy i przedstawiciele wolnych zawodów przemieszczający się po Imperium w poszukiwaniu nowych, perspektywicznych możliwości życiowych.

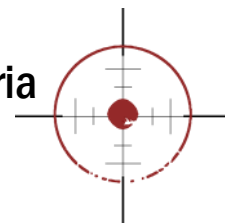
Doskonałym przykładem takiego stanu rzeczy może być skupisko Polaków w mandżurskim, pozostającym wówczas pod faktyczną kontrolą Rosji Harbinie (założonym przez inżyniera Adama Szydłowskiego). Przywiodła ich tam budowa Kolei Wschodniochińskiej, służba w armii carskiej oraz inne zawieruchy dziejowe. W następstwie owego splotu wydarzeń na przełomie XIX i XX wieku w Harbinie zamieszkiwała kilkutyśięczna kolonia polska. Ocenia się, iż około 7 000 polskich inżynierów, techników i robotników pracowało przy budowie Kolei Wschodniochińskiej w latach 1897 - 1903. Spora grupa Polaków służących w wojsku rosyjskim znalazła się w Mandżurii podczas wojny rosyjsko - japońskiej w latach 1904 - 1905. Po 1917 r. zaczęli napływać tam Polacy, jeńcy z byłej armii austro-węgierskiej. W 1924 roku w następstwie porozumienia sowiecko-chińskiego stanowiącego, iż pracownikami Kolei Wschodniochińskiej mogli być jedynie obywatele chińscy lub sowieccy, rozpoczęła się liczna reemigracja Polaków do ojczyzny. Koniec tego procesu nastąpił jednak dopiero w roku 1949.

Granice polsko-rosyjskie 1793 i 1921



— Granica po drugim rozbiórze
— Granica po traktacie ryskim

Fot. Mix231, commons.wikimedia.org



Kresy śmierci

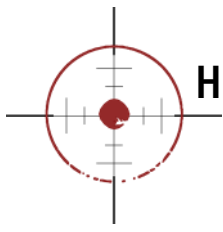
Kiedy w wyniku klęski pod Warszawą i nad Niemnem bolszewicy stracili nadzieję na eksport rewolucji, a buforem między nimi a klasą robotniczą Zachodniej Europy stała się Odrodzona Rzeczpospolita, w Moskwie powstał perfidny plan podminowania młodego państwa polskiego, które kilkanaście lat później Wiaczesław Mołotow określił je mianem: *pokracznego bękarta Traktatu Wersalskiego*. W zamierzeniu tym rolę kluczową, acz jedynie przedmiotową, powierzono „sowieckim” Polakom. Na zamieszkałych przez nich terenach stworzono mianowicie dwie autonomie, w intencji Moskwy mające się w krótkim czasie mające przeobrazić się w „miodem i mlekiem płynące” krainy, stanowiąc propagandową oraz ideologiczną przeciwwagę dla odrodzonej Rzeczypospolitej. Jako pierwszy powstał w 1925 roku polski rejon narodowościowy na Wołyniu, nazwany Marchlewszczyzną, później w 1932 roku utworzono na Białorusi Dzierżyńszczyznę. Szybko okazało się, że mimo alokowania w „polskie eksperymenty” relatywnie dużych środków nie przebiega on bynajmniej zgodnie z planem. O ile zaangażowani komuniści rozważali reformę polskiej ortografii



Na górze:
Tablica poświęcona
braciom Lewoniewskim,
fot. R. Drożdżewski.
Po lewej:
Zygmunt Lewoniewski,
Po prawej:
Józef Lewoniewski

○ Znamiennej ilustracją złożoności polskich biografii mogą być losy Zygmunta i Józefa Lewoniewskich. Rodzice braci, Teofila i Aleksander pochodzili z Sokółki. W 1898 roku wyjechali do Petersburga w poszukiwaniu pracy. Tam bracia przyszli na świat (Józef w 1899 roku, Zygmunt trzy lata później). Zygmunt, związał się z bolszewikami, wziął udział w puczu piotrogrodzkim, od 1918 roku walczył w Armii Czerwonej, dowodząc kompanią, batalionem i pułkiem. W 1925 roku służył w lotnictwie morskim, początkowo w pododdziałach naziemnych, później jako pilot oraz instruktor. Po przejściu do rezerwy latał jako pilot polarny, ratując w 1933 roku rejonie [Anadyr](#) w [Czukotce](#) amerykańskiego pilota [Jamesa Matterna](#), który miał awarię samolotu podczas próby lotu dookoła świata. W 1934 z dwoma innymi lotnikami udał się do Stanów Zjednoczonych w celu zakupu samolotów Consolidated Fleetster dla akcji ratowania rozbitków ze statku [Czeluskin](#), a następnie brał udział w akcji ratowniczo-ewakuacyjnej. Opracował plan, a w sierpniu 1935 roku podjął próbę – zakończoną fiaskiem – przelotu ze Związku Sowieckiego do Stanów Zjednoczonych nad Biegunem Północnym. Kolejne usiłowanie miało miejsce w sierpniu 1937 roku. Zakończyło się ono 13 sierpnia zaginięciem jego samolotu typu DB-A (z pięcioosobową załogą u wybrzeży Alaski. Z kolei Józef, po krótkiej przymusowej służbie w Armii Czerwonej, z której został zwolniony z przyczyn zdrowotnych przyjechał do Polski i wstąpił do [1. Pułku Szwoleżerów](#). W sierpniu 1920 roku otrzymał przydział do grudziądzkiej Szkoły Podchorążych Kawalerii.

Po jej ukończeniu, jako podchorąży, został przeniesiony do [11. Pułku Ułanów](#), gdzie uzyskał awans na podporucznika. Od grudnia 1922 roku służył w [3. Pułku Strzelców Konnych](#). W sierpniu 1924 ukończył wojskową Szkołę Pilotażu w [Bydgoszczy](#), uzyskując stopień porucznika i specjalność pilota. Przydzielony do warszawskiego [1. Pułku Lotniczego](#) pełnił służbę młodszego oficera w 18. eskadrze. Od listopada 1926 roku szkolenie kontynuował we Francji. Po powrocie służył w [1. Pułku Lotniczym](#) w [Warszawie](#) jako pilot myśliwski. W lipcu 1930 roku wziął udział w międzynarodowych zawodach samolotów turystycznych [Challenge 1930](#) na samolocie [PWS-51](#), lecz wycofał się w następstwie awarii. Wysunął pomysł przeróbki samolotu PWS-52 na samolot rajdowy do lotu dookoła świata. W sierpniu 1931 roku na zmodyfikowanym PWS-52 wykonał lot dookoła Polski bez lądowania. 1 września 1931 roku wykonał lot z Warszawy do [Salonik](#) i z powrotem. Od marca 1933 roku był pilotem doświadczalnym Stacji Doświadczalnej Płatowców [Instytutu Badań Technicznych Lotnictwa](#) w Warszawie. 11 września 1933 roku podjął - z ppłk. obs. Filipowiczem - próbę pobicia międzynarodowego rekordu długości lotu w linii prostej bez lądowania dla samolotów turystycznych I kategorii, na trasie Warszawa - [Kazań](#) - [Swierdłowsk](#) - [Omsk](#) - [Krasnojarsk](#), na specjalnie przerobionym samolocie [PZL.19](#). Po ośmiu i pół godzinach lotu samolot rozbił się we wsi Zasurskoje koło Jadrina, pod Kazaniem. Pilot Józef Lewoniewski zginął, a drugi członek załogi został lekko ranny.



(wszak robotnicze włościańskie dziecko nie ma tyle czasu, co burżujskie na zgłębianie jej zawłości, w związku z czym jej uproszczenie jest formą walki na „froncie klasowym”), o tyle chłopci stanowiący większość ludności obu rejonów nie wykazywali się gorliwością w budowie „nowego wspaniałego świata. Ich mieszkańcy okazali się wyjątkowo oporni wobec kolektywizacji i bardzo przywiązani do wiary ojców.

W takiej sytuacji, w połowie lat trzydziestych, władze sowieckie uznały, że mimo podjętych wysiłków stworzenie „sowieckiej Polski” nie jest możliwe. Polskie regiony autonomiczne zlikwidowano, a tysiące Polaków deportowano do Kazachstanu. Był to jednak dopiero początek wzbierającej fali represji. Najpierw ruszyła machina propagandowa. Na centralne polecenie rozpoczęła się antypolska nagonka, zorganizowano serię sfingowanych procesów, w których oskarżonymi byli „szpiedzy, agenci i sabotażyści” niesłuchanie jakoby aktywnej w zachodniej części ZSRS Polskiej Organizacji Wojskowej. Niewielu obserwatorów zdawało sobie przy tym sprawę, że w istocie oglądają próbę generalną nadchodzącej „wielkiej czystki”.

11 sierpnia 1937 roku Mikołaj Jeżow, po zatwierdzeniu przedstawionych planów przez Biuro Polityczne KC WKP(b), wydał rozkaz operacyjny nr 00485, który przewidywał aresztowanie określonych grup Polaków zamieszkujących ówczesny ZSRS i ukaranie ich „w dwóch kategoriach”. Pierwsza z kategorii, obejmująca zdecydowaną większość, czyli niemal 80 procent objętych akcją represyjną, została zgładzona, drugą – wywieziono do łagrów. Jak ustaliło to rosyjskie stowarzyszenie „Memoriał”, represjonowano 143 000 osób, z których 139 000 skazano (91 000 rozstrzelano, choć według polskich badaczy fizyczna eliminacja mogła stać się udziałem nawet 140 000 osób). Rozkaz Jeżowa instytucjonalizował odpowiedzialność zbiorową, zakładając że po aresztowaniu męża aresztowana ma także zostać jego żona, i za sam fakt bycia żoną „wroga ludu” ma zostać zesłana - najczęściej do Kazachstanu – na okres od 5 do 10 lat. Z kolei dzieci „wroga ludu”, zgodnie z tym samym dokumentem, trafiły do domów dziecka, majątek rodziny konfiskowano w całości. Największą grupę represjonowanych stanowili polscy chłopci. W niektórych wsiach stracono wszystkich mężczyzn. W miastach aresztowania prowadzono według spisów mieszkańców poszukując polsko brzmiących nazwisk.

Kresy śmierci

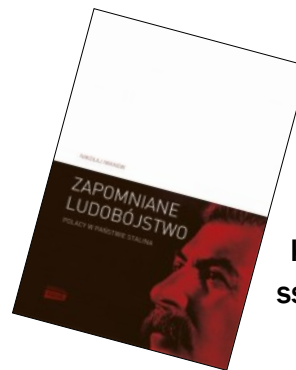
Przeprowadziwszy dogłębną, opartą o zasoby archiwalne, analizę opisywanych zjawisk Iwanow sformułował tezę, że Polacy byli pierwszą grupą narodowościową w ZSRS represjonowaną w skali masowej, w istocie fizycznie wyniszczoną, w oparciu o kryterium etniczne, a nie klasowe. Tym samym sowiecki komunizm pokazał swój immanentny, wywodzący się jeszcze z carskich czasów, a spotęgowany klęską w wojnie z odradzającą się Rzeczpospolitą, zjadliwie antypolski charakter. Jak ujęła to jedna z ocalonych, Helena Trybel: *Być Polakiem w Związku Sowieckim, w 1938 roku, to mniej więcej to samo, co być Żydem w III Rzeszy.*

Praca Mikołaja Iwanowa jest dziełem niezwykłym. Kreśli on w stonowany, choć nie pozbawiony emocjonalnego zabarwienia sposób, opowieść o zapomnianej polskiej hekatombie. Wydarzeniach, które wobec dramatycznych zwrotów historii państwa i narodu zepchnięte zostały na margines horyzontu naszej świadomości. Dobrze stało się zatem, że krakowska oficyna Znak Horyzont podjęła trud przybliżenia tego praktycznie nieznanego zagadnienia polskiemu czytelnikowi.

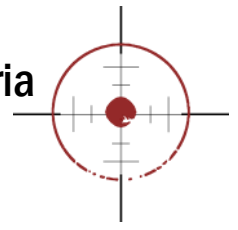
 **Krzysztof Kubiak**

Przypisy:

- [1] Tekst traktatu: http://www.google.pl/?gfe_rd=cr&ei=_InsVMXZKM0v8wfv_IHgbg, dostęp: 21.02.2015.
- [2] Autor się myli. Jest to upowszechniony pogląd, ale nie znajduje on odzwierciedlenia w faktach. Do czasów współczesnych funkcjonuje mitem, że kadry WCzK w większości stanowili nie rdzenni Rosjanie, lecz głównie Żydzi, Polacy czy Łotysze. Jednym z badaczy tego problemu jest rosyjski historyk średniego pokolenia Oleg Kapczinski, który w swoim opracowaniu pt. *Gosbiezopasnost iznutri, Nacjonalnyj i socjalnyj sostaw, Moskwa 2005*, obszernie przedstawia, to bardziej skomplikowane zagadnienie (red.).



**M. Iwanow,
Zapomniane ludobójstwo.
Polacy w państwie Stalina.
Operacja polska 1937-1938,
Kraków 1914 r.,
ss. 445.**



KRZYSZTOF MROCZKOWSKI

Cichociemny „Wiking”



– życiorys niepokorny

Prześladowania żołnierzy polskich i tych wracających z Zachodu, i tych, którzy byli w Kraju to temat tak obszerny, że w większości przypadków można powtarzać jedynie ogólności. Z drugiej zaś strony wszyscy piszą o największym dramacie, jaki rozegrał się na naszych ziemiach w ostatnim stuleciu - czyli o Powstaniu Warszawskim. A zapominamy o takich dramatycznych wydarzeniach jak Operacja „Ostra Brama”, czyli powstanie wileńskie...

Oczywiście był to zryw w nieporównanie mniejszej skali, ale i tak największa - po Warszawie - manifestacja istnienia Polskiego Państwa Podziemnego. To także historie związane z walką ludzi, o których niewiele pisano - o Cichociemnych. Ich życiorysy mogłyby posłużyć za scenariusze filmów sensacyjnych - gdyż są tym ciekawsze, że prawdziwe.

Biografia mjr. dypl. Teodora Cetysa jest mi szczególnie bliska. Pamiątki związane z Jego osobą były pierwszymi, jakie zagościły w mojej szufladzie z tabliczką „Cichociemni”.

*

W dniu 6 lipca 1944 r. oddziały Armii Krajowej rozpoczęły natarcie na Wilno. Zgrupowanie ruszyło do boju bez broni ciężkiej i przy oczywistej przewadze niemieckiego garnizonu^[1] atak szybko się załamał. Skromne jednostki polskie wkroczyły do miasta 13 lipca wraz z atakującą z marszu Armią Czerwoną. Złudne braterstwo broni i fetowanie wspólnego zwycięstwa trwały zaledwie kilka dni. Najpierw podstępnie aresztowano dowództwo Okręgu Wileńskiego AK; potem prawie wszystkie polskie oddziały zostały otoczone i rozbrojone pod groźbą otwarcia ognia. Oficerów i żołnierzy osadzono w więzieniach albo obozach. Większość wróciła do Polski po roku, ale niektórzy dopiero po kilku lub po kilkunastu latach - z głębi Rosji. Część nie wróciła nigdy...

Uderza podobieństwo co do podjęcia decyzji o walce w Wilnie i w Warszawie. Zarówno w wypadku i Warszawy, jak i Wilna walk o miasta miało nie być.

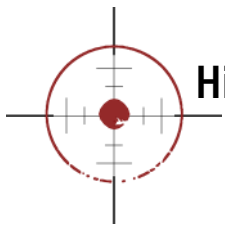
Gen. Bór-Komorowski w marcu 1944 r. wyłączył stolicę z planu powstania powszechnego, by uniknąć zniszczeń i oszczędzić cierpienie ludności cywilnej. Jeszcze w dniu 7 lipca 1944 r. Komenda Główna AK wydała dyspozycję o odesłaniu z Warszawy znacznej ilości broni. Zaś szef Oddziału III KG AK, płk. dypl. Stanisław Tatar na konkretne pytanie, czy planem „Burza” należy objąć Wilno w celu jego oswobodzenia, stwierdził jednoznacznie: -

○ Major dyplomowany, inżynier Teodor Cetys ps. „Wiking”, „Sław”, „Sławek” - kawaler Krzyża Srebrnego Orderu „Virtuti Militari”, trzykrotnie odznaczony Krzyżem Walecznych, Srebrnym Krzyżem Zasługi z Mieczami urodził się 27 VII 1908 r. w Warszawie. Absolwent Szkoły Podchorążych Piechoty we IX 1939 dowódca 29.



Teodor Cetys, 1930 r.
Fot. Nakaslik1

Baonu Saperów. Po ucieczce z niewoli, przez Węgry przedostał się do Francji, gdzie był dowódcą szkolnej kompanii saperów. W Wielkiej Brytanii służył w 1 Korpuśnym Baonie Saperów i odbył kurs w Wyższej Szkole Wojennej. Następnie zaliczył praktykę sztabową i przeszedł przeszkolenie w zakresie dywersji. Został zaprzysiężony na rotę AK 6 II 1942. Skok bojowy do kraju wykonał w nocy z 8 na 9 IV 1942. W Kraju otrzymał przydział operacyjny do Okręgu AK Wilno - jako szef Oddziału III i zastępca szefa sztabu Okręgu. W 1944 został szefem sztabu oddziałów polowych Okręgów Wilno i Nowogródek. Z tą samą funkcją zastała go operacja „Ostra Brama”. Aresztowany zaliczył przymusowy pobyt w ZSRR. Po wojnie pracował w Przedsiębiorstwie Budownictwa Przemysłowego, jako naczelnny inżynier budowy „Azotów” w Puławach. Od 1952 do 1971 r. był pełnomocnikiem dwóch ministrów*. Na emeryturę przeszedł w 1974. Po wojnie wielokrotnie był wzywany w celu składania wyjaśnień w „bezpieczeństwie”. Zmarł w 1993 r.



Nie należy. Nie będzie na takie działania ani sił, ani środków. Trzeba natomiast, podczas wycofywania się wojsk niemieckich z miasta, dążyć do przechwycenia kolej, poczty, wodociągów, elektrowni, magazynów itp. nie dopuszczając do zniszczenia ich przez wroga.

Odpowiedź taką otrzymał mjr. dypl. Teodor Cetys, ps. „Sław”, wtedy jeszcze kapitan, Cichociemny, zrzucony do Polski w kwietniu 1942 r., późniejszy szef sztabu Oddziałów Polowych Okręgu Wileńskiego i Nowogródzkiego AK^[2], czyli w istocie autor (choć nie dowódca) Operacji „Ostra Brama”. Jeszcze w kwietniu 1944 r. „Sław”, pytany przez mjr. dypl., Macieja Kalenkiewicza „Kotwicza”, co myśli o uderzeniu na Wilno, deklarował, że: *taka koncepcja w ogóle nie wchodzi w rachubę*. Ba, nie była opracowywana: *nawet w formie wariantu*.

Zaledwie na 10 dni przed Powstaniem Warszawskim, Bór-Komorowski - nie ustalając jeszcze daty wybuchu powstańczego zrywu - uznał, że Armia Krajowa ma jednak odbijać miasto. Podobnie, dopiero na 16 dni przed Operacją „Ostra Brama” gen. Aleksander Krzyżanowski „Wilk”^[3] - również nie określając jeszcze daty rozpoczęcia ataku - zakomunikował swemu sztabowi decyzję o zdobywaniu Wilna. Według notatek mjr. Cetysa, było to tak: 20 czerwca „Wilk” wrócił z odprawy z KG AK

w Warszawie, przedstawił sztabowi dwóch nowych oficerów, Cichociemnych przybyłych z Anglii: ppłk. Adama Szydłowskiego i kpt. dypl. Ludwika Fortunę^[4], po czym zakomunikował Cetysowi - szefowi sztabu swą decyzję o uderzeniu na Wilno. Mjr

Cetys poprosił generała o podanie na piśmie myśli przewodniej dla opracowania przez sztab rozkazu operacyjnego. Z zachowanej relacji wynika, że „Wilk” zignorował tę prośbę. Dopiero na pytanie o kwestię warunków oraz w jakim czasie planowane jest uderzenie, przekazał lakoniczną odpowiedź: *Uderzyć na Wilno samodzielnie, tuż przed nadejściem pod Wilno wojsk radzieckich. Przewiduję uderzenie około 10 lipca*^[5].

Była to zasadnicza zmiana w stosunku do założenia planu „Burza”, który zakładał niszczenie środków komunikacji, łączności, mostów, tylko w miarę możliwości tzw. sił żywych nieprzyjaciela, nad którym pracowano miesiącami i który był oficjalnie zatwierdzony oraz rozpisany na poszczególne oddziały. Mjr dypl. Cetys - zawodowy żołnierz, słuchacz Wyższej Szkoły Wojennej w Londynie, musiał doskonale zdawać sobie sprawę, że nowy rozkaz będzie niezmiernie trudny do wykonania.

15 lipca gen. „Wilk” był już po wstępnych rozmowach z dowództwem 3 Frontu Białoruskiego, podczas których ustalono ramy organizacyjne nowego korpusu polskiego. *Ordre de Bataille* Korpusu rozpiął „Sław”, który potem towarzyszył „Wilkowi” w samochodzie jadącym 17 lipca do pałacyku na Antokolu, siedziby gen. Iwana Czerniachowskiego, dowódcy Frontu. Rosjanin prosił o szybkie przybycie celem podpisania *dogoworu*. Nim negocjatorzy wsiedli do samochodu gen. „Wilk” poinformował radzieckiego oficera, że będzie ich ochraniał szwadron przyboczny żołnierzy AK. Rosjanin zaproponował sugerując, że opóźni to wizytę i że spotkanie z dowódcą Frontu w asyście uzbrojonego oddziału może być „niewłaściwie zrozumiane”.



Walki o wyzwolenie Wilna. Patrol żołnierzy Armii Krajowej i radzieckich na ulicy Wielkiej. Fot. NAC, commons.wikimedia.org



Zastanawiające jest czy ci dwaj oficerowie - dla których ta podróż zakończyła się wieloletnim pobylem w sowieckim łagrze, a dla jednego z nich śmiercią - przeczuwali nadchodzące nieszczęście.

Ze wspomnień mjr. Cetysa wynika, że chyba nie. Jak wspominał już w samochodzie gen „Wilk” spytał: *Panie »Sławie«, czy jest to aby gra fair?*

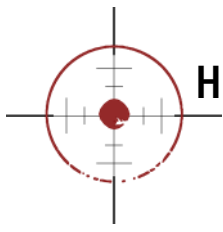
Generał Iwan Czerniachowski był najmłodszym dowódcą frontu podczas całej wojny. Nie zainteresował się przedstawionymi dokumentami obojętnie przyjął także elaborat na temat sił AK. Jak wspominał „Sław”, Rosjanin pobladł, kiedy już na początku rozmowy, po krótkim wstępie „Wilka”, nie chciał już go wysłuchać i sucho zakomunikował: *Żadnego porozumienia nie będzie. Z polecenia rządu muszę was rozbroić.* Słowa te przysły mu z pewnym wysiłkiem. W tym samym momencie do gabinetu wbiegło kilku sowieckich oficerów.

Mjr Cetys sięgnął po broń, lecz został brutalnie rozbrojony. „Wilk” podniósł się wówczas i uroczystie oświadczył: *w imieniu Rzeczypospolitej - protestuję.* „Sław” zareagował instynktownie, zgodnie z wpojonymi mu na Kursie Specjalnym w Anglii regułami. Jak się wydaje na szczęście wykręcono mu ręce - bo wyobraźmy sobie, co by się stało, gdyby postrzelił dowódcę Frontu, w czasie wojny.

Ci dwaj oficerowie, stosunkowo niskiej rangi (w istocie „Wilk” był wówczas tylko podpułkownikiem, a „Sław” kapitanem dyplomowanym) pojechali na spotkanie z Dowódcą Frontu, nie wiedząc, że zostali pozostawieni

sami sobie w starciu z mocarstwem. Nie zdawali sobie sprawy z rzeczy podstawowej, że działają na terytorium, które nie tylko ZSRR, ale również zachodni sojusznicy Polski uznali już za terytorium sowieckie. - *Myśmy o Teheranie nic nie wiedzieli* - stwierdziła prof. Barbara Skarga, dokładnie w 60. rocznicę uderzenia na Wilno. Barbara Skarga, wówczas młoda dziewczyna, w istocie zarządzała siatką kontaktów cywilnych „Dworu”^[6] i z tego tytułu niemal codziennie spotykała się z dowództwem wileńskiej AK. Według jej relacji: *„Sław” nigdy na tematy polityczne głosu nie zabierał, uważał, że nie jest to rola zawodowego żołnierza. Ale czy coś przeczuwał?*

Dziś z perspektywy lat można chłodnym okiem historyka spojrzeć na te wydarzenia. Była to sytuacja jak z antycznej tragedii. Jeżeli nie walczyć teraz to, po co walczyć wcześniej? Walczyć o Wilno - to było zadanie niewykonalne. Wielkim błędem „Wilka” było przyśpieszenie uderzenia o dzień w stosunku do wcześniej wydanego rozkazu operacyjnego (w którym wyznaczono datę operacji na 7 lipca), bo zmieniony rozkaz nie dotarł do wszystkich oddziałów zgrupowania na czas - poza tym wielu dowódców oddziałów AK nie ufało Sowiетom i z góry założyło, że ich podkomendni na Wilno nie pójda. Po załamaniu się natarcia, oddziały AK, które wzięły udział w szturmie jeszcze przez prawie tydzień prowadziła walkę - tym razem już z wydatnym udziałem regularnych dywizji radzieckich, przy użyciu artylerii i samolotów.



Powróćmy jednak na miejsce wydarzeń. Po wyprowadzeniu rozbrojonych polskich oficerów z gabinetu generała, do hallu, w którym jeszcze niedawno uroczście ich witano wyszedł Czerniachowski i podniesionym głosem oznajmił: *Coście rozum stracili! Chcieliście zabić dowódcę Frontu!* Cetys odpowiedział na te oskarżenia, że polski oficer nie da się rozbroić bez walki.

Na kilka godzin zamknięto go w odosobnieniu. Cetys zauważył trochę słomy na podłodze i rozniecił ogień, by w zamieszaniu uciec. Niestety słoma okazała się zbyt wilgotna i ledwie zaczęła się tlić. Wartownik mierząc do Cetysa wezwał jeszcze kilku żołnierzy – o ucieczce w takiej sytuacji nie było mowy. Po kilku godzinach został wyprowadzony i razem z komendantem Okręgu Nowogródzkiego AK, płk. dypl. Adamem Szydłowskim „Poleszukiem”^[7] zostali wrzuceni do samochodu, który zawiózł ich do więzienia na przy ulicy Ofiarnej. W tym dniu w podobny sposób aresztowano dowódców większości oddziałów AK na Wileńszczyźnie. Po nocy spędzonej we dwójkę na betonowej podłodze celi rankiem dołączyli do nich inni Cichociemni pełniący służbę w Okręgu Wileńskim.: mjr. kaw. Franciszek Koprowski „Konar”, kpt. Ludwik Fortuna „Siła”. Warunki, w jakich ich przetrzymywano były fatalne. Oficerowie codziennie byli przesłuchiwani, również nocą.

Według wspomnień Cetysa nigdy nie użyto wobec niego przemocy fizycznej w trakcie przesłuchań. Na dziesiątki powtarzających się pytań miał standardową odpowiedź: *tajemnica wojskowa*. Podczas jednego z przesłuchań podenerwowany śledczy zerwał się z krzesła, chwycił leżący na biurku przycisk do papieru i krzyknął: *Gowori, job twoju mat, bo ubiju!* Cetys chwycił za krzesło na którym siedział, zamachnął się i krzyknął: *Ubit, ubijosz, no bit nie budujesz!* Przesłuchujący go pułkownik uspokoił się i po kilku godzinach Cetysa odprowadzono do celi.

Informacje o aresztowaniu Dowództwa Okręgu i rozbrajaniu żołnierzy wileńskiej Armii Krajowej dotarły do Warszawy dopiero w ostatnich dniach lipca. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że opóźnienie to było spowodowane tym że nie było komu je wysłać... Gen. Komorowski z całą pewnością wiedział jeszcze przed podjęciem decyzji o godzinie „W”, jak skończyło się powstanie w Wilnie. Być może liczył, że Rosjanie inaczej potraktują walczącą Warszawę – stolicę Polski, a inaczej Wilno, które już od 1940 roku uważali za miasto rosyjskie.

Od chwili osadzenia, w lipcu 1944 r. przez 10 miesięcy oficerowie byli głodzeni i przetrzymywani w celi pozbawionej pryczy. Przez cały ten okres nie myli się. W Wielki Piątek 1945 r. w trakcie wydawania posiłku przetrzymywani odmówili przyjęcia jedzenia – pomimo głodu. Po kilku godzinach przyszedł do nich radziecki generał w towarzystwie komendanta więzienia i dwóch podoficerów. Na pytanie generała: *Kak żywicie i pocziemu nie kuszacie?* Cetys odpowiedział, że w Wielki Piątek w Polsce się pości. Wywołało to śmiech generała i komentarz: *Eto głuposti, eto nie kulturlno*. Nie zważając na okoliczności i wysoki stopień Rosjanina Cetys stwierdził, że mowa o kulturze w takich warunkach, gdy oni od 10 miesięcy leżą na betonie, nie myją się, nie mają się czym okryć i głodują – to jawna kpina. Generał nie odezwał się i wyszedł. Po pewnym czasie strażnicy przynieśli sienniki, trzy ręczniki i kawałek mydła.

W więzieniu w Wilnie Cetys siedział do początków stycznia 1946 r. Wówczas przeniesiono go do więzienia na Lukiszkach, a następnie - transportem przez Moskwę - wysłano do obozu w Ostaszkowie. Był przekonany, że wiozą go „na rozwałkę” Nie wiedział też jak długo będą go tam przetrzymywać, póki co nie było procesu sądowego i nie było wyroku.

W obozie w Ostaszkowie został przydzielony razem z „Poleszukiem” do służby przeciw pożarowej. W nocy z 23 na 24 czerwca 1946 obaj oficerowie podjęli próbę ucieczki. Złapano ich po trzech tygodniach w okolicach Połocka. Podczas zatrzymania, w trakcie rewizji, Cetys ukrył w ustach medalik, który udało mu się przechować – wartownik kazał mu otworzyć usta i nie czekając na wykonanie polecenia uderzył go kolbą w twarz. Cetys stracił wtedy dwa zęby, lecz medalik zachował. Po odwiezieniu do Ostaszkowa, Cetys dostał 21 dni karceru.

W trakcie rewizji, przed obchodami rocznicy rewolucji październikowej, „znaleziono” pod jego pryczą kawałek blachy aluminiowej. Został oskarżony o ponowną próbę ucieczki i dostał kolejnych 21 dni w karcerze. Jak wspomina, gdyby to było lato to tych 21 dni w ziemiance



Aleksander Krzyżanowski,
ps. „Wilk”, „Wesołowski”,
„Dziemido”, „Jan Kulczycki”.



Fot. M. Szczepańczyk

z ciekącym dachem, bez posłania i koca dało by się jakoś przeżyć. Postanowił rozpocząć protest głodowy. Po trzech dniach przyszedł do niego lekarz obozowy tłumacząc mu, że w tych warunkach umrze. Nie dało to efektu, więc odesłano go do obozowego szpitala i karmiono na siłę. Oczywiście stawiał opór. Podczas jednego z takich przymusowych karmień udało mu się wyrwać sanitariuszom i złapać za nóż leżący na stole. Obezwałdniony i pobity spędził noc w karczerze. Następnego dnia odwieziono go do szpitala w Ostaszkwie z rozpoznaniem - „wariat”.

W szpitalu umyto go i nakarmiono. Radość z talerza mlecznej zupy była ogromna, lecz należało trzymać się wygodnej diagnozy – nadal się opierał podczas karmienia, ale gdy tylko pielęgniarka wyszła wręcz rzucił się na jedzenie. Jednak stwierdzono, że symuluje chorobę psychiczną i po 10 dniach odesłano go do obozu. Nie wsadzono go ponownie do karczeru, lecz przeniesiono do obozu w Kalininie.

Tam oficer śledczy nakłaniał go do podpisania wcześniejszych protokołów. Spotkał się to z ostrą reakcją Cetysa. - *Mój podpis nie będzie ci służył za podstawę do rozwalki. Jak chcesz mnie rozwalić to, to zrób, a nie szukaj pretekstu.* Zaliczywszy kopniaka w odpowiednią część ciała Cetyś wyleciał z pokoju przesłuchań.


W początkach kwietnia 1947 roku wraz z grupą akowców przeniesiono go do obozu w Morszańsku. Jesienią tego samego roku większość z tej grupy zwolniono – w obozie pozostał tylko Cetyś i mjr kaw. Franciszek Goprowski „Konar”.

Do Polski powrócił dopiero w lipcu 1948 r. W Białej Podlaskiej, w obozie repatriacyjnym, miało miejsce jeszcze jedno niezwykle wydarzenie. 28 lipca, dzień po przyjeździe bydłowym wagonem do granicy, zakwaterowano go razem z innymi „repatriantami” w obozie PUR-u^[8].

Po kilku dniach polecono im wypełnić ankiety dotyczące ich wcześniejszych losów. W pomieszczeniu – jak wspominał – przypominającym bank, z rzędem okienek wypełnił sumiennie swą ankietę. Nie taił, że był elewem Szkoły Podchorążych Piechoty, ani ucieczki z jednodniowej niewoli we wrześniu 1939 r., na fałszywych dokumentach, napisał też o drodze przez Budapeszt do Francji. Napisał o ukończeniu Wyższej Szkoły Wojennej w Anglii, o szkoleniu Cichociemnych, o skoku do kraju^[9] i służbie w szeregach AK. Nie widział powodów, by to ukrywać.

Wypełnioną ankietę oddał do okienka i jeszcze nie zdążył się odwrócić, gdy dobiegł go krzyk urzędniczki. Wytykała mu błędy ortograficzne... Uprzejmie spytał gdzie są te błędy, na co ona coś powiedziała szeptem. Nie słysząc jej słów wsadził głowę do okienka i wówczas ona powtórzyła szeptem: - *Niech pan nie pisze, że był pan w Anglii, że był pan spadochroniarzem, bo pana zamkną...* i głośno dodała, że nie ma więcej blankietów na zmarnowanie. Drugi kwestionariusz wypełnił pomijając angielski rozdział swego życia. Dziewczyna przejrzała ankietę ponownie i z uśmiechem oceniła, że jest wypełniona prawidłowo^[10].

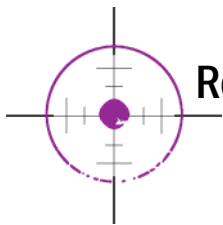
Po latach, w 1962 r., już podczas pełnienia obowiązków dyrektora w jednym z warszawskich przedsiębiorstw wytknięto mu nieścisłości w ankiecie. Jednak I sekretarz województwa stwierdził, że wykazał się wówczas mądrością zatajając pewne fakty ze swego życiorysu.

Generał Aleksander Krzyżanowski „Wilk”, z którym mjr Cetyś został aresztowany, nie miał tyle szczęścia. Z obozów w ZSRR powrócił w początkach listopada 1947 r. a w dniu 3 lipca 1948 został ponownie aresztowany. Zmarł w więzieniu na Mokotowie 29 września 1951 r. 

* Trzeba dodać, że mjr T. Cetyś za swoją pracę w PRL został uhonorowany Krzyżami Kawalerskim i Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski oraz orderem Sztandaru Pracy II klasy (red.).

Przypisy:

- [1] Stosunek sił wynosił mniej więcej 4:1 na korzyść Niemców, którzy w dodatku dysponowali lotnictwem.
- [2] Sztab mieścił się poza Wilnem w miejscowości Dziewianiszki a przed samą operacją został przeniesiony bliżej miasta do Wołkorabiszek.
- [3] Był on formalnie wtedy podpułkownikiem, lecz ujawniając się jako generał postąpił zgodnie z zaleceniem Dowódcy AK, który w ten sposób liczył że Rosjanie będą wyżej oceniać komendantów. Rozkazem NW „Wilk” został awansowany do stopnia pułkownika dopiero we wrześniu 1944.
- [4] W ten sposób zmienił nagle dowództwo Okręgu Nowogródzkiego, jak można przypuszczać - przeciwne zdobywaniu miasta.
- [5] Wspomnienia mjr Cetysa pochodzą ze wspomnień spisanych w formie maszynopisu – w posiadaniu autora i z J. Szatsznajder, Cichociemni Z Polski do Polski, KAW 1990.
- [6] Czyli miasta Wilna.
- [7] Także Cichociemny.
- [8] Państwowego Urzędu Repatriacyjnego.
- [9] 9 kwietnia 1942 r. – lądowanie w okupowanym kraju.
- [10] Szerzej o tym w J. Szatsznajder, Cichociemni Z Polski do Polski, KAW 1990.



„Chwileczkę, proszę pana...”

Z Peterem Zwi Malkinem – agentem Mossadu, który schwytał Adolfa Eichmanna – rozmawiał Krzysztof Mroczkowski

Wiele lat temu byłem w Warszawie na spotkaniu z emerytowanym oficerem Mossadu. Był on w zespole, który 11 V 1960 r., na przedmieściach stolicy Argentyny - Buenos Aires obezwładnił niejakiego Ricardo Klemensa, czyli Adolfa Eichmanna - oficera SD, organizatora Szoah, który kilka dni po porwaniu został wsadzony do samolotu El Al. (którym delegacja izraelska przyleciała na obchody 150 rocznicy powstania Argentyny) i odesłany do Izraela. Po słynnym procesie w Jerozolimie nazistowski zbrodniarz został skazany na karę śmierci. Po wykonaniu wyroku jego prochy rozsypano nad Morzem Śródziemnym.

Oficerem tym był Peter Malkin; jego zadaniem było uniemożliwienie Eichmannowi rozgryzienia kapsułki z cyjankiem, tak jak zrobił to Heinrich Luitpold Himmler-szef SS, który w ten właśnie sposób „uciekł” przed wymiarem sprawiedliwości.

Peter Malkin urodził się w Pilgramshain (dzisiejszej Żółkiewce) na Dolnym Śląsku. W 1936 r. w obawie przed antysemickim zagrożeniem uciekł z Niemiec razem z rodziną do Palestyny. Jego siostra, Fruma, jej troje dzieci i 150 jego krewnych zginęło w piekle Holocaustu. Malkin miał dwanaście lat, kiedy został żołnierzem Hagany, a od 1950 roku służył w służbach bezpieczeństwa utworzonych w powstałym dwa lata wcześniej państwie Izrael. Został specjalistą od materiałów wybuchowych, a potem ekspertem od działań antyterrorystycznych. Warto nadmienić, że przed emigracją Malkin był „czeladnikiem” kasiarza i poznał techniki otwierania sejfów, szaf pancernych oraz skomplikowanych zamków.

Podczas przygotowywania operacji porwania Eichmanna z Argentyny przez kilka tygodni trenował sposoby, jak dłonią zaklinać jego szczękę w taki sposób, aby uniemożliwić mu rozgryzienie ampułki ze śmiertelnym cyjankiem, którą mógł mieć ukrytą w ustach.

W zrealizowanym w 1996 r. telewizyjnym filmie „Człowiek, który pojmał Eichmanna” wyreżyserowanym przez Williama A. Grahama, rolę Eichmanna zagrał Robert Duvall, a Petera Malkina Arliss Howard.

Mariusz Łaciński



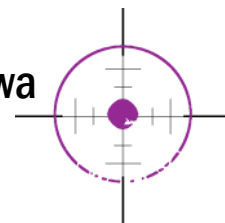
Peter Malkin w 1960 r.



Adolf Eichmann

Było to duszne krakowskie popołudnie – choć był to dopiero maj, temperatura wskazywała już ponad 27 stopni. Włączając się trochę bez celu po krakowskim Kazimierzu zobaczyłem ogłoszenie na drzwiach Centrum Kultury Żydowskiej informujące o promocji książki dotyczącej schwywania Adolfa Eichmanna. Zainteresowany tematem udałem się następnego dnia na swoje kolejne spotkanie z przypadkiem. Niezwykłym przypadkiem.

Jako zawodowy historyk wielokrotnie spotykałem się z pracami dotyczącymi agentów wywiadu i żołnierzy sił specjalnych – ot takie już moje zainteresowania badawcze. Zazwyczaj po ich lekturze uważałem, że treścią, opisami i fabułą nie ustępują dobrym opowiadaniom, ale zawsze też miałem wrażenie,

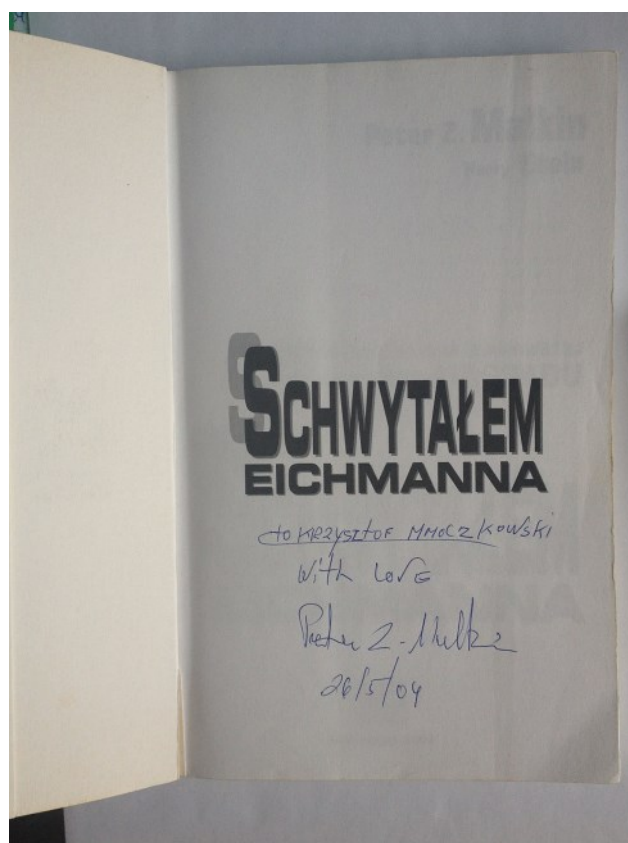


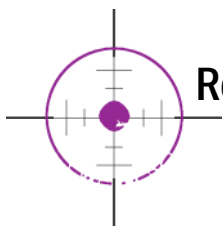
że zostały napisane tylko po to, by czytelnik poszukujący sensacji i opisów ciekawych sposobów działania jednostek okrytych tajemnicą kupił taką pozycję i dał zarobić autorowi i wydawnictwu. Jak się okazało w tym wypadku chyba było trochę inaczej...

W zielonej sali, wśród zgromadzonej publiczności wpatrującej się w podobiznę Adolfa Eichmanna spoglądającą na zebranych z powiększonej do rozmiarów plakatu okładki książki, starszy siwy mężczyzna opowiadał o swym dzieciństwie spędzonym w Polsce, o emigracji, o pierwszych latach swego pobytu w Palestynie, o działalności w Haganie, o wstąpieniu do Mossadu, o pierwszych akcjach, o kobietach, o śmierć matki, o wojnie... Ów mężczyzna nazywał się Peter Zwi Malkin, był to urodzony w maju 1927 r., jeden z najlepszych agentów izraelskiego wywiadu, przed którym los postawił Adolfa Eichmanna – nadzorcę wykonania postanowień „ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej” i pełnomocnika Heinricha Himmlera.

Po prezentacji książki nastąpił czas na pytania zadawane z sali, a potem udało mi się z nim porozmawiać osobiście. Ja i on, ponad 30 minut rozmowy, bo pomijając parę pytań z sali jakoś niewiele osób było zainteresowane rozmową z nim. Eichmann, z powodów oczywistych, stał się tematem przewodnim naszej rozmowy, ale udało mi się podpytać go o inne operacje Mossadu.

W dniu kapitulacji III Rzeszy Eichmann znajdował się wraz z rodziną na terenie dawnej Austrii. Po krótkim pobycie w amerykańskim obozie uciekł i, jak wielu innych prominentnych nazistów, postanowił przedostać się do Ameryki Południowej. Po przybyciu do Argentyny otrzymał fałszywą tożsamość – od tego momentu nazywał się Ricardo Klement, jednak nazwisko Eichmanna pojawiło się co i raz to w prasie. Światowe media donosiły o procesie zbrodniarzy wojennych we Frankfurcie. Jego dzieci zachowały dotychczasowe nazwisko i właśnie to doprowadziło wywiad izraelski do celu.

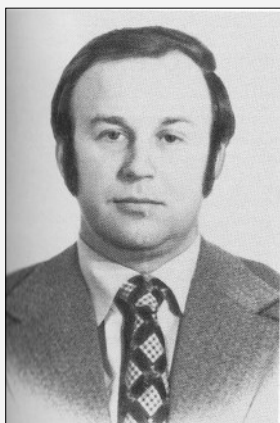




○ **Ucieczka przed wymiarem sprawiedliwości dotyczy nie tylko zbrodniarzy wojennych w rodzaju Himmlera czy Eichmanna. Uciekają się również do niej zdrajcy własnych ojczyzn, czyli szpiegdy.**

Jednym z tych, którym udało się tego rodzaju „ucieczka” przed wymiarem sprawiedliwości, był radziecki dyplomata Aleksander Ogorodnik, występujący pod pseudonimem TRIANON.

Rosjanie dla celów operacji nadali mu pseudonim Agronom. Zwerbowany w klasyczny sposób (kochanka) zażądał od swoich mocodawców z CIA otrzymania, przed powrotem do ZSRR z placówki dyplomatycznej w Bogocie, trucizny. Dostarczył mu ją oficer prowadzący Jack Downing. W okresie swojej szpiegowskiej kariery (1974 – 1977) Ogorodnik zapewnił dojście CIA do międzykontynentalnej łączności MSZ ZSRR oraz przekazywał ściśle tajne dokumenty pozwalające USA na poznanie stanowiska negocjacyjnego ZSRR w trakcie rozmów rozbrojeniowych. Podczas aresztowania Ogorodnik wziął do ręki pióro Mont Blanc w którym był ukryta trucizna (na bazie kury), wsunął je do ust i odgryzł końcówkę pojemnika na atrament. W ten sposób umknął sprawiedliwości. Dokonując zatrzymań kolejnych szpiegów radziecki kontrwywiad stosował niezbędne środki ostrożności. Jednym z zatrzymanych, z nowymi środkami ostrożności, szpiegiem był Adolf Tołkaczow. Podczas aresztowania w którym uczestniczyli *bojcy* oddziału *Alfa*, oficer służby obserwacji Włodzimierz Szarawatow w celu uniemożliwienia Tołkaczowowi użycia kapsułki z trucizną którą mógł mieć w ustach, wcisnął zdrajcy między zęby grubą linkę uniemożliwiająca zaciśnięcie zębów i ewentualne użycie trucizny. Ponadto Tołkaczow został rozebrany, gruntownie przeszukany i przebrany w ubranie dostarczone przez KGB. Linka była więc swoistego rodzaju wędzidłem, munsztukiem, „kagańcem” uniemożliwiającym samobójstwo. Peter Malkin musiał ćwiczyć wkładanie dłoni w usta. Czekiści znaleźli doskonalszy sposób.



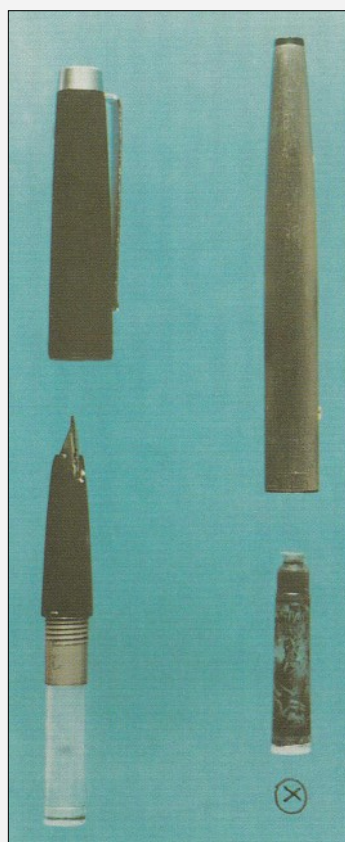
Aleksander Ogorodnik



Adolf Tołkaczow w rękach bojów Alf

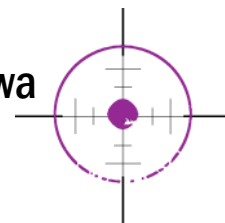
Warto dodać, że sfabularyzowany opis wytropienia Ogorodnika i jego śmierci został przedstawiony w książce radzieckiego dziennikarza i pisarza Juliana Siemionowa pt. *Operacja Żagiew* (tytuł polski, wydana w 1982 r.).

Ponadto w połowie lat osiemdziesiątych ubiegłego stulecia polska telewizja wyświetlała serial oparty na tej powieści, chyba pt. *TASS informuje*. W roli głównej występował Wiczesław Tichonow, pamiętny Stirnitz z *Siedemnastu mgnień wiosny*. Książkę i scenariusz tego serialu napisał również J. Siemionow. Tichonow odgrywa rolę generała Rema Krasilnikowa, asa radzieckiego kontrwywiadu.



Pióro A. Tołkaczowa z trucizną

Kazimierz Kraj



Jak na ironię – Syn Adolfa Eichmanna – Klaus spotykał się z córką niewidomego żydowskiego uchodźcy z III Rzeszy, z lat 30. Miało nawet dojść do ślubu, jednak ojciec niedoszłej pani Eichmann połączył w spójną całość wszystkie elementy tej układanki. Klaus był synem oficera SS, a skoro nosił nazwisko Eichmann, zatem istniało prawdopodobieństwo, że jego ojcem był – Adolf. Ów niedoszły teść wysłał z Argentyny list do swego znajomego z Niemiec, prokuratora generalnego Hesji – Fritza Bauera, który o uzyskanym tropie poinformował następnie służby izraelskiego wywiadu. Isser Harel, pełniący wówczas funkcję szefa Mossadu, wysłał swego wywiadowcę, by ten na miejscu w Argentynie sprawdził te informacje. Agent wrócił z niczym i cała sprawa przycichła – aż do roku 1958.

Jednak Szymon Wiesenthal – uparty „łowca nazistów” nie dawał za wygraną. Kiedy w lokalnej gazecie wydawanej w Altaussee ukazały się kondolencje dla żony Adolfa – Veroniki. Wiesenthal wyciągnął z tego faktu wnioski, że skoro Veronika żyła, to utrzymywała kontakt ze swą rodziną w Austrii. Wiesenthal wysłał swojego człowieka do matki Veroniki, która wyjawiała mu, że jej córka była żoną niejakiego Ricardo Klementa. Wiesenthal skontaktował się błyskawicznie z Bauerem, a ten – przy pomocy aparatu państwowego – ustalił losy Eichmanna w latach powojennych na terenie Niemiec i w Ameryce Południowej. Bauer przy okazji poinformował o całej sytuacji izraelskiego premiera Dawida Ben Guriona. Ten zaś dał wywiadowi ponownie „zielone światło”. Tym razem odnaleziono dom Eichmanna i zrobiono zdjęcia Adolfa pracującego w przydomowym ogródku.

– Mossad zaryzykował akcję. Zebrano grupę, w której byłem i ja, i odlecieliśmy do Argentyny.

– **Czyli było tak, jak w filmie sensacyjnym - wchodzicie, zabieracie go i jazda do domu?**

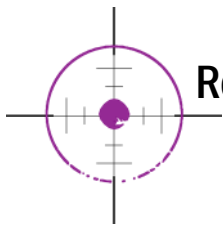


Peter Malkin

– No raczej nie, wie pan, nie do końca wszystko było właściwie zaplanowane, np.: wylądowaliśmy w Argentynie w cienkich garniturach, bo nikt nie pomyślał, że na drugiej półkuli jest zima. Samo planowanie operacyjne też pozostawiało wiele do życzenia.

Peter Malkin w czasie rozmowy przyznał (a następnie znalazłem to stwierdzenie na stronach jego książki), że była szansa, by za jednym zamachem schwytać i Eichmanna, i osławionego lekarza-mordercę z obozu w Auschwitz dr. Josefa Mengele, który także ukrywał się w Ameryce Południowej.

– Na miejscu zaczęliśmy przygotowywać akcję schwywania i wywiezienia Eichmanna z Ameryki Południowej do Izraela. Zamierzaliśmy go postawić przed sądem w Izraelu, choć też rozważano opcję zabicia go na miejscu, ale to miała być ostateczność. Jego proces przed izraelskim wymiarem sprawiedliwości miał być symbolem i hołdem dla wszystkich pomordowanych.



- Czyli panowała ogólna prowizorka?

- Nie do końca, proszę pamiętać, że nie da się wszystkiego zaplanować od „a” do „z”. Na tym polega ta praca, by szybko adaptować się do zmieniającej się sytuacji, znaleźć właściwe rozwiązanie i przechytrzyć przeciwnika. Operacja porwania i wywiezienia kogoś z kraju trzeciego jest skomplikowana i bardzo trudna. Nasz zespół przez wiele dni śledził „obiekt” w jego drodze do i z pracy. Ustalono trasę jego powrotu do domu, rozkład zajęć w ciągu dnia. Dotyczyło to nie tylko jego ale i całej rodziny itp. Dom Eichmannów znajdujący się przy ulicy Garibaldiego 14 był usytuowany przy dość ruchliwej drodze, na całkowitej prowincji, był zatem kłopot by w sposób niezauważalny objąć go stałą obserwacją. Przygotowaliśmy samochody, którymi mieliśmy dokonać porwania – oj, z nimi też były problemy... Opracowaliśmy trasy przejazdów i wynajęliśmy dwa wolnostojące domy, które miały służyć za „meliny”.

Operację porwania zaplanowano na 11 maja 1960 r. Zgodnie z planem, tego właśnie dnia o 19.25 czarny samochód z czterema agentami zatrzymał się w bocznej uliczce niedaleko domu Eichmanna.

- W celu zalegalizowania postoju, podnieśliśmy w aucie klapę silnika, by „naprawić silnik”. Czekaliśmy. W końcu nadjechał autobus i wysiadł z niego Eichmann. Była godzina 20.05, zaczęła się burza, w świetle błyskawic czekałem na niego – to był istny „Dzień Sądu Ostatecznego”. Eichmann zatrzymał się na moment; chwyciłem go, tak jak na treningu, miałem rękawiczki – nie chciałem go nawet dotknąć - zaczął się wyrwać i usiłował krzyknąć. Szamotaliśmy się kilkanaście sekund, aż udało się wspólnymi siłami obezwładnić go i wciągnąć do samochodu.

Agenci izraelscy przetrzymywali Eichmanna przez 8 dni, w tym czasie skonfrontowali jego znaki szczególne, numery członkowskie w SS i w partii nazistowskiej. Przyznał się kim jest.

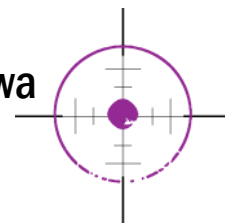


Proces Eichmanna.

- Dowiedzieliśmy się potem, że kilka dni po jego zniknięciu rodzina podniosła alarm. Zdano sobie pewnie sprawę, że został porwany przez kogoś, kto znał jego przeszłość i prawdziwe nazwisko. Rodzina jednak nie poinformowała argentyńskich władz o zaginięciu - szukała go poprzez własne kontakty z byłymi nazistami. On cały czas był w naszych rękach. Czekaliśmy na możliwość wywiezienia go z Argentyny. W międzyczasie – łamiąc zalecenia – zacząłem z nim rozmawiać. Było oczywiste, że musi przeżyć – jego śmierć pod przybranym nazwiskiem nie byłaby żadnym rozwiązaniem, gdyż nie załatwiłaby rachunku krzywd. Trzeba było go - żywego i zdrowego - dowieźć do Izraela i postawić przed sądem.

W czasie pobytu w piwnicznej – naprędce zaimprowowanej celi - Adolf Eichmann musiał oczywiście jeść, pić, spać, chodzić do toalety. Jak się okazało, był posłusznym jeńcem.

- Zaczęło się od tego, że pewnej nocy, kiedy go pilnowałem i robiłem szkice (*Peter Malkin był utalentowanym rysownikiem*), więzień zapytał mnie: – „Czy to pan mnie pojmał?”. Przez chwilę się zawahałem, a potem zapytałem: – „Tak. Skąd wiesz?”. – „Poznałem po głosie” (*Gdy Malkin zaczął Eichmanna na ulicy przed jego domem, powiedział: „Un momentito, senior” – „Chwileczkę, proszę pana”*).



– Co miałem robić? Nie odpowiadać? Jakie to miało znaczenie? Rozkaz rozkazem, ale niech wie, że ja to zrobiłem. Rozmowy te miały jednak swój cel - było to także dążenie do skłonienia Eichmanna, by podpisał dokument, iż jedzie do Izraela dobrowolnie na swój proces, co też uczynił. W celu przełamania lodów - jeżeli takie określenie może tu być na miejscu - poczęstowałem go winem i papierosem, za co zostałem ostro skrytykowany przez swoich współpracowników. Wybuchła straszna awantura. Nie chodziło o sam fakt poczęstowania go winem - powodem awantury nie był sam czyn, ale... rodzaj wina.

Malkin poczęstował Eichmanna winem przygotowanym na szabasową kolację. W czasie Sza-

basu, po błogosławieństwie światła stawia się puchar na wino, nad którym gospodarz odmawiał *kidusz* - błogosławieństwo nadchodzącego szabasu. Wino powinno być koszerne, słodkie i czerwone. Jest ono symbolem radości. Poszło najstraszliwszego to, że autor najstraszliwszego w dziejach ludzkości mordowania ludzi na „skalę przemysłową”, Adolf Eichmann, wypił wino, którym zespół izraelskich agentów miał uczcić Szabas...

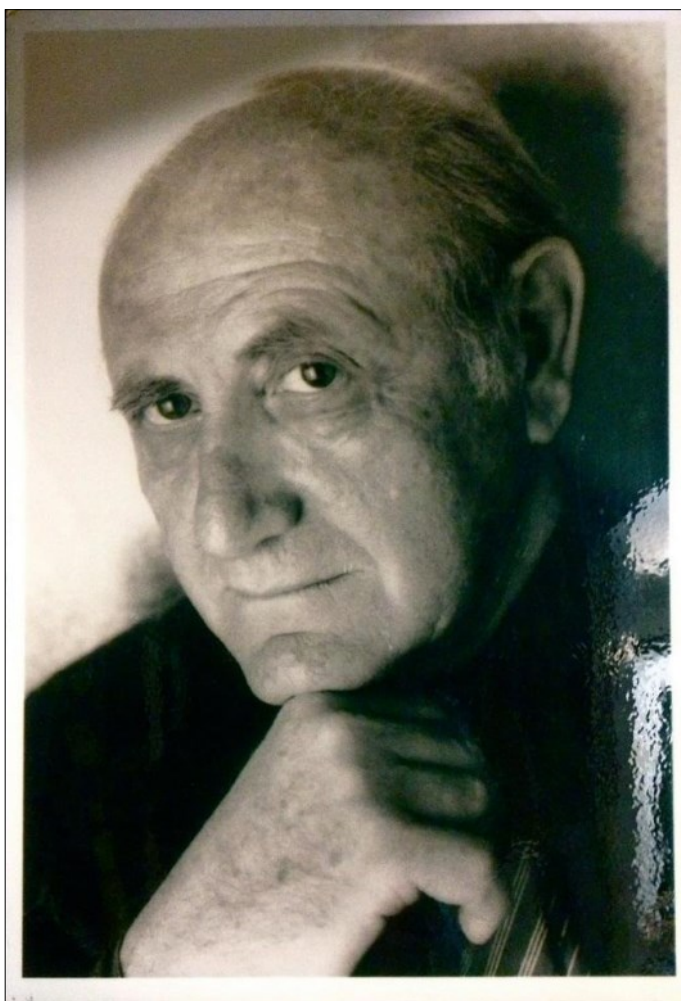
W dniu 19 maja 1960 r. do Buenos Aires przyleciał samolot izraelskich linii lotniczych EL AL. Na jego pokładzie, jako steward, był obecny kolejny agent. Jednak to nie on miał wracać tym samym samolotem do Izraela. Na jego miejsce przewidziany był... Adolf Eichmann przebrany i ucharakteryzowany na członka załogi izraelskiego samolotu.

– Poszedłem potem na jego proces. Mojej umierającej mamie przyznałem się, że to ja go porwałem, zrobiłem to dla mojej siostry, która została w Polsce i zginęła wraz z całą rodziną.

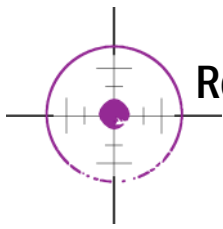
Siedziałem otoczony zielenią ścian i sącząc czerwone izraelskie wino wchłaniałem słowa tego siwego, niewysokiego, sędziwego człowieka, który osobiście pojmał A. Eichmanna. Zbrodniarz trafił na salę sądową w Jerozolimie, wyrok śmierci wydany w dniu 10 XII 1961 r., Malkin aprobował w pełni. Chłonałem także informacje na temat innych akcji izraelskiego wywiadu.

– **A inne operacje izraelskiego wywiadu, przecież nie tylko Eichmann był „na rozkładzie”?**

– Było ich jeszcze wiele, m.in. istniała paląca kwestia pracujących dla Egipcjan Niemców - specjalistów w zakresie broni raketowej, która była dla naszego wywiadu priorytetem. To była ważna sprawa, bo w tym czasie Egipt był naszym głównym wrogiem. Działaliśmy na terenie Niemiec. Czasem trzeba było uciec się do podstępów.



Peter Zvi Malkin, fot. HIT-MAN-007



W latach siedemdziesiątych – jeden z obserwowanych przez naszych agentów – naukowiec miał psa, który mógł narobić kłopotu podczas przeszukania – wejście do jego mieszkania było praktycznie niemożliwe, bo zwierzę narobiłoby hałasu, a otrucie go zwróciłoby uwagę, że coś się dzieje. Zamarkowano więc „ugryzienie” jednego z naszych agentów w czasie spaceru – ot pies naukowiec rzucił się na przypadkowego przechodnia spacerującego z innym psem. „Rana” będąca jako by wynikiem ugryzienia została wcześniej odpowiednio spreparowana. Ten incydent wystarczył, by kłopotliwego zwierzaka w majestacie prawa odesłano na obserwację weterynaryjną pod kątem występowania u niego wścieklizny, a nasi agenci mogli w tym czasie spokojnie sprawdzić mieszkanie naukowca.

Zresztą podstęp w tej pracy to podstawa. Podstęp i wiara w to, że szczęście sprzyja właśnie nam. Gdy szliśmy na akcję to zawsze wcześniej fundowaliśmy sobie dobry obiad i dawaliśmy kelnerowi suty napiwek – by coś dostać trzeba też coś dać. Ja lubiłem zawsze przygodę i miałem szczęście. Byłem i jestem otwarty, łatwo nawiązuję kontakty, ale trzymałem to pod kontrolą. Sądzę, że w tej służbie najważniejsze są talent i przeciwstawne zdolności. Trzeba umieć i podjąć ryzyko, i je kontrolować.

- Działaliście też w Polsce?

- Nie, ja tutaj nie byłem, a o innych nic nie wiem.

Oczywiste jest, że żaden - nawet były - agent nigdy nie wyjawia wszystkich swoich tajemnic. A fakt bycia na emeryturze niczego w tym zakresie nie zmienia. Po spotkaniu z nim utwierdziłem się w przekonaniu, że ci prawdziwi agenci nie mają absolutnie nic wspólnego z postaciami filmowymi.

Z czasem przyszła też refleksja, że wówczas ich zadania były wręcz niepojęte - w tym okresie Izrael był osamotniony, ani USA, ani Wielka Brytania nie doświadczyły na swoim macierzystym terytorium aktów terroru. Izrael jawił się jako państwo skrajnie zmilitaryzowane, a jego armia i siły specjalne są otoczone w kraju wielką estymą. Ale przecież nie może być inaczej, skoro Izraelczycy są w stanie permanentnej wojny od 1948 r., a ich wywiad był i jest wciąż na pierwszej linii zmagania. Czy agenci Mossadu są mordercami działającymi na rozkaz swojego rządu? Czy można złamać prawo, by sprawiedliwości stało się za dość? Te i inne pytania cisnęły mi się do głowy po spotkaniu z Peterem Malkinem. Dziś patrzę z dumą na książkę, w której pierwsza strona opatrzona jest następującym odręcznie napisanym przez Niego tekstem: „*To Kristof with love – Peter Malkin 2004*”. Peter Malkin zmarł niespełna rok później, w marcu 2005 r.



Paszport Eichmanna używany w Argentynie.
Fot. Fundacion Memoria del Holocausto



Kałasznikow wiecznie żywy

Z Leszkiem Erenfeichtem – ekspertem w zakresie broni strzeleckiej, dziennikarzem magazynu „Strzał” – rozmawiał Mariusz Łaciński

– Niedawno ukazała się w Polsce książka C. J. Chiversa pod tytułem „Kałasznikow”. Chyba nie przypadkowo zamiast imion Christofer John mamy tylko inicjały byłego szefa moskiewskiego biura „The New York Times’a”. To przecież typowa w Rosji praktyka. Czy kolejna książka o M.T., a dokładniej Michaiła Timofiejewiczu Kałasznikowie i jego karabinie AK47 może wnieść do naszej wiedzy coś nowego, zważywszy na ogrom literatury przedmiotu i niezliczonych publikacji fachowych poświęconych temu tematowi?

– Nigdy nie ma takiego stanu rzeczy, by o czymś napisano wystarczająco dużo książek, bo zawsze można znaleźć coś nowego pod warunkiem, że się czegoś szuka i nie ma się z góry założonej tezy, którą na kilkuset stronach chce się na siłę udowodnić - tylko bada się rzetelnie jakieś zagadnienie.

– Może jednak warto było ją napisać i wydać? Jak Twoim zdaniem zostanie ona przyjęta w środowisku osób zawodowo zajmujących się historią i rozwojem konstrukcyjnym broni strzeleckiej?

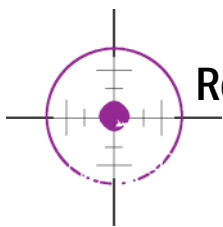
– Na pewno warto byłoby ją wydać gdyby... była lepiej wydana. W tej formie w jakiej została wydana - z niechlujnym tłumaczeniem kogoś, kto nie ma pojęcia o podstawowej terminologii i miejscami ma problemy ze skleceniem trzech zdań poprawnie po polsku - to się mija z celem.

– Jednak to przede wszystkim książka popularnonaukowa, napisana przez reportera; nie dla fachowców, ale z myślą - bez obrazy - o tak zwanym odbiorcy masowym!

– Na naszym rynku, prawdę mówiąc, Chivers nie wnosi nic nowego. W Europie,



AK-1 (AK-46 Nr 1) Kałasznikowa zbudowany na konkurs w 1946 r.
Fot. ROSWOORUŻENIJE



AK-2 w wersji z kolbą stałą (AK-46 Nr 2).
Fot. ROSWOORUŻENIJE

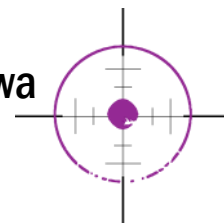
wszystkie źródła, na które się powołuje, ludziom, którzy rzeczywiście zainteresowani są tematem znane są od dawna. Od czasu, kiedy w 2005 roku Monetczikow wydał swoją książkę „Istoria ruskowo awtomata”, w której opisuje cały proces powstawania karabinów na naboje pośrednie w historii, poczynając jeszcze od armii carskiej, a potem radzieckiej nie da się wiele wymyślić. Może by się nawet dało tyle tylko, że na razie jeszcze zainteresowani trawią Monetczikowa, bo wcześniej wszystkim, zwłaszcza na tak zwanym dzikim zachodzie wydawało się, że najpierw nie było nic, potem nie wiadomo co się działo i nagle pojawił się z nikąd Kałasznikow, którego karabinek mamy do dzisiaj.

Po lekturze książki Monetczikowa wiadomo, że od roku 1944 do mniej więcej roku dwutysięcznego armia radziecka zorganizowała około 20 konkursów na karabiny automatyczne. W każdym z nich brało udział co najmniej kilka, a w niektórych kilkanaście lub ponad dwadzieścia różnych konstrukcji. Był to potwornie rozbudowany wysiłek konstrukcyjny więc, żeby to tylko przetrwać na pewno dziesięciu lat by nie starczyło. Gdyby pogrzebać głębiej dałoby się znaleźć jeszcze więcej, bo pionierska praca Monetczikowa, która ujawnia to o czym ludzie na zachodzie nie mieli zielonego pojęcia tylko zaczyna temat.

Gdyby inni autorzy mieli tak jak on bezpośredni dostęp do materiałów znajdujących się w rosyjskich archiwach powstałoby zapewne wiele kolejnych cennych publikacji. Ale cieszymy się z tego, co jest. Dzięki temu mogła powstać książka Chiversa. Generalnie rzecz biorąc odkry-



Całkowicie przebudowany AK-47 Nr 1.
Fot. ROSWOORUŻENIJE



wa ona zdumionemu zachodniemu czytelnikowi, to co każdy czytający po rosyjsku, jeśli oczywiście był tym zagadnieniem zainteresowany, wiedział od 2005 roku.

- Mam jednak wrażenie, że to nie Chivers, ale recenzenci jego książki obsadzają go w roli Kolumba odkrywającego Amerykę i wyważającego otwarte drzwi. Tymczasem on sam doskonale zdaje sobie chyba sprawę, że może być ona tak odbierana tylko przez czytelników z poza wtajemniczonego w temat kręgu fachowców i pasjonatów.

- Ta książka, jeśli w ogóle coś odkrywa to tylko dlatego, że na naszym rynku do tej pory nie było pozycji poświęconej wyłącznie tej broni, chociaż książka Chiversa także taką do końca nie jest o czym może świadczyć oryginalny tytuł „The Gun”, co jest bardzo szerokim pojęciem odzwierciedlającym zresztą jej zakres tematyczny, który jest wręcz kosmiczny. Tam jest wszystko i Gattling, i Maxim, i Stoner i wreszcie... Kałasznikow, w charakterze swoistej klamry - w środku i na końcu.

- I jakoś to mu się chyba udało i zdołał nawet upchnąć zarys historii konfliktów zbrojnych czy aktów terrorystycznych, w których karabin AK odegrał swoją rolę i odcisnął krwawą pieczęć na kartach spisanej do tej pory historii - na pięciuset jedenastu stronach, nie licząc przypisów.

Przypuszczam, że autor *stricte* fachowych publikacji nie zdecydowałby się na tak ambitne przedsięwzięcie.

Chiversowi - byłemu oficerowi U.S.M.C. i szefowi biura „New York Times'a”

w Moskwie nie można chyba odmówić braku odwagi?



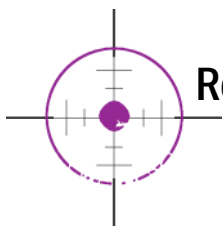
Michaił Timofiejewicz Kałasznikow (ur. 1919). Fot. EZELL

- Autor jest przede wszystkim dziennikarzem, który prawdopodobnie z Kałasznikowem miał coś do czynienia - tyle tylko, że z niewłaściwej strony lufy, w charakterze celu do którego ktoś z niego strzelał. Może, gdy był korespondentem w Moskwie poszedł z kumplami „posypać” z Kałasza i zachwycony uznał, że wie już o nim wszystko. Nie jest to na pewno specjalista od broni tylko reporter, jest też wprawdzie laureatem Nagrody Pulitzera, która wielu osobom postronnym wydaje się odpowiednikiem Nagrody Nobla, podczas gdy - przypomnijmy - sam Pulitzer był wydawcą brukowych bulwarówek i niekoniecznie wszystko co zostało nią nagrodzone od razu musi być arcydziełem.

Siłą rzeczy książka napisana przez dziennikarza prasy popularnej musi być obciążona licznymi grzechami charakterystycznymi dla tej grupy zawodowej na siłę starającej się zrobić ze wszystkiego straszną sensację. Chivers na przykład „nagle”



KB-P-580 (AK-47 Nr 3) - już prawie jak seryjny AK.
Fot. ROSWOORUŽENIJE



odkrył, że broń wojskowa jest tworzona przez zespoły konstrukcyjne - no do czego to podobne!? Tymczasem na dzikim zachodzie działa to w ten sam sposób jak w Rosji. Bardzo często zdarza się na przykład tak, że jakaś armia organizuje otwarty konkurs tylko po to, by różni konstruktorzy przedstawili w nim swoje modele broni, poczym robi konstrukcje własne i wprowadza je do uzbrojenie.

Tak było na przykład we Francji, gdzie przez całe lata dwudzieste i trzydzieste trwał konkurs na pistolet wojskowy. Ostatecznie nie przyjęto żadnego ze zgłoszonych prototypów i zlecono skonstruowanie pistoletu Charles'owi Pette-rowi, który dostał po prostu kuwetę wypełnioną dwudziestoma modelami broni z rozwiązaniami, które się komisji podobały, wraz z poleceniem skonstruowania jednego - spełniającego jej wymagania - pistoletu. I zrobił całkiem niezły nawet model P1935A, w dwóch różniących się odmianach i równocześnie produkowanych. Francuzi jakoś radę z tym sobie dali, a potem Szwajcarzy skonstruowali na tej podstawie SIG P 210, który także okazał się całkiem niezłym pistoletem.

Tak się zdarza czasami, że z powodu pośpiechu, nie czeka się na konstrukcję, która spełniłaby wszystkie postawione przez szacowną komisję wymagania i robi się tak zwanego „Frankensteina” czyli wyciąga się najlepsze rozwiązania z prototypów zaprezentowanych przez konkurentów. W taki sposób powstały między innymi Mp38 czy MG-34 - bardzo udane konstrukcje broni automatycznej, które potem inspirowały wiele innych.

- Jednak Chivers, jeśli nawet wyważa otwarte drzwi to mam wrażenie, że przede wszystkim stara się wytrwale odpowiedzieć na wciąż nurtujące wielu ludzi na świecie pytanie - co było siłą sprawczą i przesądziło ostatecznie o powstaniu fenomenu czy wręcz kultu Kałasza, który,



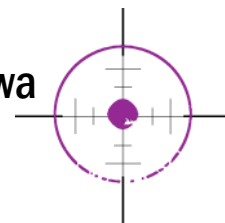
Pierwszy wariant AKS z roku 1949.
Fot. ROSWOORUŻENIJE

czego on sam nawet specjalnie nie ukrywa jego samego także nie przestaje zadziwiać.

- No tak, ale jak działa propaganda wiemy dokładnie na naszych przykładach i nie musimy koniecznie dowiadywać się o tym z książki Chiversa, który mógłby przecież na przykład zainteresować się rolą niemieckich inżynierów w tworzeniu amerykańskiego programu kosmicznego i tym jak to było przedstawiane w propagandzie tamtego okresu. Kałasznikow na pewno stał się symbolem rosyjskiej szkoły konstrukcyjnej i tyle - miał punkty za pochodzenie, na i był na tyle niski, że nie zasłaniał ani konkurentów, ani panów generałów.

- To ciekawe... Najpierw był geniuszem, samorodnym talentem wyrosłym wprost z sowieckiego robotniczo-rolniczego ludu, a potem rozkułaczonym wrogiem i ofiarą systemu.

- No tak, życiorys miał taki, że pasował do każdej epoki, bo w socjalizmie naukowym był robotnikiem rolnym, który pracą własnych mięśni stał się nagle konstruktorem a władza radziecka jakoś specjalnie go nie tępiła i choć sen amerykański to nie był, do milionów nie doszedł, to jednak usłyszał o nim cały świat. Potem się okazało, że pochodził z rozkułaczanej rodziny, która od początku miała z systemem „w poprzek”. Cóż, nowa epoka stworzyła zapotrzebowanie na nowy życiorys... Ale co to wspólnego ma z karabinem?



Pierwszy wariant seryjny karabinu automatycznego AK z roku 1949.
Fot. ROSWOORUŽENIJE

- No właśnie. Zwłaszcza w zachodnich książkach, publikacja, filmach dokumentalnych zawsze stawia się pytanie - co się kryło za fenomenem Kałasznikowa?

- Według mnie ów fenomen jest bardzo prosty. Władza radziecka chciała rozprzestrzenić na świat cały komunizm, więc produkowała tych Kałaszy od nagłej cholery i sprzedawała każdemu z sojuszników - kto tylko chciał, a jak już ten patent dostali Chińczycy to produkcja tej broni zwiększyła się nie do tysiący, ale do milionów sztuk.

- Ale dlaczego? Nie było żadnego konkurenta?

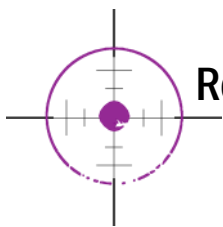
- No nie było. Jak zwykle dziki zachód pod wpływem Amerykanów raz jeszcze nie zrozumiał kolejnego etapu rozwoju wojskowej broni palnej i karabiny na nabój pośredni całkowicie odrzucił.

- Bądź uprzejmy opowiedzieć od czego to wszystko się zaczęło?

- Zaczęło się od dziewiętnastego wieku - od dwóch panów Krnki i Heblera. Pierwszy był Czechem, czyli obywatelem Austro - Węgier, a drugi żeby było śmieszniej szwajcarskim Niemcem. Krnka robił różne cuda z austriacką bronią, ale głównie pełnił rolę strażaka. Można się założyć, że gdy coś nie działało to go wzywali jak straż pożarną, żeby coś tam dopiłował, kiedy nie działało. W końcu stworzył takie dzieło - Roth-Steyr M1907, które powinno być, choć tak nie jest, przypisane właśnie jemu. Natomiast maczał paluchy w wielu konstrukcjach.

Ci dwaj panowie w 1892 roku dyskutowali między sobą korespondencyjnie o możliwości oraz potrzebie skonstruowania karabinu na nowy typ naboju, bo od momentu wynalezienia prochu bezdymnego zaczęła się na całym świecie taka właściwie olimpijska gonitwa - *Citius-Altius-Fortius* - czyli szybciej, wyżej, silniej. Skończyło się na tym, że w ciągu dekady od wprowadzenia prochu bezdymnego wszystkie armie świata przeszły na broń o zasięgu rażenia sięgającym dwóch kilometrów przy praktycznie żadnych możliwościach skutecznego celowania na takie odległości. Nic w tym dziwnego, że Krnka i Hebler zadali sobie jedyne sensowne pytanie. Po co strzelać z czegoś, co powyżej 600 metrów i tak mija się z celem skoro nawet przyrządy celownicze ze strzelaniem na takie dystanse nie miały nic wspólnego. I doszli do jedyne słusznego wniosku. Po cholere się z tym męczyć skoro można zrobić nabój krótszy, mniejszy, lżejszy, wziąć ich można na pole bitwy więcej, przez co można zwiększyć siłę ognia pojedynczego żołnierza nie powiększając przy tym ciężaru, który i tak w polu targa, pamiętajmy że żołnierz nosił na sobie po trzydzieści czy czterdzieści kilogramów wszelakiego sprzętu.

Przejście z amunicji czarnoprochowej poprzedniej generacji o kalibrze około 11 milimetrów na kaliber 6 i pół milimetra, tak jak nastąpiło to w końcu dziewiętnastego wieku spowodowało istotne zmniejszenie obciążenia żołnierza i gdyby się udało to jeszcze zmniejszyć kaliber miałyby to dodatkowe zalety.



Drugi wariant seryjny karabinu automatycznego AK, wersja produkowana w latach 1951-53. Fot. ROSWOORUŽENIJE

– AK nie był przecież, jak chcą niektórzy, kopia Sturmgewehr 44 (MP.43, StG.44) konstrukcji Hugo Schmeissera, bo prace nad bronią na amunicję pośrednią prowadzono w wielu krajach od lat.

– Przede wszystkim wynikało to z określonej potrzeby. Armia Radziecka zakończyła wojnę w 1945 r. z bronią pochodzącą pod względem konstrukcyjnym w większości jeszcze z wieku XIX. Druga wojna światowa dowiodła, że zarówno karabin Mosina, który jest konstrukcją z 1891 roku, jak i CKM Maxima w wersji rosyjskiej z 1910 także jest rozwiązaniem pochodzącym z XIX wieku, jak i rewolwer Nagant z 1885 roku, były jeszcze konstrukcjami żywotnymi, to około połowy XX wieku były to po prostu wzory przestarzałe.

– Uzbrojenie Armii Radzieckiej wymagało zatem szybkiej i koniecznej wymiany co doprowadziło w końcu do skonstruowania nowego karabinu.

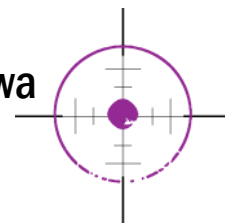
– Bo taka była potrzeba chwili. Najlepszym i jedynym sensownym rozwiązaniem z tego co było dostępne z obcej broni w tym czasie to był właśnie niemiecki Sturmgewehr (StGw). Rosjanom spodobała się ta broń, bo jej skuteczność odczuli na własnej skórze. Doceniali także niemiecką taktykę jej wykorzystania i było dość oczywiste, że poszli w tym właśnie kierunku. Produkcji Sturmgewehra - z różnych względów - nie potrafili u siebie uruchomić, ale też nie mieli takiej potrzeby. O początku bowiem doszli do wniosku, że nie spełnia ona ich wymagań i co najwyżej może być tylko konstrukcją przejściową do czasu powstania własnego karabinu. Rozpisano więc konkurs na odpowiedni karabin w którym uczestniczyło kilkunastu konstrukto-

rów, a ponieważ Armia Czerwona miała wkrótce wznieść ogień światowej rewolucji to intensywność przezbrojenia nie miała żadnych ograniczeń i dlatego różnym towarzyszom z bratnich krajów udzielano potem licencji na jej produkowanie.

Zauważ jednak, że Kałasz był w pierwszych latach swego istnienia bronią tajną. Nie wolno było jej wywozić nawet do republik przygranicznych, jak i poza teren samego Sojuza - przenoszono go w jakiś pokrowcach. Tak u Niemców było ze Sturmgewehrem, chodziło po prostu o to, by nie rozmieniać się na drobne i żeby powszechne pojawienie się nowej broni było całkowitym zaskoczeniem dla przeciwnika. Chciano uniknąć takiej sytuacji, że mamy w jakimś pododdziale na przykład dziesięć egzemplarzy nowego karabinka, a może w przyszłym miesiącu będzie ich kilkadziesiąt. Chodziło o to, że skoro, już pojawi się nowa broń, to ma być jej od razu ze trzy miliony sztuk i mają być w nią uzbrojone wszystkie jednostki pierwszej linii. To jest stara zasada. Zilustruję ją na przykładzie karabinu Dreysego, który został przyjęty na uzbrojenie 1848 roku - jego pierwszy model został opracowany w 1841, ale produkcję rozpoczętą w 1846 - natomiast on na dobrą sprawę w świadomości europejskiej zaistniał dopiero dwadzieścia lat później kiedy Niemcy w bitwie pod Sadową, w 1866 r. wystrzelali po prostu Austriaków jak kaczki.

– I był to szok wyjątkowo bolesny...

– Oczywiście, ale przede wszystkim liczyło się całkowite zaskoczenie. Potem właściwie wszystkim wprowadzającym na uzbrojenie jakąś nową broń o ten efekt właśnie chodziło. Niemcy rozpoczęli przecież jej produkcję w latach czterdziestych XIX



Konkurencyjne konstrukcje:



7,62 mm karabin automatyczny AR-46 N.W. Rukawisznikowa.



7,62 mm karabin automatyczny TKB-480 G.A. Korobowa.

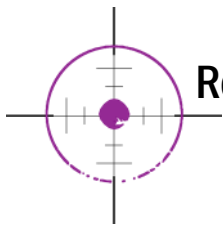


7,62 mm karabin automatyczny AD-46 A.A. Diemientiewa.



7,62 mm karabin automatyczny AB-46 A.A. Bułkina.

Fot. SIERGIEJ MONETCZIKOW



Drugi wariant seryjny AK (tu akurat – AKS)
produkowany w latach 1953-54. Fot. ROSWOORUŻENIJE

wieku i potrzebowali dwudziestu lat, żeby przebroić w nią całą armię, a Sowieci w przypadku Kałasznikowa dokonali tego zaledwie w ciągu sześciu lat.

- Jednak koncepcja, czy też potrzeba skonstruowania karabinu na nabój pośredni była w Rosji rozważana na długo przed tym zanim pojawił się na froncie Sturmgewehr 44.

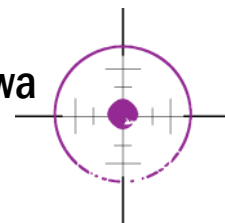
- Faktycznie, koncepcja indywidualnego karabinu automatycznego była w Rosji rozważana jeszcze przed pierwszą wojną światową i została rozpoczęta oraz częściowo zrealizowana już w 1916 roku przez Władimir Grigorijewicz Fiodorowa, który pracował nad japońskim nabojem pośrednim i był protektorem Wasilija Aleksiejewicza Diegtiarowa, konstruktora broni tak wielbionego potem przez Stalina. Jak się zmienił ustrój, to i role obu panów się odwróciły, odtąd to Diekatriow chronił Fiodorowa. Do mniej więcej lat trzydziestych ubiegłego wieku obaj panowie wciąż jeszcze się bawili z tym japońskim nabojem, ale potem, w 1931 r., zapadła decyzja, że czas już skończyć z tym dziadem starym Fiodorowem i jego japońskim nabojem. Ma być nabój pełnej mocy! I wtedy zaczęły się przysłowiowe hece. Pojawił się karabin Simona i automatyczny karabin Tokariewa i oba były do bani - z prostego powodu, bo popełniono podstawowy błąd - zrezygnowano z naboju o osłabionej mocy, który łatwiej było kontrolować w ogniu ciągłym na rzecz karabinu strzelającego nabojem standardowym.

- A czym kierowali się Japończycy, którzy wprowadzili nabój mniejszej mocy?

- Tak to sobie po prostu wymyślili. Okres do połowy mniej więcej lat dziewięćdziesiątych XX wieku był takim swoistym wyścigiem w zakresie miniaturyzacji kalibrów. Punktem wyjścia był nabój czarnoprochowy kalibru 11 mm, potem pojawiły się naboje 8 milimetrowe na proch bezdymny, a następnie jak to wynikało z ówczesnych obliczeń uznano za najbardziej optymalnym kaliber nabój około 6,5 mm. Przy takiej średnicy miało się najlepiej dopasowane proporcje długość do masy broni, przy ołowianym rdzeniu, i tak dalej.

- Czy to miało jakieś znaczenie, że Amerykanie wybrali ostatecznie kaliber 5,56 mm, a Rosjanie 5.45 milimetra?

- Pojawienie się w końcu XIX wieku kalibrów około 6,5 mm, tak zwanych idealnych kalibrów, miało podstawy teoretyczne i doprowadziło do pewnej standaryzacji nowoczesnej amunicji bezdymnej. Był na rynku nabój włoski Carcano, holenderski, rumuński, portugalski i chociażby ten japoński, o którym wspominaliśmy wcześniej. Hiszpanie coś tam jeszcze dołożyli do pełnych 7 milimetrów, tak krakowskim targiem. Natomiast w latach pięćdziesiątych XX wieku nastąpiło zejście z tych kalibrów na przykład z 7.62 mm na 5,56 mm. Na dobrą sprawę nie było spowodowane na dobrą sprawę niczym racjonalnym. Tak sobie ustalono i tyle.



– Jednak były jakieś powody, które przesądziły o zmniejszeniu kalibru i zwiększeniu skuteczności rażenia takiej amunicji. Może to jednak jest jakaś opcja?

– Przede wszystkim chodziło o to, by zachować własności balistyczne przy jak najbardziej zmniejszonej masie przy odpowiednich prędkościach początkowych w efekcie tych rozważań powstał standardowy pocisk amerykański, a Rosjanie zaczęli prace od kalibru 5.56mm, ale ostatecznie wprowadzili nabój 5,45/39 do AK74. To jest zupełnie inna kategoria amunicji w porównaniu do amerykańskiej. To jest przede wszystkim pocisk bardzo długi, co stabilizuje go w locie i powoduje, że koziołkuje przy trafieniu, a amerykański pocisk 5,56 mm, koziołkuje w locie i nie wiadomo gdzie trafi.

– Na jakim dystansie?

– Na dystansie około 500 metrów.

– A wcześniej?

– A wcześniej jak taki pocisk trafi na jakąś gałązkę, to też głupiej, bo jest za lekki.

– Ale chyba w końcu to skorygowano?

– Pocisk do starego M16 był niestabilny przede wszystkim dlatego, że ten karabin miał dwunastocalowy gwint w lufie i pocisk miał za małą prędkość obrotową. Pocisk FF109, który teraz jest standardową amunicją w NATO jest - przy niewielkiej różnicy wagowej - prawie dwa razy dłuższy, w środku ma rdzeń stalowy, ma także zupełnie inaczej rozłożoną masę i jest przede wszystkim przeznaczony do strzelania z 7 a nie z 12 calowe-

go gwintu w lufie i to powoduje, że ma wyższą prędkość obrotową na wyjściu, a potem zachowuje stabilność w locie do celu.

– Ale przecież problem nie polegał tylko na wprowadzeniu na uzbrojenie naboju 5.56 mm?

– Całym problem z AR15/M16 polegał na tym, że został przyjęty jednorazowo jako zakup głównie dla sił specjalnych czy lotnictwa i nikt się nie zajmował takimi szczegółami jak proch do amunicji. Nagle, gdy się okazało, że całe wojsko ma być przebrojone w ten właśnie karabin zaczęła się jazda po tak zwanej bandzie. Po niecałym roku i po analizie informacji napływających z pola walki co też się dzieje z tym prochem i z jego osadami - nagarem, który w tamtych warunkach atmosferycznych zamieniał się prawie w beton i był nie do usunięcia w warunkach bojowych, bo żołnierze nie dostali podstawowych przyborników do czyszczenia karabinu - rozpętała się afera. Jak się o tym dowiedziano to zakwestionowane partie prochu przeznaczone do szkolenia jednostek w kraju i nie wysyłano ich do Wietnamu. Pod ciśnieniem tych okoliczności powstał nowy gatunek prochu, zmieniono jego skład chemiczny i problemy się skończyły. Przy okazji jeszcze wydano wojsku przyborniki do czyszczenia karabinów, bo w założeniu przy użyciu poprzedniego prochu M16 miał czyścić się sam.

– Czy ci, którzy decydowali o tak żywotnych dla żołnierzy kwestiach nie mieli wiedzy bądź świadomości o tym, jaki jest klimat w południowo wschodniej Azji?



Trzeci, ostateczny wariant seryjny AK z kolbą stałą i bagnetem 6H2, produkowany w latach 1954-59. Fot. ROSWOORUŻENIJE



Ostateczna wersja seryjna AKS – na zdjęciu licencyjny karabin produkowany w Polsce w latach 1958-65.
Fot. ROSWOORUZENIJE

– Żeby mieć świadomość, to trzeba myśleć. Ale jak to zwykle w wojsku bywa – jak się coś ma „w kwitach” napisane, to po co myśleć?

– **No tak, ale jednak są chyba także jakieś konstrukcyjne różnice, które pozwalają na opinię o większej niezawodności Kałasza w porównaniu z M16?**

– Różnica polega, w skrócie, na porównaniu Luwru do Wersalu. W Luwrze paskudzili po kątach, a jak wszędzie zalatywało smrodem musieli wyprowadzić się na wieś, tymczasem w Wersalu najpierw wybudowali wygodkę, a potem pałac. W przypadku AK cały smród idzie na zewnątrz, a w M16 jest wdmuchiwany do wnętrza komory zamkowej, gdzie działa na tłok.

– **Jednak te dwie konstrukcje i ich różne modyfikacje, czy też klony cały czas są w tak zwanym obiegu.**

– Zgoda. To jest tak, jak na przykład z Lockheed C-130 Hercules, samolotem transportowym wprowadzonym do służby w grudniu 1956. Obie konstrukcje są nadal bardzo żywotne, zarówno AK, jak i M16 wciąż strzelają na całym świecie. Powstają oczywiście ich modyfikacje i rozwiązania rozwojowe, ale potwierdza to tylko prawidłowość, że w tej dziedzinie - poza na przykład systemami zintegrowanego współdziałania podzespołów i mechanizmu broni – prochu już raczej nikt nie wymyśli.


– **Mój przyjaciel poznał w Izraelu Rosjanina, od którego usłyszał, że M16 ma taką pompkę z boku. I to jest takie pneumatyczne wspomaganie. Kiedy mu pokazał M16 i zapytał gdzie jest ta pompka to usłyszał - это был наверное какой-то иной модель - czyli, że niby inny model mu pokazywali.**

Mógłbyś odnieść się do tej kwestii?

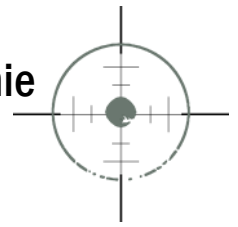
– Rzeczywiście. To jest coś takiego dziwnego znajdującego się po prawej stronie M16, to coś służy do tego, żeby docisnąć zacięty nabój do komory naboju, tak, by zamek mógł się zamknąć i zaryglować. W przeciwieństwie do większości konstrukcji rączka napinania w M16 nie jest połączona na stałe z zamkiem i służy tylko do odciągania zamka w tylne położenie, za dostanie naboju odpowiada sprężyna powrotna. Tyle tylko, że zamówili to wojskowi znający podobne rozwiązania z wcześniejszych konstrukcji. W praktyce działało to tak, że żołnierz przed użyciem M16 odciągał toto, spuszczał i tyle. Ale, że to „coś” robi jakiś hałas więc zgodnie z zasadą: *solution in search of a problem* uznano, że przed akcją, żeby zachować ciszę, zwalnia się to powoli, a potem po cichu się dopycha tylko nabój do komory. Wszyscy, którzy oglądali amerykańskie wojenne filmy fabularne znają doskonale sceny, w których amerykańscy chłopcy odciągają i zwalniają z trzaskiem, a potem wszystko działa. I tak jest do dzisiaj. M16 i AK byli i pozostaną rywalami.

– **Wyprodukowano, jak się szacuje, około sto milionów egzemplarzy AK. Co roku ginie od wystrzelonych z tej broni pocisków około dwustu tysięcy osób. Co ty na to?**

– A ile osób ginie rocznie w wypadkach samochodowych? Problem w tym ile tych Kałaszy jest w Chinach i czy gdyby ten kraj z ponad miliardem obywateli wybrałby nie AK ale M16 coś by to zmieniło w przytoczonej przez ciebie statystyce?

Dziękuję serdecznie za spotkanie i rozmowę 

Fotografia na wstępie: Żołnierze Iraccy z AK-47s podczas ćwiczeń.
Fot. L. Riendeau / U.S. Air Force



MARIUSZ ŁACIŃSKI

Kałas – produkt pierwszej potrzeby



AK, z najnowszym typem komory zamkowej.
Fot. MON, www.wp.mil.pl.

Kiedy byłem starszy, zrozumiałem, że mój wynalazek stanowi nie tylko ukoronowanie żarliwych pragnień naszych żołnierzy, którzy chcieli mieć broń do obrony ojczyzny, ale także tego co często określa się pozornie wyświechtanymi słowami „twórcza energia narodu „ (...) Niech zatem będzie wspólnym pomnikiem dla nas wszystkich – dla ludzi, których nazwiska są znane i dla tych bezimiennych.

Michaił Tiomofiejewicz Kałasznikow

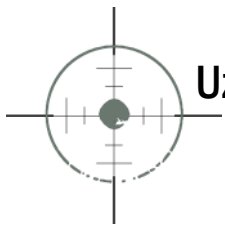
Przez cały czas, gdy silna osobowość Stalina i konkretne powody jego obaw prowadziły do rozwoju sowieckiego przemysłu nastawionego na produkcję karabinu szturmowego, świat dzielił się na dwa obozy. Ak-47 pojawiły się w samą porę, żeby stać się główną bronią palną jednego z nich.

Te historyczne napięcia uczyniły z AK-47 coś więcej niż tylko produkt przeznaczony do obrony: był narodowym, a potem międzynarodowym produktem pierwszej potrzeby.

C.J. Chivers

Wydaje się, że poza śmiercią Stalina, powyższe cytaty zaczerpnięte z książki C.J. Chiversa, która ukazała się niedawno na naszym rynku pod tytułem *Kałasznikow* tylko pozornie straciły na aktualności. Mimo, że zimna wojna, przynajmniej na razie zlodowaciała pod gruzami muru berlińskiego, to wojna z terroryzmem skłania jednak co najmniej do rozważenia opcji opowiedzenia się po jednej ze stron konfliktu. Jeśli nawet tylko na siłę może to być kryterium podziału świat na dwa zwalczające się obozy to, przynajmniej jeśli chodzi o karabiny szturmowe, dwaj legendarni fighterzy – karabiny szturmowe AK i AR-15/M16 dopóki są produkowane i leżą zakonserwowane w magazynach razem z ich rozwojowymi następcami wciąż nie zamierzają rzucać ręcznika między liny ringu.

Z kolei słowa Kałasznikowa pozwalają skutecznie odpierać formułowane nazbyt pospiesznie zarzuty niektórych krytyków jego książki, a zwłaszcza doskonale znających temat fachowców, którzy alergicznie zareagowali na krzykliwe i podbijające bębenka tytuły szukających sensacji laików takich jak np. ten – "Najpopularniejszy karabinek automatyczny świata nie jest autorskim dziełem Michaiła Kałasznikowa - dowodzi w wydanej właśnie w Polsce książce *Kałasznikow. Prawdziwa historia najsłynniejszej broni świata*, laureat Pulitzera C.J. Chivers. To sowiecki totalitarny system, kolektyw, stworzył eksportowy hit ZSRR. A przy okazji ikonę popkultury."



Jednak uważny i wyrozumiały dla amerykańskich autorów, nawet jeśli byli jak Chivers korespondentami New York Timesa w Moskwie czytelnik musi docenić wartość trudnego, ambitnego i chyba z sukcesem zrealizowanego projektu, jakim było uporządkowanie zdobytej, na podstawie rozległej literatury przedmiotu, w tym fundamentalnych pozycji rosyjskich - wiedzy o początkach i meandrach historii powstania legendarnego karabinu szturmowego AK i jego znaczenia, jako podstawowego narzędzia wspierającego rozprzestrzenianie się światowej rewolucji bolszewickiej i oręża sterowanych z Kremla ruchów narodowyzwoleńczych i terrorystycznych na wszystkich oprócz Antarktydy kontynentach i zrozumienia fenomenu, który przeistoczył go wręcz w przedmiot kultu.

Awtomat Kałasznikowa nie przypadkowo znalazł się przecież między innymi na godłach i flagach kilku państw, m.in. - Mozambiku czy Burkina Faso oraz na piktogramach wszelkiej maści tak zwanych bojowników - począwszy od Frontu Wyzwolenia Palestyny, Hezbollahu, Jundallahu, Indyjskich Mudżahedinów, Rewolucyjnych Siły Zbrojnych Kolumbii, Nowej Armii Ludowej (NPA), zbrojnego skrzydła Komunistycznej Partii Filipin (CPP) a skończywszy na al-Kaidzie i szwadronach śmierci państwa islamskiego.

Chivers, wbrew pozorom, doskonale zdaje sobie sprawę z tego, że AK nie był owocem, nadprzyrodzonego przebłysku geniuszu Kałasznikowa, ale efektem żmudnej pracy całego zespołu konstrukcyjnego korzystającego nie tylko z rozwiązań zagranicznych i rywalizujących ze sobą w czasie kolejnych etapów konkursu biur projektowych konkurentów, których nowatorskie pomysły nigdy by nie powstały bez dziedzictwa i doświadczeń wybitnych carskich, a potem sowieckich rusznikarzy, ale także dzięki szczęściu i osobistym - czytaj solidnie zakrapianym wodą ognistą, koleżeńskim kontaktom Kałasznikowa z oficerami decydującymi o wynikach testów poligonowych podstawowej broni indywidualnej sowieckiej piechoty.

Autor wielokrotnie cytując Kałasznikowa zwraca uwagę na niespójności, czy wręcz sprzeczności występujące w jego licznych wypowiedziach, wywiadach i wspomnieniach. Chivers nie ma żadnych złudzeń co do tego, że zmieniały się one wraz z rolą, jaką narzucała konstruktorowi obowiązująca w danym momencie historii

sowiecka propaganda. I tak za Stalina, w którego Kałasznikow wpatrywał się jak w obrazek („Był nam niemal bliższy od naszych rodziców.(...) Czuliśmy, że bez niego nie możemy dalej żyć. Strach przed przyszłością opanował nasze serca.”) był synem ludu pracującego, bohaterskim obrońcą państwa robotników i chłopów, rannym na froncie czołgista szkicującym na szpitalnym łóżku projekt pistoletu maszynowego, samoukiem, którego konstruktor-ski geniusz, gdyby nie władza sowiecka, nigdy nie zostałby odkryty, w pełni doceniony i wykorzystany, by po śmierci tyra i dyktatora stać się... synem rozkułaczanej rodziny zesłańców, represjonowanych wrogów ludu, bratem budowniczego Białomorskiego Kanału - jednego z symbolu niewolniczej pracy skazańców i katorżników Archipelagu Gułag.



Jak sam wspomina - po tajnym referacie „O kulcie jednostki i jego następstwach” Nikity Chruszczowa wygłoszonym w 1956 roku na XX Zjeździe KPZR „Było oczywiste, że niektórych ludzi w naszych zakładach przeszkolono, jak zabierać głos na zebraniach załogi. I ci ludzie oznajmili, że u nas panuje kult jednostki, a tą jednostką jest Kałasznikow! To polowanie na czarownice trwało przez kilka miesięcy, potem jednak ustalono, że należy ograniczyć się do Stalina. Zostałem zrehabilitowany.”

Kałasznikow był już laureatem nagrody Bohatera Pracy Socjalistycznej, której medal z nr 1 przyznał sobie Stalin. Nagradzano nim ludzi zasłużonych w uznaniu za osiągnięcia w dziedzinie kultury, gospodarki i sztuki. Jak pojmowano te dziedziny w ZSRS świadczy kolejne dziewięć nagród przyznanych przez Radę Najwyższą ZSRS wyłącznie... konstruktorom broni i sprzętu wojskowego. Kałasznikow, jak podkreślono w dyplomie został uhonorowany za wkład i wzmacnianie obronności ZSRS. Już w 1945 r jego 1500 rublowy żołd starszego sierżanta był kilkakrotnie wyższy od pensji robotnika. Kiedy w 1949 roku otrzymał Państwową Nagrodę Stalinowską było go stać na kupienie wartej 16 tysięcy rubli Pobjedy. W ciągu 13 lat, w kraju zamieszkałym przez około 200 milionów obywateli wyprodukowano tylko 235 tysięcy takich sedanów.

Jak pisze Chivers - sierżant stał się proletariackim superbohaterem, a „broń, którą Kałasznikow z naciskiem nazywa narzędziem obrony i wspólnym pomnikiem twórczej energii obywateli symbolizowała raczej gospodarkę planową pod totalitarnymi rządami. (...) Dla kraju, który

Kałas – produkt pierwszej potrzeby

miał trudności z wyprodukowaniem przyzwoitych wind czy butów, w systemie, w którym wełniane koszule niekoniecznie były z wełny, uznanie dla sowieckiej broni stanowiło krzepiącą aprobatę dla bazy przemysłowej, która często wytwarzała tandetne towary.” Cóż, być może tylko najstarsi Indianie wiedzą ile wody musiałoby przepłynąć w Missisipi i Missouri zanim obywatele gwiazdzonego sztandaru zrozumieją priorytety, jakimi wciąż kierują się władze z Kremla i przestaną dworować sobie nad wyższością ich lodówek nad rosyjskimi konkurentami marki Mińsk. Wbrew pozorom, poza licznymi różnicami jednych i drugich łączy niczym niewzruszone przeświadczenie o przewadze ich produktów w globalnym wyścigu o prymat lidera we wszystkich dyscyplinach naukowej i technologicznej rywalizacji.

Chiversowi udało się jednak na kartach swojej ponad pięciuset stronicowej książki dostrzec wszystkie najistotniejsze i przełomowe momenty, które przesądziły ostatecznie o zwycięstwie firmowanego przez Kałasznikowa prototypu karabinu szturmowego w stalinowskim konkursie na podstawową broń Armii Czerwonej, mimo, że zaczął swoją opowieść od banalnego spostrzeżenia dotyczącego zasadniczej różnicy między amerykańskimi i sowieckimi doświadczeniami w tej materii. „Ponieważ pracowano kolektywnie, sowiecki projekt różnił się zasadniczo od sposobu konstruowania broni szybkostrzelnej we wczesnym okresie, kiedy to generał Origen Vandenberg, Richard Gatling czy Hiram Maxim, wspomagani przez niewielkie zespoły, trudzili się w prywatnych warsztatach, głowiąc się nad swymi planami w nadziei, że znajdą dla nich wsparcie finansowe i producenta,

który przekształci je w wyrób gotowy do sprzedaży. sowiecki konkurs był czymś zupełnie innym. Było to przedsięwzięcie sterowane przez państwo, proces zrodzony z leninowskiej ideologii i woli Stalina, nieobciążony ograniczeniami zachodnich patentów i wspierany przez administrację Armii Czerwonej. Wiązał się bezpieczeństwem państwa i był otoczony tajemnicą. Realizowano go na wielką skalę, zgodnie



M. Kałasznikow D. Miedwiediew.
Fot. Пресс-служба Президента России

z katalogiem zasad i nie miał nic wspólnego z indywidualną przedsiębiorczością i pomysłowością ludzi takich jak Gatling czy Maxim. Co więcej państwo wysuwało żądania, wyznaczało ramy czasowe i oceniało rezultat prac. (...) Ten wpływ sięgał dalej niż wytyczne konkursu. Obejmował mianowicie fundamentalną decyzję, bez której AK-47 nie mógłby powstać: wybór naboju, którym miał strzelać karabin. Chodziło oczywiście o nowy, nieznan na Zachodzie nabój M 1943, któremu pisane było stać się najpopularniejszym nabojem karabinowym na świecie”.

Wszystko to prawda - tyle tylko, że prace nad wprowadzeniem nowej, lżejszej amunicji prowadzono w Rosji, a potem w ZSRS podobnie jak w kilku innych krajach od dawna, także w Stanach Zjednoczonych. W telegraficznym skrócie chodziło o lżejszy od karabinowego, a cięższy od pistoletowego nabój, nazwany z czasem pośrednim. Miał on skutecznie razić ogniem pojedynczym cele do 300 - 400 metrów, a nie jak standardowy karabin z cięższym nabojem na większych dystansach, przy których żołnierz z trudem dostrzegał sylwetkę atakującego wroga, nie wspominając o przeciwniku okopanym lub wykorzystującym jako osłonę nierówności terenu.

Lżejszy nabój oznaczał większą ilość amunicji, jaką mógł zabrać piechur, mniejsze gabaryty, a na krótszych dystansach i przy możliwości strzelania seriami większą od pistoletów maszynowych siłę ognia i moc obalającą pocisków. Nabój i strzelający nim karabin to podstawowe elementy systemu indywidualnej broni strzeleckiej. W 1938 r. w Niemczech opracowano nabój kal. 7,92×33 mm „Kurz” (krótki). Ponieważ był krótszy od standardowego naboju karabinowego kal. 7,92×57 mm i jednocześnie dłuższy od naboju pistoletowego typu Parabellum 9×19 mm nazwano go nabojem pośrednim (*Mittelpatrone*). I tak na froncie pojawił się StG 44 Hugo-na Schmeissera. „StG” to skrót od *Sturmgewehr*, karabin szturmowy. Prace na tego typu amunicją prowadzono również w ZSRS przed drugą wojną światową. Wzno-



C. J. Chivers, 2010 r.
Fot. Larry D.,
commons.wikimedia.org



Po lewej: Odznaka im. Kałasznikowa przyznawana przez Ministerstwo Przemysłu i Handlu Federacji Rosyjskiej pracownikom przedsiębiorstw, organizacji i instytucji zaangażowanych w produkcję i rozwój małych broni i amunicji.

wiono je kiedy w 1942 roku Armia Czerwona zdobyła kilka egzemplarzy karabinów MKb 42 (W) na nabój *Kurzpatrone*. Założenia programu mówiły o opracowaniu naboju o kalibrze 7,62 mm i masie 15-17 g, którego pocisk wystrzelony z lufy o długości 500 mm miałby w odległości 1000 m energię kinetyczną około 200 J.

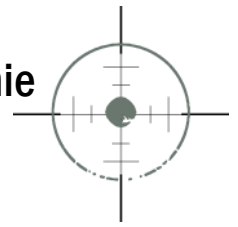
W marcu 1944 skierowano do produkcji doświadczalnej nabój N. M. Jelizarowa i B. W. Siemina z łuską o długości 41 mm. Ostateczną wersję standardowego naboju ze skróconą do 39 mm łuską opracowano w 1947 roku i przyjęto do uzbrojenia z karabinem Kałasznikowa, jako nabój 7,62 × 39 mm wz. 43 dwa lata później. Tylko Amerykanie posługują się nazwą AK-47, a nie jak reszta, chciałoby się powiedzieć Bożego świata, po prostu AK czy AKS (wersja ze składaną kolbą). Gdyby trzymali się faktów i roku przekazania go w ręce żołnierzy Armii Czerwonej musieliby zmienić ją na AK-49. Pierwszy konkurs na karabin automatyczny strzelający nabojem pośrednim ogłoszono bowiem we wrześniu 1943 r.

Swoje projekty zgłosili wówczas najślynniejsi radzieccy konstruktorzy broni strzeleckiej: Tokariew, Diegtariow, Korowin, Baryszew, Konstantinow, Stieczkin, Korobow oraz Aleksiej Sudajew, którego prototyp – AS-44 – z sukcesem przeszedł wszystkie próby poligono-we. Wymagał jednak dopracowania i zmniejszenia wagi. Drugi, rozpisany w maju 1945 r. konkurs ponownie nie wyłonił zwycięscy. W trzecim, rozstrzygającym konkursie, jaki miał miejsce w sierpniu 1946 roku nie wystartował faworyt – Sudajew, który zmarł na białaczkę. Chivers wiernie opisuje kluczowe momenty dwóch etapów tej

rywalizacji, które przesądziły ostatecznie o sukcesie prototypu zaprojektowanego przez zespół konstrukcyjny Kałasznikowa.

Wydaje się, że przełomową i decydującą rolę odegrała decyzja majora Wasilija Fidorowicza Liutego. Kierownik zespołu testującego Poligonu Badawczego Broni Strzeleckiej i Moździerzy (NIPSMVO) – w sowieckim ośrodku położonym 95 km od Moskwy obok wsi Szczurówi, zmienił on bowiem raport inżyniera U. J. Pczelincewa, który po pierwszym pokazie uznał, że system Kałasznikowa: „jest niekompletny i nie może być dalej opracowywany”. Liuty przyjaźnił się z Kałasznikowem jeszcze zanim ten trafił do biura konstrukcyjnego Wasilija Aliksiejewicza Diegtariowa (nazywanym często Diegtariowem) w Kowrowie, gdzie pracował nad prototypem swojego *awtomatu*. „Tak naprawdę wziętem późniejszą sprawę w swoje ręce, a dzięki Bogu miałem konieczną do tego wiedzę i doświadczenie. Po skrupulatnym przestudiowaniu sprawozdania z testu doszedłem do wniosku, że konstrukcja musi zostać przerobiona niemal od nowa, ponieważ, według moich obliczeń, należało wprowadzić 18 poprawek o różnym stopniu trudności. Powiedziałem o tym Michaiłowi i wyjaśniłem mu co i – co ważniejsze – jak można to zrobić z jego *awtomatem*. Mając na względzie swoje uwagi, zmieniłem konkluzję Pczelincewa i zarekomendowałem karabin do dalszego ulepszenia”.

I tu, także we wspomnieniach Kałasznikowa pojawia się kluczowa dla losów konkursu postać Aleksandra A. Zajcewa. „Kompletnie zmieniłem ogólną konstrukcję. Ponieważ zasady konkursu nie pozwalały mi zmienić



Kałas – produkt pierwszej potrzeby

całości projektu, musiałem udawać, że pracuję tylko nad poprawkami, Sasza Zajcew, moja prawa ręka od początku konkursu, był wtedy jedyną osobą, która zdawała sobie sprawę z mojego prawdziwego planu. (...) Nasz projekt stanowił prawdziwy przełom w historii konstrukcji broni automatycznej. Przełamaliśmy wszystkie stereotypy, które panowały w tej dziedzinie”. Wersja wydarzeń Zajcewa jest zgoła odmienna. Można nawet odnieść wrażenie, że Kałasznikow stracił wiarę w sukces ich projektu, był przeciwny zmianom, ponieważ nie wierzył, że zdąży je wprowadzić przed na rozstrzygający o zwycięstwie etapem konkursu. „Zaproponowałem, żeby całkowicie przeprojektować karabin szturmowy Kałasznikowa. (...) Udało mi się go przekonać, że mam rację”.

I w ten sposób zwycięzcą konkursu okazał się nie prototyp, który omal nie odpadł z rywalizacji, ale zupełnie nowy karabin, w którym wprowadzono najlepsze rozwiązania z konstrukcji konkurentów w tym między innymi suwadło zintegrowane z tłokiem gazowym Aleksandra Aleksiejewicza Bułkina kierującego biurem konstrukcyjnym w Tule. Słynne luzy w dopasowaniu między poszczególnymi podzespołami konstrukcji, które miały decydujący wpływ na legendarną niezawodność Kałasza i jego odporność na zanieczyszczenia w warunkach polowych czy powstałe w wyniku intensywnego prowadzenia ognia powodujące zacięcia broni także nie były, wbrew temu co napisał w swoich wspomnieniach Kałasznikow, żadną nowością. „ Tokariew przyjął jedną zasadę, która zdecydowała o ogólnym kształcie jego

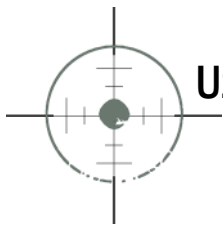
broni: wszystkie elementy były tak ściśle do siebie dopasowane, że nie mógł się między nie dostać nawet kurz. (...) Moje podejście było inne: pomiędzy wszystkimi elementami jest odstęp, tak jakby wisały w powietrzu”. Takie rozwiązanie zastosował już wcześniej w karabinie AS-44 Aleksiej Iwanowicz Sudajew, jeden z głównych faworytów pierwszych dwóch konkursów zanim śmiertelna choroba nie wyeliminowała go z rywalizacji.

Wykorzystywanie przez konstruktorów pomysłów swoich rywali także nie było niczym nowym, nie tylko w ZSRS, ale w także w innych krajach, także w tych powszechnie uznawanych za bardziej cywilizowane od reszty świata. Nikt nie ukrywał, że przy konstruowaniu pierwszego prototypu testowano między innymi rozwiązania Johna C. Garanda, twórcy standardowego karabinu żołnierzy amerykańskich, czy też różne warianty zespołu spustowego autorstwa Hugo Schmeisessera zapożyczone z karabinu szturmowego StG44. Kiedy Amerykanie zwolnili niemieckiego konstruktora z niewoli Sowieci przewieźli go razem z rodziną do Łżewska – zamkniętego miasta i ośrodka zbrojeniowego i zatrudnili w fabryce broni. Jest to powodem trwających do dziś skrajnych czy wręcz niedorzecznych spekulacji o roli, jaką mógł on odegrać w powstaniu konstrukcji Kałasznikowa – począwszy od spiskowej teorii i strzeżonej do dziś przez Sowieców jak źrenicy oka tajemnicy o osobistym kierowaniu przez Niemca pracami nad prototypem AK, a na tej, rozpowszechnianej w formie anegdoty, że mógł on co najwyżej nauczyć się od Rosjan picia wódki skończywszy.



Nabój 7,62 x 39 mm wz. 43.

Fot. Malis, commons.wikimedia.org



Uzbrojenie



Ktoś złośliwy mógłby uznać, że w ZSRS nie obowiązywała zasada - sukces ma wielu ojców a porażka jedną matkę - tylko inna - matka sukcesu jest tylko jedna - to Kraj Rad, a porażka ma wielu ojców - podstępnych wrogów systemu. Przy lekturze książki Chiversa można odnieść nieodparte wrażenie, że jej autor jest przekonany, że gdyby amerykańscy decydenci wybrali przy wyborze podstawowego karabinu automatycznego dla swojej armii model konkursowy, jak w ZSRS to nie zostaliby o dekadę w tyle za zimnowojennymi przeciwnikiem. W jego opinii - pozornie tylko i zdominowana przez lobbystów wolnorynkowa rywalizacja sparaliżowała proces standaryzacji uzbrojenia i doprowadziła w pewnym momencie do równoległego przyjęcia na uzbrojenie dwóch karabinów - M14 i AR-15/M16. Dopiero wojna w Wietnamie w pełni wykazała śmiertelność skuteczność niezawodnej i łatwej w obsłudze nawet dla analfabety broni jaką był AK. Michaił Timotiejewicz Kałasznikow nie miał co do tego żadnych wątpliwości - „Kiedy byłem młody przeczytałem gdzieś takie zdanie: *Bóg Wszechmogący powiedział Niepotrzebne jest wszystko, co zbyt skomplikowane, potrzebne jest coś prostego.* No i od tamtej pory stało się to moją dewizą życiową - projektowałem broń, aby chronić mój kraj, ale tak, by była ona prosta i niezawodna.” Można tylko dodać, że nie tylko broniła kraju, ale była wszędzie tam, gdzie ZSRS chciał rozszerzać strefę swoich wpływów.

Kałasz - produkt pierwszej potrzeby

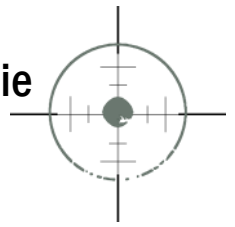
Pośpieszne uzbrojenie amerykańskich żołnierzy w M16 zakończyło się spektakularną porażką konkurenta AK, który okazała się karabinem wyjątkowo podatnym na zacięcia i usterki w warunkach polowych. Chivers doskonale zdaje sobie sprawę, że wrażliwość karabinu opracowanego przez Eugena Stonera nie wynikała z niedoskonałości konstrukcyjnych, ale była związana z amunicją, a konkretnie z prochem o parametrach nie spełniających wymagań nowej broni i zamieniającego pozostawione w lufie i innych mechanizmach osady w twarde jak beton oraz z innego o wiele bardzo prozaicznego powodu - amerykańskich chłopców najzwyczajniej w świecie nie wyposażono... w przybory do jej czyszczenia. Tak wielka była wiara w niezawodność konstrukcji M16.

Kałasznikow, to przede wszystkim wciągająca i napisana z pazurem, jak na amerykańską szkołę reportażu przystało, książka dziennikarza zafascynowanego fenomenem karabinu AK uważnie śledzącego jego światową karierę - począwszy od stłumienia robotniczych protestów przeciwko rządowemu planowi zwiększenia wydajności pracy o 10 proc. w 1953 roku w Berlinie, przez Powstanie Węgierskie w Budapeszcie w 1956 roku, masakrę izraelskich sportowców po akcji palestyńskich terrorystów Czarnego Września w Monachium w 1972 roku, po ostatnie operacje wojskowe w Afganistanie czy w Iraku.

Od czasu powstania AK i jego eksportu nie było chyba żadnego konfliktu na świecie podczas którego nie strzelano z karabinu Kałasznikowa. Ale to przede wszystkim pasjonująca, solidnie udokumentowana po-



Niemiecki żołnierz z karabinem StG44 wyposażonym w lunetę. Potoczne opinie oceniają karabin AK jako kopię lub modyfikację niemieckiego StG44. W rzeczywistości poza powierzchownym podobieństwem konstrukcji zastosowane w nich rozwiązania techniczne są odmiennie. Fot. Bundesarchiv.



Kałas – produkt pierwszej potrzeby

pularnonaukowa literatura faktu. Gdyby użyć klasyfikacji filmowej Chivers stworzył z rozmachem epicki dramat biograficzny - historyczny z elementami trzymającego w napięciu kina akcji. Na pewno taka opowieść i jej szeroki zakres nie przypadnie do gustu autorom publikacji fachowych, dla których każdy najdrobniejszy nawet błąd (najczęściej tłumacza) w terminologii związanej z działaniem broni, jej podzespołami czy elementami konstrukcyjnymi wywoła co najmniej pobłażliwe wzruszenie ramion. Ale braki zauważalne w tej publikacji w tym względzie, takie jak na przykład bardzo niewielka liczba i to w dodatku czarno białych zdjęć, w tym tylko jedno z rozłożonym częściowo karabinem AK oraz rysunków z dokumentacji technicznej może zirytować pasjonata, ale może być z drugiej strony jej zaletą i nie odstraszyć od razu zagorzałego wroga broni.

Wydaje się, że Chiversowi udało się napisać książkę dla każdego czytelnika zainteresowanego przełomowymi momentami w historii, zwłaszcza ciekawego konfliktów zbrojnych od czasów wprowadzenia na uzbrojenie armii szybkostrzelnej broni maszynowej. Oprócz Kałasznikowa – w równym stopniu karabinu jak i jego konstruktora, bohaterami książki są także trzej inni nie mniej wybitni konstruktorzy broni – twórca Ar-15/M16 Eugene Stoner oraz Richard Gattling i Hiram Maxim – prekursorzy, jak zatytułował autor jeden z rozdziałów swojej książki – „rzezi na skalę przemysłową”.

W 1861 Gattling zaprojektowała swoją wielolufową kartaczożnicę umieszczoną na platformie z kołami jak

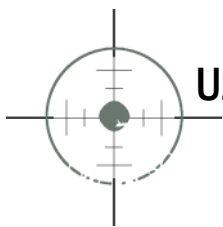
na lawecie armaty, która zdecydowanie zwiększała szybkostrzelność, a tym samym siłę ognia. Podobnie jak Kałasznikow do realizacji tego ambitnego projektu potrzebował odpowiedniej amunicji. Wykorzystał nabój zespolony z łuską i opracował nowatorski system odpalania ładunków z poszczególnych luf obracanych ręcznie korbą. Dzięki temu kartaczożnica osiągała szybkostrzelność teoretyczną wynoszącą około 1200 strzałów na minutę, a praktyczną do 200 strz./min. Nie była to jednak broń w pełni automatyczna, jak zasilane taśmowo ciężkie karabiny maszynowe Hiram Maxima – żniwiarze śmierci I wojny światowej i innych makabrycznych rzezi.

Jednak świat nie zapomniał o jego wynalazku. Najpotężniejsze działko lotnicze samolotu szturmowego Fairchild A-10 Thunderbolt II systemu Gattlinga GAU-8/A Avenger kalibru 30 mm i jego siedem luf wystrzeliwuje 4200 pocisków przeciwpancernych z rdzeniem ze zubożonego uranu na minutę, które umożliwiają zniszczenie każdego czołgu, a sześciolufowy M61 Vulcan kalibru 20 mm zainstalowany na przykład na naszych F-16 osiąga szybkostrzelność 6000 tysięcy strzałów na minutę.

Gattling przekonywał, że skonstruował broń, która zastąpi 100 ludzi, po to by 99 zostało w domach. Podobnie tłumaczył się Kałasznikow – „Stworzyłem karabin do obrony ojczyzny. A potem moja broń została sprzedana na cały świat- nie przez to, że ja chciałem. Nie chciałem tego. To tak jak dzinn, który uciekł z lampy i robi coś, czego ja nie chcę. (...) Kiedy widzę w telewizji bin Laden



Karabinek AK wyposażony w noktowizor i lekki składany dwójnóg. Fot. commons.wikimedia.org



z moją bronią, jestem oczywiście oburzony. Ale co ja mogę na to poradzić? W końcu terroryści nie są głupi. Oni także wybrali najbardziej niezawodną broń. Jestem dumny z mojego wynalazku, ale jest mi przykro, że używają go też terroryści. Szkoda, że nie wymyśliłem czegoś, co by się przydało ludziom i co pomoże rolnikom w pracy. Na przykład kosiarkę spalinową.”

Zapewne Kałasznikow doskonale dogadałby się z Rajmundem Szwonderem, byłym senatorem, w PRL inżynierem, a potem wicedyrektorem Zakładów Mechanicznych „Łucznik”, który w czasach, gdy w krajach bloku wschodniego AK produkowano masowo pod „przykrywką” jak na przykład w NRD w fabryce rowerów – zwykł mawiać – „My w Radomiu robimy coś do szycia to znaczy maszyny Łucznik i coś do prucia czyli Kałasze”.

Książkę Chiversa z zainteresowaniem mogą przeczytać, jeśli się odważą oczywiście nawet wojujący pacyfiści. Znajdą w niej drastyczne opisy testów sprawdzających, jakie obrażenia powodują pociski karabinowe przeszływające amputowane ludzkie kończyny, głowy, czaszki wypełnione żelazem o konsystencji tkanki mózgowej, jak też żywe kozy czy krowy. Niektóre wnioski powstałe po tych eksperymentach wydają wręcz kuriozalne. Amerykańscy eksperci, po strzeleniu do ludzkich czaszek uznali, że AR-15/M16 jest karabinem bardziej śmiertelnośnym od M14 i AK. Chivers zastanawia się na podstawie, jakiego kryterium doszli do takich konkluzji, skoro wszystkie czaszki po trafieniu z każdego z tych karabinów rozlatywały się na kawałki, czy jak to odnotowano w raportach - eksplodowały. Autor sugeruje jedyną chyba sensowną odpowiedź – możliwe, że przesądziła o tym liczba fragmentów, na które rozpadła się czaszka i zaraz potem dopytuje - czy może na być mniej lub bardziej martwym?

Historia broni i konstruktorów broni to także opowieść o przemocy, okrucieństwie i śmierci. Julius Robert Oppenheimer po pierwszej eksplozji bomby atomowej w Los Alamos powiedział – „Stałem się śmiercią; niszczycielem światów. (...) Mam krew na rękach”. Chivers wydaje się autorem wrażliwym i otwartym na etyczno-moralne dylematy, z którymi muszą się zmierzyć albo je zignorować wszyscy, którzy są zmuszeni do użycia broni w obronie wartości dla nich bezcennych i ci, którzy chcą je siłą narzucić innym. Autor nie przypadkowo chyba cytuje hasło Chalila al – Wazira – dowódcy wojskowego Al – Fatah: „Kałasznikow będzie naszym jedynym językiem, aż wyzwolimy całą Palestynę”. Terroryści niektórych palestyńskich organizacji, takich jak na przykład Brygada Mę-

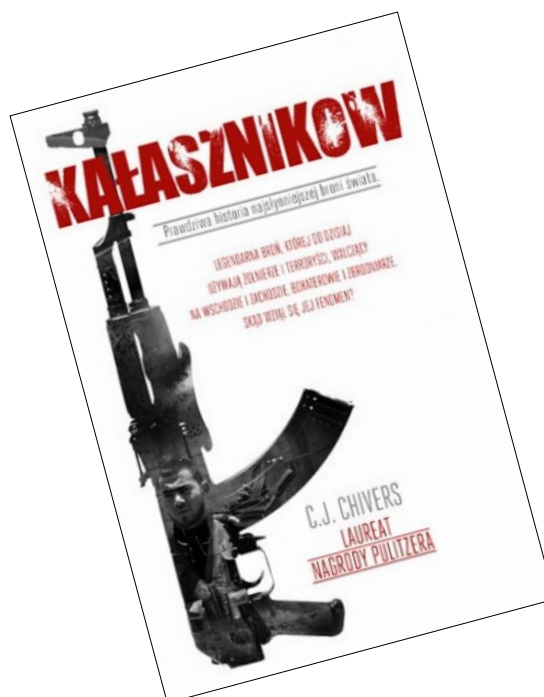
Kałas – produkt pierwszej potrzeby

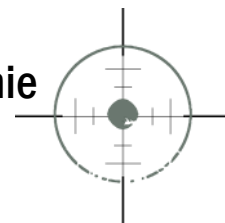
czenników Al-Aksa chętniej pozują do fotografii z karabinami M14 sugerując, że zdobyli je w walce podczas, gdy mogą być one co najwyżej, jak przynajmniej utrzymują tak zwani bojownicy – symbolem korupcji żołnierzy Sił Obronnych Izraela, którzy im je sprzedali.

Oryginalny tytuł książki Chiversa to „The Gun”. Gdyby została wydana pod pisany wielkimi literami tytułem „The Book” większość wyznawców jednej z trzech wielkich religii pomyślałaby od razu o Księdze ich wiary. Jedna z anegdot głosi, że gdy malarz Jan Styka modlił się żarliwie o łaskę talentu, twórczej weny i duchowego natchnienia, które pozwolą mu stworzyć obraz Zbawiciela, w całej pełni jego chwały ukazał mu się Jezus Chrystus i udzieli mu ojcowskiej rady – „Ty mnie nie maluj na kolanach tylko maluj mnie dobrze”. Jestem święcie przekonany, że Chivers z całą pewnością nie pisał swojej książki klęcząc przed obrazem Michaiła Timofiejewicza Kałasznikowa ani przed jego legendarnym awtomatem, ale starał się, może i z ukrywanym podziwem oraz starannie wyważoną dawką politycznej poprawnością napisać ją najrzetelniej i najlepiej jak tylko potrafił 🇺🇸

C.J. Chivers, Kałasznikow.

Prawdziwa historia najszynniejszej broni świata, wyd. Znak Litera Nova, Kraków 2015, ss. 575.





TOBIASZ MAŁYSA

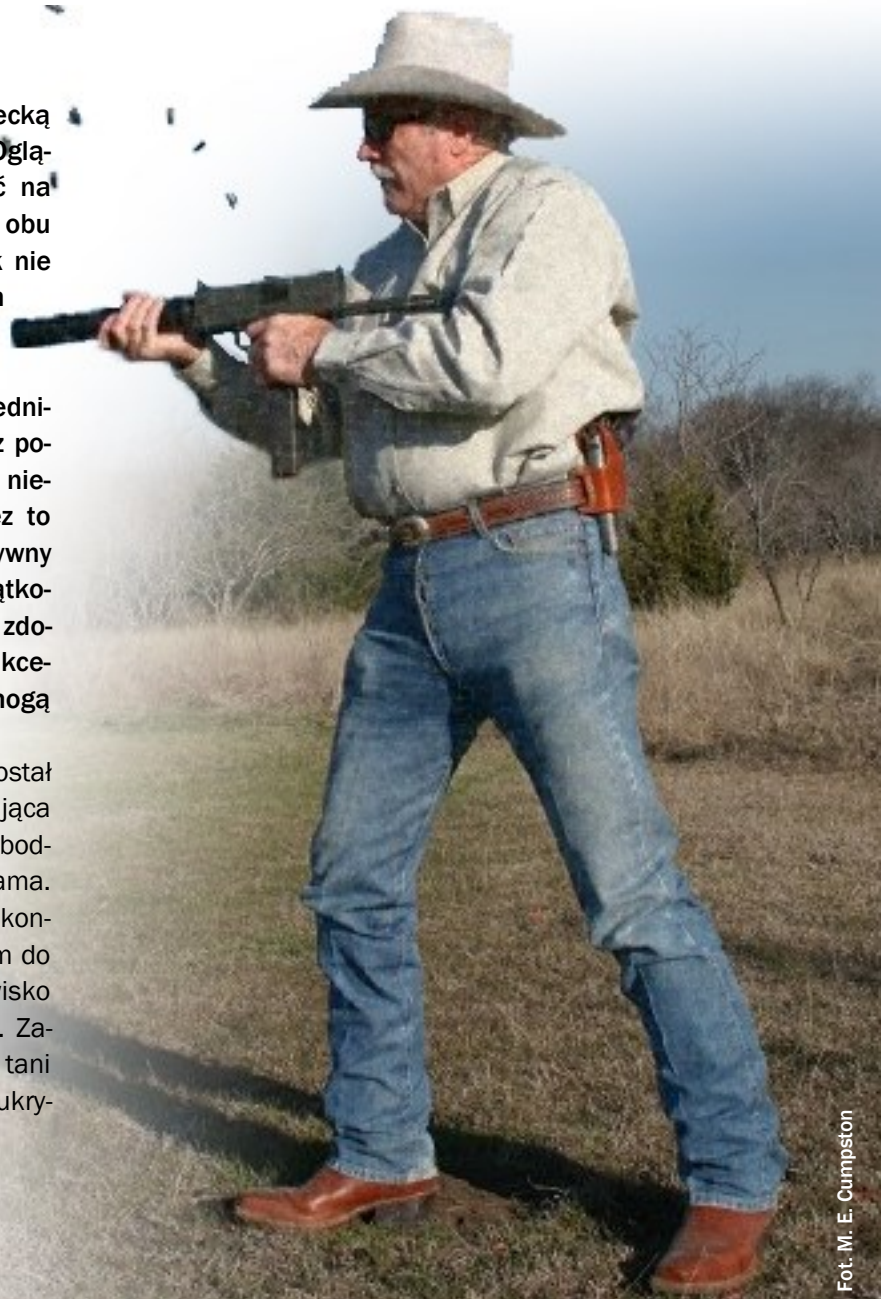
Pistolet maszynowy Ingram M10 (MAC-10)

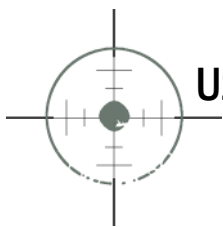


**– kompaktowa broń
do zadań specjalnych?**

Ingram M10 jest indywidualną bronią strzelecką należącą do rodziny pistoletów maszynowych. Oglądany po raz pierwszy w życiu może przywieść na myśl izraelskie Uzi. Faktycznie ogólne układy obu broni są do siebie podobne, MAC-10 to jednak nie Uzi. Zaprojektowany w Stanach Zjednoczonych i w kilkanaście lat później od niego również strzela amunicją 9 mm Parabellum (istnieje odmiana .45 ACP). Lecz od izraelskiego odpowiednika odróżniają go mniejsze rozmiary i waga oraz potworna szybkostrzelność. Co za tymi ostatnimi niestety idzie niejako w parze, broń cechuje przez to pogorszona precyzyjność i zmniejszony efektywny zasięg. Choć w swojej klasie jest to broń wyjątkowa a zarazem niezawodna i ogólnie udana, nie zdobyła ona ostatecznie trwałej popularności ani sukcesu. Niemniej, jej losy po bliższym poznaniu mogą okazać się ciekawe.

Pistolet maszynowy MAC-10 opracowany został jako broń samoczynno-samopowtarzalna, strzelająca z zamka otwartego w oparciu o zasadę jego swobodnego odrzutu w 1964 r. przez Gordona B. Ingrama. Twórca broni, Gordon Ingram (1924-2004), jako konstruktor porównywany był czasem swoim talentem do Michaiła Kałasznikowa, choć jego nazwisko i konstrukcje nie zrobiły tak porywającej kariery. Zaprojektowany przez niego Ingram M10 miał być tani w produkcji, kompaktowych rozmiarów, łatwy do ukry-





Uzbrojenie

cia, niezawodny w obsłudze, możliwy do stosowania z tłumikiem i niezwykle szybkostrzelny. Była to jedna z pierwszych (po UZI) broni wykorzystujących nowatorskie teleskopowe nabieganie zamka na lufę, co pozwalało budować mniejsze, krótsze i lżejsze pistolety maszynowe. Ten, o charakterystycznym prostokątnym kształcie, obudowany wytłoczką z blachy stalowej, mieści w sobie magazynek umieszczony w chwycie pistoletowym o pojemności 30-32 nabojów (zależnie od rodzaju amunicji), lufę długości 146 mm i rozkładaną małą kolbę. Masa „pudełka” to 2.84 kg bez magazynka i tłumika, a wymiary to 280 mm ze złożoną kolbą lub 533 mm z rozłożoną. Przełącznik trybu strzału pozwala na prowadzenie ognia ciągłego lub pojedynczego. Szybkostrzelność teoretyczna broni wynosi od 1090 strz./min. dla amunicji 9 mm (9 × 19 mm Parabellum), aż do 1145 strz./min. przy stosowaniu nabojów kalibru .45 ACP (11,43 × 23 mm). Umożliwiało to opróżnianie całego magazynka w półtorej sekundy. Pistoletem identycznej konstrukcji, ale mniejszych wymiarów i wagi był Ingram M11 (MAC-11) na nabój 9 × 17 mm Short (czyli .380acp), a celem sprzedaży tej odmiany była próba zainteresowania nią policji i służb bezpieczeństwa wewnętrznego, używających często tego kalibru.

Pistolet maszynowy Ingram M10 (MAC-10)

Zastosowany w broni otwarty zamek nie dość że obniża celność, to zbiera piasek, kurz, i wszystkie możliwe zanieczyszczenia do komory naboju, chociaż broń była łatwa w czyszczeniu i konserwacji. Wystrzeliana seria jest dwukrotnie szybsza niż np. w UZI, lecz precyzja pocisków pozostaje mocno niekontrolowana. Dokładność pogarsza niewielka masa. Przyrządy celownicze składają się z muszki i stałego celownika przeziernikowego ustawionego na 100 m, wprawdzie efektywny zasięg oceniany jest na mniej niż 50 metrów. Złośliwe opinie na temat precyzji nazywały go pistoletem „budki telefonicznej” – żeby trafić nim w taki cel, trzeba najpierw do niej wejść. Zwykle z Ingrama strzela się bowiem trzymając broń z kolbą przycisniętą do biodra i korygując automatyczny ogień poprzez obserwację toru padania pocisków, których z magazynka szybko ubywa. W trakcie prowadzenia ognia MAC-a trzyma się drugą ręką przy pomocy... rzemienia z nylonu lub skóry, który umocowany jest w przedniej części jego komory zamkowej. Dodanie tłumika nakręcanego na wylot lufy poprawia chwyt i przy ograniczeniu długości serii pozwala strzelać dokładniej, ale broń zwiększa wtedy wymiary oraz masę. Tłumik (waga – 0.5 kg) ponadto nagrzewa się bardzo mocno, co powoduje konieczność okręcania go np. *nomexem*^[1]. Jak każdy i ten w MAC10 daje jednak strzelcowi możliwość skuteczniejszego skrytego zadziałania z zaskoczenia (nie wyciszając MAC-a całkowicie), lecz w wytłumionym Ingramie pociski opuszczają lufę bez znacznej straty prędkości i mocy^[2].



Tobiasz Malysa, absolwent kierunku Bezpieczeństwo Wewnętrzne w Wyższej Szkole Informatyki i Zarządzania w Rzeszowie. Słuchacz studiów II stopnia na kierunku Bezpieczeństwo Wewnętrzne na Uniwersytecie Pedagogicznym w Krakowie. Jego zainteresowania koncentrują się wokół historii (szczególnie starożytności), politologii oraz wydarzeń najnowszych.



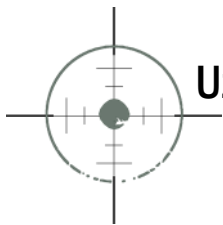
MAC-10 na amunicję .45 ACP. Fot. D. Gromer, <https://www.flickr.com/photos/dagnyromer/3624749539/>



Różne warianty amunicji .45 ACP (po lewej) i 9mm Parabellum (powyżej).

„Pudełkowatość” i prostota broni przekładała się na koszty jej wytwarzania które były stosunkowo niskie. Po fazie testów Ingram MAC-10 wszedł do seryjnej produkcji w 1970 r. Wśród użytkowników oprócz USA znalazły się takie państwa jak m. in. Arabia Saudyjska, Boliwia, Chile, Filipiny, Grecja, Hiszpania, Izrael, Kolumbia, Polska, Republika Dominikany, Wenezuela czy Wielka Brytania^[3], oraz niektóre kraje Południowej Afryki. W latach 70' XX w. MAC-10 miał szeroko być wykorzystywany do operacji specjalnych. Odmiana z tłumikiem znalazła swoje zastosowanie (eksperymentalne) przez siły specjalne amerykańskiej marynarki w Wietnamie do zadań zwiadowczych i organizowania zasadzek^[4], użyto jej też przez oddziały Izraelskie w operacji Entebbe^[5] w 1976 r. Po broń sięgnęło też początkowo SAS, lecz straciła ona swoje miejsce w jednostce na rzecz MP5, jako precyzyjniejszej do operacji antyterrorystycznych^[6]. Ekspresowa a niekontrolowana seria z Ingrama stwarzała bowiem zbyt duże ryzyko zranienia osób postronnych, np. zakładników. Ta szybkostrzelność podobnie bywała oceniana jako wada gdy pistolet trafiał jako uzbrojenie obrony indywidualnej dla niedoświadczonych strzelców, którzy nie byli w stanie precyzyjnie spożytkować tak szybkiej siły ognia^[7]. „Prostota w najczystszej postaci” oferowana przez broń nie była w stanie zadowolić wszystkich, a nie będąc uniwersalnym pistoletem maszynowym z wysiłkiem poszukiwała swojej niszy.

W popkulturze MAC-10 stał się mocniej znany w latach 80' w czasie tzw. wojen narkotykowych w Miami^[8], także za sprawą produkcji kinowych i telewizyjnych (np. Miami Vice). Wcześniej Ingrama rozślawiał John Wayne w filmie McQ (1974 r.). Okresową popularność tej broni w można porównać do „Tommy gun'a” czyli słynnego w czasach prohibicji w USA pistoletu maszynowego Thompsona. O ile ten ostatni sprzedał się w ponad milionie sztuk, to w zakresie rynkowych sukcesów MAC-10 nie podążył jego ścieżkami. Z biegiem czasu broń popadła nawet w zapomnienie. Co prawda jej początkowe użycie było stosunkowo szerokie, to w ślad za tym nie przysły znaczące kontrakty zamówieniowe. Broń promowana jako pistolet maszynowy do policyjnych działań antyterrorystycznych lub wojskowych zadań specjalnych przez niską celność poddawała swoje zastosowanie w wątpliwość. Przeszkodą w sprzedaży stały się ponadto ograniczenia narzucone w USA na zagraniczny eksport broni z tłumikiem, a to właśnie wersja w niego wyposażona posiadała większy potencjał



sprzedaży. Lata 70-80 były okresem rosnącego terroryzmu i przestępczości międzynarodowej, co nie ułatwiało eksportu automatycznej broni do różnych państw ostrożnie przyglądającym się jej rozprowadzaniu. Jakkolwiek MAC-10 nie miał bezpośrednio konkurować z UZI (i tak był z nim notorycznie mylony przez media), od którego był mniejszy wagą i rozmiarami, a dwukrotnie przewyższał je szybkostrzelnością, to broni odebrało klientów pojawienie się na rynku podobnych szybkostrzelnością do MAC-a konstrukcji^[9] jak Mini czy MicroUzi w latach 80', czy też klonów UZI innych producentów, jak m. in. Steyr TMP czy Z-84.

Różne okoliczności spowodowały, że MAC-10 produkowany był z przerwami – najpierw do 1973 r. przez *Military Armament Company* (MAC – stąd skrócona nazwa broni), lecz w firmie pojawiły się problemy z płynnością finansową. Po jej bankructwie już jako model półautomatyczny wytwarzany był w latach 1979-1982 przez *RPB Industries*, ale producent popadł w spory prawne z amerykańskim BATF (*Bureau of Alcohol, Tobacco and Firearms* – Biuro ds. Alkoholu, Tytoniu i Broni Palnej), która chciała zaklasyfikować konstrukcję jako karabin maszynowy. Powodem dla uznania jej za taki miała być ułatwiona konwersja mechanizmu na automatyczny, co wiązałoby się z koniecznością rejestracji broni przez indywidualnych klientów i nałożeniem kosztownego podatku.

MAC-10 oferowany był z różnym stopniem powodzenia przez innych producentów (np. przez *SWD* w latach 1986-1994), także jako klony i przeróbki często przypominające bardziej karabiny automatyczne niż pistolety maszynowe (np. *RPB Cobray M-11* z drewnianą kolbą wydłużoną lufą^[10], albo *Cobra carbine* produkowany w Rodezji, gdzie użyto go w wojnie rodezyjskiej). Ingrama przerabiano na inne rodzaje amunicji (.380 ACP jako M12, czy .22LR jako Max-11), produkowano też oryginalny wzór na zagranicznej licencji w Peru. Często były to egzemplarze o słabszej jakości i gorszej reputacji niż te wyprodukowane w latach 70'^[11].

W 1994 r. MAC-10 w USA ostatecznie znalazł się pod restrykcjami uchwalonego *Federal Assault Weapons Ban* (AWB), co dostęp do niego dla cywili niemal uniemożliwiło. Tymi wszystkimi zrzędzeniami losu konstrukcja Ingrama nie doczekała się oszałamiających sukcesów rynkowych ani w policji, w wojsku i wśród nabywców prywatnych. Produkcja zakończyła

Pistolet maszynowy Ingram M10 (MAC-10)



MAC-11, wariant na amunicję 9 × 17 mm Short (.380acp).

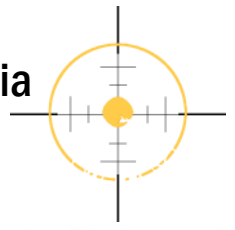
się na około 10 000 sztukach^[12], co można uznać za i tak wynik przyzwoity. Wariacje oparte na podstawowych wzorach (M10/M11) wytwarzane są do tej pory.

Ogółem, MAC-10 stanowi sobą istotny rozdział w historii rozwoju kompaktowej broni maszynowej. Pomimo charakterystycznych a nie do końca może pożądanym cech ocenia się go jako konstrukcję solidną i w miarę udaną w swojej klasie, o dość ograniczonych i specyficznych wprawdzie zastosowaniach.

 **Tobiasz Małyś**

Przypisy:

- [1] *Nomex* - polimer stosowany jako warstwa ochronna przed wysokimi temperaturami.
- [2] S. Writer, Ingram MAC-10 (M10) Submachine Gun (1970), militaryfactory.com [http://www.militaryfactory.com/smallarms/detail.asp?smallarms_id=86]
- [3] Ibidem.
- [4] Ibidem.
- [5] J. Lewis, Assault Weapons, Gun Digest Books 2011, s. 37., jak również: J. Walter, Guns Of The Elite Forces, Londyn 2005, s. 206.
- [6] L. Thompson, The MP5 Submachine Gun, Osprey Publishing, Oxford 2014, s. 51.
- [7] C. Taylor, MAC 10 SMG: The World's Best Submachinegun? Soldier of Fortune, May/78, s. 46-47.
- [8] J. Walter, Guns Of The Elite Forces... op cit., s. 79.
- [9] C. McNab, The Uzi Submachine Gun, Osprey Publishing, Oxford 2011, s. 71.
- [10] D. Shideler, Gun Digest 2012, Gun Digest Books 2011, s. 54.
- [11] W. D. Ehringer, A MAC History Lesson, firearmsid.com. [http://www.firearmsid.com/feature%20articles/012001/mac10history.htm]
- [12] C. McNab, The Uzi Submachin... op. cit., s. 71.



Zawody w strzelaniu specjalnym



W pierwszych dniach lipca, z okazji święta Wojsk Specjalnych na strzelnicy Pasternik w Krakowie odbyły się kolejne zawody w strzelaniu specjalnym pod nazwą SOF DELTA CUP 2015. Była to już druga edycja zawodów (pierwsza odbyła się w ubiegłym roku) i chyba można spodziewać się, że taki sposób świętowania, w czysto wojskowy sposób, przy zachowaniu pewnych elementów rywalizacji sportowej wejdzie już na stałe do kalendarza „specjalsów”.

Organizatorom, czyli Centrum Operacji Specjalnych – Dowództwu Komponentu Wojsk Specjalnych udało się połączyć rzeczy, które w nowej rzeczywistości dotąd nie łączono – elementy rywalizacji sportowej i szkolenie ogniowe wojsk specjalnych. To ostatnie jest na tyle specyficzne, że właśnie kierując się dążeniem osiągnięcia jak najwyższego poziomu posługiwania się bronią indywidualną, świadomie wyeliminowano jakiegokolwiek elementy nie tyle rywalizacji, lecz nawet klasyfikacji. Powód był prozaiczny. Rywalizacja o charakterze sportowym i taktyka działań specjalnych rządzą się swoimi odrębnymi zasadami, które w większości elementów składowych są z gruntu rozbieżne, a nawet przeszkadzają sobie na tyle, by być szkodliwe. To właśnie dlatego w szkoleniu żołnierzy wojsk specjalnych zrezygnowano np. z wystawiania ocen wg typowej skali, pokazujących osiągnięte rezultaty, ograniczając się (wzorem żołnierzy amerykańskich i brytyjskich) do stosowania zaledwie dwóch kategorii – „zaliczono” i „niezaliczono”.



Do udziału w zawodach, oprócz żołnierzy jednostek specjalnych Wojska Polskiego, zaproszono także reprezentacje różnych formacji i agend rządowych, jednocześnie zamykając zawody przed organizacjami cywilnymi. Taka decyzja z pewnością wywołała ich niezadowolenie, jednak należy pamiętać, że główne powody są dwa. Po pierwsze wizerunek osób biorących udział w imprezie nie może zostać upubliczniony. A drugi powód jest następujący: w działaniach specjalnych prowadzenie ognia jest ograniczane do minimum. W wielu rodzajach operacji stara się tego uniknąć. Jednak, by być przygotowanym na najtrudniejszy przebieg planowanej operacji, należy umiejętność prowadzenia celnego ognia (indywidualnie i zespołowo) osiągnąć na możliwie najwyższym poziomie. Ale nie jest to, nie może być i nigdy nie będzie poziom sportowy, bowiem w takich zawodach trudno jest zmienić wytrenowane od lat nawyki i dla potrzeb chwili „zapomnieć” o wielu zasadach taktyki, które




w działaniach bojowych pozwalają osiągnąć powodzenie, lecz w chwilach rywalizacji sportowej są ewidentną przeszkodą.

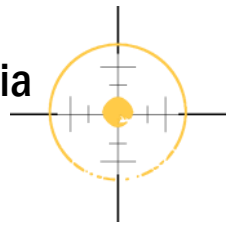
Warto w tym miejscu nadmienić, że w małym i zamkniętym środowisku żołnierzy i funkcjonariuszy działań specjalnych taka „sportowa adrenalina” wynikająca z rywalizacji pozwala na oderwanie się od codziennego, żmudnego i monotonnego szkolenia lub działań bojowych, których przecież nie brakuje.

W zawodach SOF DELTA CUP 2015 spotkali się reprezentanci jednostek specjalnych Wojska Polskiego - AGAT i NIL, Jednostki Wojskowej Komandosów z Lublińca, Straży Granicznej z Lubania Śląskiego, Centralnego Biura

Śledczego Policji, Samodzielnych Pododdziałów Antyterrorystycznych Policji z Komend Wojewódzkich w Katowicach i w Krakowie, Sekcji Antyterrorystycznej Policji z Lublina, Wydziału Realizacji Wywiadu Skarbowego Ministerstwa Finansów i Fundacji SZTURMAN. Razem w zawodach wzięło udział 17 reprezentacji w rywalizacji zespołowej oraz 35 osób w rywalizacji indywidualnej. W tym roku zwyciężyli policjanci antyterrorystyci z Katowic (drużynowo i indywidualnie), a trzecie miejsca w obu klasyfikacjach przypadło funkcjonariuszom z Wydziału Realizacji Wywiadu Skarbowego Ministerstwa Finansów.

 **Obecny**





TOBIE OJCZYŻNO!

Trzeci piknik rodzinny dedykowany pamięci

generała Sławomira Petelickiego

Te dwa tytułowe słowa zawierają w sobie miłość i poświęcenie dla Ojczyzny. Warto je przypominać Polakom, gdy dożyliśmy czasów, gdzie niektórzy politycy lewicy nawet nie znają daty wybuchu Powstania Warszawskiego...

Tobie Ojczyżno! To zawołanie bohaterskich żołnierzy - Cichociemnych Spadochroniarzy Armii Krajowej. To oni podczas drugiej wojny światowej wykonali skoki na spadochronach do okupowanej przez Niemców i Sowietów Polski. Od 20 lat ich tradycje dziedziczy Wojskowa Jednostka Specjalna GROM. Festyn *Tobie Ojczyżno* już po raz trzeci odbył się w Warszawie. Zorganizowało go Stowarzyszenie im. gen. Sławomira Petelickiego, którego wiceprezesem jest żona generała, Pani Agnieszka Petelicka. Pomysłodawczyni, tego pikniku patriotycznego, chce w ten sposób oddać hołd swemu mężowi - twórcy i dwukrotnemu dowódcy GROM-u.

19 czerwca, jest datą nie przypadkową. To właśnie w tym dniu jej mąż obchodził jubileusz powstania Jednostki Specjalnej Grom. Prawdziwa data jest powstania wypadu bowiem 13 lipca, czyli podczas wakacji. Od tego roku, GROM będzie miał już 25 lat.

Festyn *Tobie Ojczyżno* rozpoczęły efektowne skoki

spadochronowe żołnierzy GROM-u i policjantów z Biura Operacji Antyterrorystycznych KGP. Na błękitnym niebie nagle pojawiły się postaci, które miały powiewające olbrzymie flagi z emblematami GROM i Cichociemnych. Komandoski zaskoczyli wszystkich, bo lądowali kolejno wśród zgromadzonych ludzi. Dodatkowa atrakcją był dynamiczny pokaz Oddziału Specjalnego Żandarmerii Wojskowej. Krótki pościg, huk i strzały oraz szybkie zatrzymanie groźnego bandyty. Wojskowi pirotechnicy sprawnie zajęli się neutralizacją plecaka, co do którego było podejrzenie, że jest w nim bomba.

Prawdziwym wydarzeniem pikniku były pokazy grupy Kamui - czyli japońskiej grupy kaskaderskiej, której lider przygotowuje układy choreograficzne walk mieczami do filmów o samurajach. Zatrudnił ich nawet do scen kaskaderskich Quentin Tarantino przy filmie pt. *Kill Bill*. Można powiedzieć, że to właśnie Japończycy zawładnęli sceną i emocjami zgromadzonych na pikniku gości. Trudno było oderwać oczy od samurajskich mieczy trzymany przez japońskie kaskaderki walczące na śmierć i życie z samurajami.

Na rozstawionych billboardach można było podziwiać zdjęcia nadawane na żywo ze szpiegowskiego samolotu,



Fot. Michał Wajnchold / fotoaktywni.art.pl

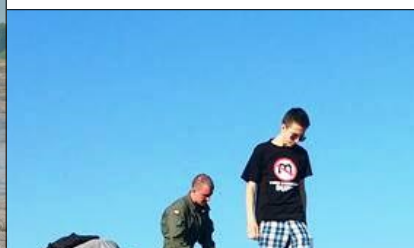
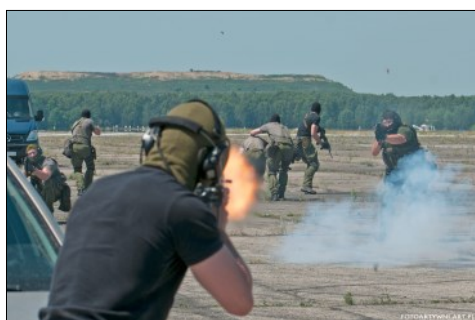
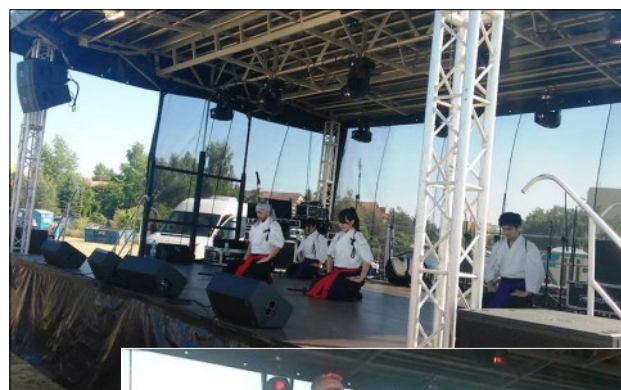
który szybował nad lotniskiem. Wszystkich zaskoczyły zbliżenia na zegar z wieży Pałacu Kultury i Nauki - oddalonego o kilkanaście kilometrów. Młode dziewczyny były zaskoczone otwartością komandosów z Wojsk Specjalnych: GROM, Wojskowej Jednostki Wojskowej, Agatu, Nilu i Formozy, którzy chętnie i z wielką cierpliwością starli się pokazać wszystkim swój przywieziony i wystawiony specjalistyczny sprzęt. Robot do rozbrajania ładunków wybuchowych także wzbudzał sensację wśród pań. Jeden z nich dogonił i wręczył polny kwiatek przechodzącej obok kobiecie. W tym czasie jej narzeczony właśnie zakończył bieg z karabinem Beryl ubrany w taktyczną kamizelkę kuloodporną. Prawdopodobnie nie miał już siły odpowiednio zareagować...

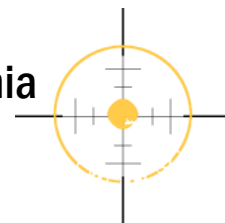
Mężczyźni oblegali najchętniej czołg Leopard wdrapując się na niego i robiąc zdjęcia w stylu prawdziwych macho. Trzydziestosiedmiostopniowy upał został choć na chwilę opanowany przez strażaków z Ochotniczej Straży Pożarnej. Wykorzystując swoje armatki wodne za instalowane na wozach strażackich, stworzyli oni kurtynę wodną, która przyniosła wiele radości i prawdziwą ulgę konkretnie oblanym ludziom. Ci, którym ten zimny prysznic nie wystarczał mogli wskoczyć do basenu wykorzystu-

jąc strój do nurkowania. Na festynie *Tobie Ojczyzno* - nie zabrakło też grup rekonstrukcyjnych, które zabawiły najmłodszych grami sprawnościowymi.

Drugiego dnia tego prawdziwie rodzinnego pikniku, na scenie królował zespół *Żuki* i wcześniej nie zapowiadany zespół *Piersi*. Zrealizowane tego dnia pokazy Wydziału Realizacyjnego Komendy Stołecznej Policji, oraz Biura Ochrony Rządu to były prawdziwe wisienki na torcie festynu. Policjanci pokazali jak się w Polsce zatrzymuje groźnych mafiosów, a funkcjonariusze BOR jak mogą się zachować, gdy dojdzie do zamachu na ochranianego przez nich VIP-a.

 **Krzysztof Boruta**





Stowarzyszenie Studenci dla Rzeczypospolitej



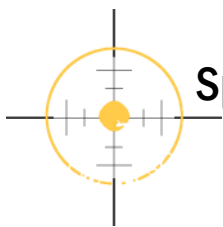
Każdy ma jakąś pasję – naszą jest Polska!

Stowarzyszenie Studenci dla Rzeczypospolitej to organizacja zrzeszająca studentów z największych polskich uczelni. Istniejąc od 2010 r. staliśmy się rozpoznawalnym głosem w debacie nad przyszłością młodego pokolenia. Chcemy, by Nasze pokolenie stało się napędem zmian, których celem będzie stworzenie Rzeczypospolitej naszych marzeń. Kraju dla odważnych młodych ludzi pragnących działać. Zależy nam na przekazaniu naszym rówieśnikom wartości patriotycznych i obywatelskich. Chcemy, by każdy z nas, Polaków, był odpowiedzialnym obywatelem. Chcemy by młode pokolenie Polaków było w pełni świadomymi obywatelami naszego kraju. By osiągnąć ten cel Stowarzyszenie promuje zainteresowanie polityką, historią, zagadnieniami społecznymi i ekonomicznymi.

W ciągu pięciu lat działalności zorganizowaliśmy szereg wydarzeń, które na stałe weszły do kalendarza naszych miast. Najbardziej rozpoznawalną z naszych akcji jest z pewnością akcja „Namioty Wyklętych”. Jest to nasza autorska forma włączenia się w obchody Narodowego Dnia Pamięci „Żołnierzy Wyklętych”. W ramach tego wydarzenia stawiamy sobie za cel zapoznanie jak

największej części mieszkańców naszych miast z biogramami Żołnierzy Wyklętych, jednych z największych bohaterów naszej historii. Chcemy, żeby właśnie takie osoby jak Witold Pilecki, Danuta Siedzikówna „Inka”, czy major Zygmunt Szendzielarz „Łupaszka” stały się wzorami nie tylko dla młodego pokolenia, ale dla wszystkich Polaków. Organizowana już dwukrotnie akcja „Namioty Wyklętych” okazała się wielkim sukcesem przyciągając tysiące zainteresowanych osób. Potwierdza to tylko jak wielki sens ma nasza działalność, jak bardzo Polacy chcą poznać historię, którą komunistyczny reżim próbował wymazać.

Niemal od samego początku naszej działalności chcieliśmy przekazać naszemu pokoleniu czym w rzeczywistości był stan wojenny. Chcemy upamiętnić do tragiczne w historii naszego kraju wydarzenie organizując serię mniejszych akcji poświęconych właśnie tej rocznicy. Pierwszą z nich jest ogólnopolski konkurs literacki dla uczniów szkół średnich. W 2014 r. po raz pierwszy zdecydowaliśmy się na dość nietypową akcję, która okazała się wielkim sukcesem. Przy udziale grupy rekonstrukcyjnej i członków oddziału krakowskiego Stowarzyszenia w nocy 12 grudnia przeprowadziliśmy w krakowskich lokalach inscenizację aresztowań opozy-



cjonistów przez funkcjonariuszy Milicji. Wydarzenie to zyskało duży rozgłos w Krakowie. Możemy sobie tylko wyobrazić jaki efekt wywołały te inscenizacje na gości wspomnianych lokali. W końcu nie codziennie widuje się milicję aresztującą opozycjonistów w typowy piątkowy wieczór, w którymś z bardziej popularnych miejsc spotkań w Krakowie.

O tym jak ważna dla nas jest postać Witolda Pileckiego świadczyć mogą coroczne akcje organizowane 25 maja. Tego dnia w 1948 r. Witold Pilecki został zamordowany przez funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa. Uznając go za jednego z największych bohaterów historii Polski, staramy się uczcić dzień jego śmierci. Formą pamięci stał się „Marsz Rotmistrza” organizowany przez Stowarzyszenie w największych miastach Polski. Poza tym, w obecnym roku w Krakowie, udało nam się zorganizować grę miejską poświęconą postaci Witolda Pileckiego.

Działalność Stowarzyszenia to nie tylko podobne happeningi. Staramy się też organizować merytoryczne debaty i konferencje. Na tym polu również osiągnęliśmy spore sukcesy. Wystarczy przytoczyć tu choćby konferencję pt. „Europa Środkowo-Wschodnia. W oczekiwaniu na powrót Imperium?”, czy debatę „Wyzwanie: Kraków” w której wzięli udział wszyscy kandydaci na urząd prezydenta miasta Krakowa.

Opisanie całej naszej działalności w stosunkowo krótkim tekście to bardzo trudne zadanie, dlatego starałem się przytoczyć najważniejsze i największe z naszych wydarzeń. Przez pięć lat aktywności zorganizowaliśmy szereg różnego rodzaju spotkań, debat i rozmów na przeróżne tematy z ekspertami w poszczególnych dziedzinach. We wszystkich tych wydarzeniach kierowaliśmy się tym, o czym pisałem we wstępie, czyli chęcią przekazania uczestnikom wiedzy niezbędnej, by lepiej poznać historię naszego kraju, by zaszczerpić w uczestnikach postawy godne prawdziwego, świadomego obywatela, dorosłego człowieka posiadającego odpowiednie wartości.

Chcemy ciągle się rozwijać i wkraczać w naszej działalności w nowe pola. Zależy nam, żeby jak najwięcej osób poznało naszą wizję nowoczesnego, pozytywnego patriotyzmu, by w obecnym świecie tego typu wartości nie zginęły, a stały się wartościami przewodnimi dla mieszkańców naszego kraju.

Po więcej informacji o Stowarzyszeniu Studenci dla Rzeczypospolitej zapraszamy na stronę internetową: <http://studencidlarp.pl>

 **Tomasz Wajdzik**

**Prezes Oddziału Krakowskiego
Stowarzyszenia Studenci dla Rzeczypospolitej**





VI Beskidzki Rajd 1. Pułku Strzelców Podhalańskich AK



W dniach 12-14 czerwca odbyła się VI edycja rajdu 1 Pułku Strzelców Podhalańskich AK. Rajd ten to idealny sposób nauki ojczyściej historii poprzez aktywne spędzanie wolnego czasu. Nie jest chyba możliwe znalezienie lepszej formy edukacji niż wycieczka po górach wspólnie z przyjaciółmi - czy to ze szkoły, czy też z jakiejś organizacji, np. harcerstwa.

Podczas wędrowki można przede wszystkim bardzo dobrze się bawić spotykając po drodze m.in. partyzantów, dzięki którym można zdobyć wiedzę o 1 Pułku Strzelców Podhalańskich i uzyskać punkty za swoje umiejętności praktyczne oraz wcześniej zdobyte informacje. Istniała także możliwość natrafienia na Niemców z Wehrmachtu i SS. Po pechowym spotkaniu z nimi można było uzyskać punkty ujemne.

Rolę punktowych pełnili członkowie Stowarzyszenia Rekonstrukcji Historycznych – 1 PSP AK oraz harcerze z 5. KDW "Orkan". Zakwaterowanie dla uczestników rajdu zapewniła miejscowa szkoła; Gimnazjum nr 4 w Mszanie Górnej im. ks. prof. Józefa Tischnera.

Pierwszego dnia rajdu, około godziny 10.00, ruszył na trasę pierwszy z dziesięciu patroli. Na podwórku panował ciężki do wytrzymania upał. Punktowi mieli zdecydowanie lepiej niż uczestnicy rajdu, ponieważ na swych stanowiskach mogli znaleźć sobie chociaż trochę cienia. Jednak pomimo upalnej pogody nikt nie narzekał. Wszyscy byli pełni entuzjazmu - dzięki dobrej zabawie przy punktach kontrolnych oraz podczas wędrowki. Zdarzyły się jednak nieliczne sytuacje, w wyniku których kilka osób nie dało rady dojść do końca trasy.

Ja podczas rajdu byłem punktowym. Jako partyzant stałem razem z policjantem granatowym pod starą stodołą. Naszym zadaniem było przekazanie uczestnikom rajdu szyfru, który mieli złamać i podać nam rozszyfrowaną informację. Brzmiała ona następująco: *LECH zabity. Obóz STRACONY. Przerynam operację TAŚMA. Adam.* Patrole miały następnie wykazać się wiedzą na temat istoty tej informacji. Uczestnicy musieli wiedzieć m.in. kim był "Lech". Jak zginął. Czym była operacja "Taśma". Mogli się oni tego dowiedzieć na poprzednim punkcie. Ostatni pa-

VI Beskidzki Rajd 1. Pułku Strzelców Podhalańskich AK



odbyło się ogłoszenie wyników i rozdanie nagród. Niezależnie od tego jakie kto zajął miejsce, na sali widać było mnóstwo uśmiechów. Pomimo tego, że to wydarzenie miało miejsce już tyle razy nadal niesie za sobą ogromne zainteresowanie i przyciąga z roku na rok coraz więcej nowych uczestników. Oczywiście stałych bywalców także na rajdzie nie brakuje.

Rajdy tego typu, są bardzo dobrym pomysłem i osobiście uważam, że taki sposób nauczania powinien być częściej stosowany. Chcę wyrazić uznanie dla organizatorów rajdu za pomysł i chęci do działania. Myślę, że najlepszą nagrodą, są uśmiechy młodych ludzi, którzy cieszą się, że mogą uczyć się historii w taki właśnie sposób. Ten moment jest bezcenny.

 **David Szymczyna**

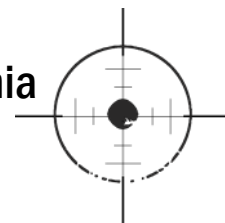
trochę przybył do nas około godziny 17.00. Po odprawieniu go w dalszą trasę wróciliśmy do szkoły. Po obiedzie uczestnicy rajdu mieli wykład, który przydał im się do realizacji zadań wyznaczonych na następny dzień, po czym wszyscy udali się do łóżek.

Dzień drugi przebiegał równie pomyślnie. Moja rola, jak i cała trasa, zmieniła się. Ze starej stodoły przeniosłem się prawie pod sam szczyt góry Kiczora, gdzie na skraju lasu czekałem na patrole. Ich zadaniem na moim punkcie było odszukanie meliny AK, gdzie były schowane oryginalne elementy żołnierskiego ekwipunku. Mam tu na myśli: bagnet i ładownice do mauzera, niemiecki pistolet typu parabellum, kompas, granat ręczny oraz manierkę z kubkiem.

Po dobrze wykonanym zadaniu odsyłałem ich do obozu partyzantów. Po drodze czekały na nich niemieckie patrole. Nie było niestety takiej sytuacji, żeby po odejściu drużyn z mojego punktu nie było słychać strzałów z broni hukowej. Oznaczało to, że nikomu nie udało się przejść przez stanowiska Niemców. Ta trasa rajdu była dłuższa, ale też bardziej łagodna niż wczorajsza, przez co uczestnicy szybciej ją pokonali niż miało to miejsce ubiegłego dnia. Już o godzinie 15.00 obsada naszego punktu wrócił

do miejsca zakwaterowania. Wieczorem, po kolejnym wykładzie, czekała wszystkich zabawa przy grillu. Ostatni dzień rajdu był równie wspaniały, jednak bez większych atrakcji. Z rana wszyscy ruszyli do kościoła na mszę, po której w szkole





PRZEMYSŁAW BACIK

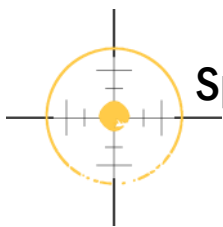
Obchody 100 - lecia Bitwy pod Gorlicami



W dniach 1 i 2 maja 2015 roku uczestniczyłem w obchodach, które upamiętniły 100 rocznicę Bitwy pod Gorlicami. Wszystkie uroczystości zostały zorganizowane w ramach Małopolskiego Programu Obchodów „100-lecie I Wojny Światowej”. Program został dofinansowany przez Województwo Małopolskie. Oprócz miasta Gorlice, powiatu gorlickiego w zrealizowaniu tak wielkiego przedsięwzięcia wzięło udział gmina Sękowa oraz gmina Łużne. Setna rocznica bitwy była wielką okazją do odwiedzenia wielu miejsc z nią związanych. Wiele tysięcy ludzi wzięło udział w imprezach oraz historycznych wydarzeniach, które tworząc odpowiedni klimat przeniosły nas do innej epoki. Aby przybliżyć ważniejsze wydarzenia towarzyszące obchodom i tej wspaniałej uroczystości chciałbym przybliżyć rys historyczny jednej z największych i najbardziej znaczących bitew I Wojny Światowej.

W maju 1915 r. galicyjskie miasto Gorlice przeszło do historii. Na odcinku 32 kilometrów rozegrała

się bitwa pomiędzy trzema armiami. Dwoma sprzymierzonymi: austro - węgierską i niemiecką oraz armią rosyjską. Zadecydowała ona o losach imperium rosyjskiego – jednego z najważniejszych graczy w polityce europejskiej. Wojna miała skończyć się jesienią 1914 roku lecz niestety stało się inaczej. W bitwie co dziesiąty żołnierz, który zginął po obydwu walczących stronach, był Polakiem. W pierwszych miesiącach wojny wiele tysięcy żołnierzy Austro - Węgier poległo w Galicji oraz Serbii. Armia rosyjska została zatrzymana na karpaccich wzniesieniach resztką sił wojsk Austro – Węgier i Niemiec. „Szef sztabu generalnego armii austriackiej Franz Conrad von Hotzendorf obserwował z niepokojem rosnące objawy zmęczenia, a niekiedy nawet paniki w szeregach żołnierzy. Zatrzymując z najwyższym wysiłkiem armię rosyjską na karpaccich wzgórzach, armia austriacka była śmiertelnie wyczerpana. Należy wspomnieć, że gdyby armia rosyjska przełamała linie Karpat klęska monarchii habsburskiej stałaby się nieunikniona.



○ **Conrad von Hötzendorf** – austriacki feldmarszałek od 1916 r., jeden z pomysłodawców przełomu pod Gorlicami. Szef Sztabu Generalnego Armii Austro-Węgierskiej w latach 1906-1917, zasłużony w walkach podczas I wojny światowej. Początkowo skupił swoją uwagę na dążeniu do pokonania Serbii i jej aneksji. Jednak nie zdołał tego zrobić ze względu na atak Rosjan na Galicję. Jego plan ataku na rosyjskie pozycje pod Gorlicami umożliwił przełamanie frontu, a w konsekwencji odrzucenie armii carskiej daleko na wschód i odzyskanie utraconych terenów galicyjskich. Ta akcja była jednym z jego największych sukcesów, który doprowadził 2 lata później do wyłączenia Rosji z wojny i umożliwienie armii niemieckiej ofensywy na froncie zachodnim. Zasłużony dla modernizacji armii cesarskiej. Odwołany ze stanowiska w 1917 r. Uważany za jednego z najlepszych dowódców armii austro-węgierskiej w czasie I wojny światowej^[6].



W przeddzień bitwy pod Gorlicami dowództwo dokonało dramatycznych wyliczeń: 221 300 zabitych, 661 959 rannych i 588 517 wziętych do niewoli. Armia austriacka, która wyruszyła w pole w 1914 roku, praktycznie przestała istnieć^[1].

Wojska rosyjskie na półtora miesiąca przed operacją gorlicką odnotowały znaczący sukces militarny zdobywając świetnie ufortyfikowaną twierdzę Przemyśl, która pod naporem sił przeciwnika skapitulowała. Wśród nas nie ma już żadnego świadka tej strasznej bitwy. Wspominając tamten dzień - 2 maja 1915 roku - rozpoczęto bitwę nawałą ognia artyleryjskiego. Blisko 700 dział po jednej jak i po drugiej stronie rozpoczęło ostrzał pozycji przeciwnika. Dowódca 100 Pułku Piechoty generał Latnik pisze:

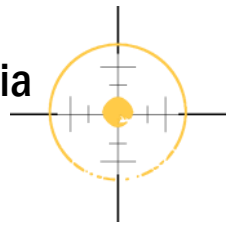
„Po pierwszych próbnych strzałach zagrzmiąło 700 paszcz armatnich, które wyrzucając stal i żelazo, przeryniają powietrze sykiem i szumem, skowytami i gwizdem, a wbiwszy się w pozycje przeciwnika, z piekielnym hukiem cisną w górę na kilka metrów wysokości ziemię, kamienie, belki, deski, karabiny i ciała ludzkie. Chmury duszącego dymu zalegają coraz to większą przestrzeń. Tu i tam widać uciekających nieprzyjaciół, których gonią szrapnele austriackie...”^[2].

Rozpoczęło się natarcie, które zapoczątkowało serię rosyjskich klęsk. Do natarcia przystąpiły austro-węgierska i niemiecka piechota posiadające cały czas decydującą przewagę podczas ataku. Walkę prowadzono następnie na bagnety natykając się na obrońców w rowach strzeleckich, które niewidoczne były wcześniej dla artylerii polowej. Pierwsze linie okopów rosyjskich zostały opanowane. Około godziny 11 zdobyto wzgórze



Pustki, które dominowało nad okolicą. Przyczyniły się do tego oddziały 56 i 100 Pułku Piechoty z 12 Krakowskiej Dywizji. Po południu wojska niemieckie wkroczyły do Gorlic. Około 22 ucielił ogień. Wojska rosyjskie rozpoczęły odwrót na wschód. Front został przełamany, jednak walki trwały jeszcze kilkanaście dni.

„Rosjanom, pomimo wprowadzenia do walki rezerw, nie udało się powstrzymać nacierających. Padały kolejno Biecz, Żmigród, Jasło, Tarnów, Rzeszów. 22 czerwca armia austro-węgierska zdobyła Lwów. Bitwa gorlicka była przełomowym momentem w walkach na froncie wschodnim. Pokonana armia rosyjska nigdy już nie zagroziła Austrii, a utrata Lwowa definitywnie przekreśliła nadzieje Rosjan na odegranie roli „oswobodziciela” Słowian. W okolicach Gorlic, oprócz wspomnianych pocisków i dziesiątków rodzinnych, na pół legendarnych opowieści, zostało po niej coś jeszcze. Wojenne cmentarze. Gorlicka ziemia przyjęła ok. 17 tysięcy carskich żołdatów i przynajmniej 8 tys. żołnierzy



Obchody 100 - lecia Bitwy pod Gorlicami

niemieckich i austriackich. Współcześni historycy szacują, że w całej w kampanii gorlickiej mogło polec nawet 150 tysięcy żołnierzy”.^[3]

„Odwrót rosyjskiej 3 Armii spod Gorlic i Tarnowa wprawił w ruch cały front, od Bałtyku po Karpaty”^[4].

Zainteresowanych bitwą Gorlicką odsyłam do literatury tematu. Bardzo polecam mało znane szkice generała majora imperium rosyjskiego a zarazem doktora nauk ekonomicznych i wojskowych Michaiła Dmitriewicza Boncz-Brujewicza „M.Boncz-Brujewicz, Potieria nami w Galicji. Cz.1 Moskwa 1920, cz.2. Moskwa 1926, które stanowią bardzo wartościową pozycję. Dla zafascynowanych tematem podaję link do literatury dotyczącej Pierwszej Wojny Światowej zawierający kilkadziesiąt pozycji książkowych^[5].

Obchody 100- lecia Bitwy Gorlickiej rozpoczęły się kilkanaście dni wcześniej. Do ważniejszych wydarzeń należały:

Dnia 22 kwietnia w Dworach Karwacjanów i Gładyszów w odbyło się spotkanie z Profesorem Andrzejem Chwalbą, który przybył do Gorlic na zaproszenie Uniwersytetu Złotego Wieku oraz Starostwa Powiatowego w Gorlicach. Andrzej Chwalba jest autorem książki „Samobójstwo Europy Wielka Wojna 1914-1918” wydanej przez Wydawnictwo Literackie w Krakowie w 2014 r., a zarazem kierownikiem Zakładu Antropologii Historycznej na Uniwersytecie Jagiellońskim. Z tą właśnie książką związany był wykład Pana Profesora. Organizatorem spotkania był wiceprzewodniczący Rady Powiatu Gorlickiego Pan Roman Dziubina.

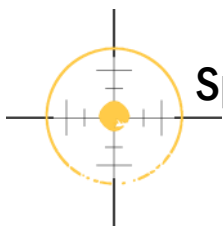
○ Radko Dimitrijew – Radko był z pochodzenia Bułgarem, w czasie I wojny światowej walczył w szeregach armii carskiej. Wsławił się podczas wojen bałkańskich, jako dowódca III armii bułgarskiej, walcząc z Turkami w bitwach pod Łozengradem i Lüleburgaz. W latach 1904 - 1907 szef Sztabu Generalnego armii bułgarskiej. Głównodowodzący armią rosyjską pod Gorlicami w 1915 roku, po klęsce w tej bitwie został odwołany i oskarżony za niepowodzenia w tej bitwie, następnie w 1917 roku wrócił jako general en-chef dowodząc kolejno XII Armią i Ryskim Rejonem Umocnionym^[7].



Dnia 23 kwietnia w Dworze Karwacjanów i Gładyszów został po raz pierwszy zaprezentowany „Przewodnik po cmentarzach z I Wojny Światowej na terenie powiatu gorlickiego”. Autorem tej wyśmienitej publikacji jest Paweł Kutaś. Przewodnik w sposób kompleksowy ukazuje wszystkie cmentarze wojenne I wojny światowej a jest ich aż 81 - zlokalizowane na terenie powiatu gorlickiego – powiedział starosta Karol Górski.

Dnia 25 kwietnia „odbyła się pierwsza w Polsce międzynarodowa konferencja naukowa poświęcona udziałowi lotnictwa na froncie wschodnim I wojny świa-





○ August von Mackensen

(ur. 6 grudnia 1849 w Haus Leinitz, zm. 8 listopada 1945 w Burghorn), feldmarszałek niemiecki, dowódca wojsk niemieckich i austro-węgierskich podczas ofensywy pod Gorlicami i Tarnowem w maju 1915 roku. Zdobywca Belgradu w 1915 i Bukaresztu w 1916 roku^[8].



towej pt. „Lotnictwo w Operacji Gorlickiej 1915” została zorganizowana przez: Starostwo Powiatowe w Gorlicach, Instytut Historii Uniwersytetu Rzeszowskiego, Muzeum Lotnictwa Polskiego w Krakowie i Muzeum Dwory Karwacjanów i Gładyszów w Gorlicach”^[9]

Dnia 1 maja rozpoczęła się główna część uroczystości. W Gorlicach zorganizowano Międzynarodową konferencję historyczną dotyczącą bitwy pod Gorlicami.

W godzinach do południowych wykład prowadzili:

- ppłk dr Christian Stachelbeck [Niemcy] – 11 bawarska Dywizja Piechoty w bitwie pod Gorlicami-Tarnowem
- dr Christoph Hatschek [Austria] – „Odczarowanie” munduru – oddziaływanie doświadczenia wojennego na umundurowanie c.k. armii w 1915 r.
- Walentin Juszek [Rosja] – Zagłada dywizji Kornilowa
- dr Piotr Szlanta – Wielka Wojna Łemków ^[10].

Obchody 100 - lecia Bitwy pod Gorlicami

Po południu wykłady prowadzili:

- dr Jarosław Centek – Działania 119 DP w dniach 2 – 3 maja 1915 r.
- dr Jan Schubert - cmentarze zakładane przez Krakowski Oddział Grobów Wojennych na tle innych nekropolii wojskowych z okresu I wojny światowej zakładanych przez armię austro - węgierską na terenach Galicji
- mgr Tomasz Woźny - Od Głowy Cukru do Kaiserjägerhöhe - c.k. XIV Korpus w ofensywie gorlickiej
- mgr Sławomir Kułacz - Bitwa pod Gorlicami we wspomnieniach uczestników
- mgr Marcin J. Mikulski - Wkład Twierdzy Kraków w zwycięstwo pod Gorlicami
- mgr Bogusław Głód - Kawaleria niemiecka pod Gorlicami - z działań pułku rotmistrza von Savoye na prawym skrzydle 11 Armii Mackensena 2-6 w 1915 roku
- mgr Michał Kawulok -Temat "Bitwy pod Gorlicami" w twórczości Jana Wałacha
- mgr Kamil Ruszała - Mieszkańcy Gorlic w armii austro-węgierskiej podczas I wojny światowej ^[11]

Po pierwszej części konferencji rozpoczęła się modlitwa ekumeniczna i oficjalne rozpoczęcie uroczystości na cmentarzu wojskowym nr 91 w Gorlicach. Warto podkreślić, że modlitwa ekumeniczna odbyła się za wszystkich poległych, którzy sto lat temu oddali życie na gorlickiej ziemi. Uroczystości towarzyszył Apel Poległych oraz warty honorowe. Na grobach poległych spoczęły wiązanki kwiatów i zapłonęły znicze.





Po uroczystościach na cmentarzu, Grupy Rekonstrukcji Historycznej przemaszerowały na gorlicki rynek w towarzystwie wielu setek uczestników i w asyście orkiestr wojskowych. Na rynku zgromadziły się tłumy mieszkańców miasta i okolic, a także ludzie z odległych zakątków Polski i Europy. Mimo niesprzyjającej pogody rynek gorlicki był zapelniony. Rozpoczęły się uroczystości rocznicowe. Orkiestry wojskowe oraz Grupy Rekonstrukcji Historycznej z Polski i Europy upamiętniły tą wspaniałą uroczystość. Zaproszone grupy zaprezentowały pokaz musztry paradowej oparty na tradycji sprzed wieku. Rekonstruktorzy z Polski, Rosji, Austrii, Niemiec,

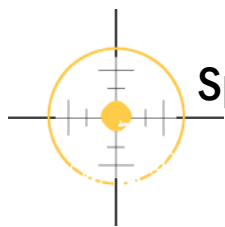


Czech, Węgier, Słowacji, Litwy i Białorusi wykazali się starannością pokazując trening wojskowy. Z a - d b a n o o ekwi-punek i w y - p o s a ż e n i e , przywiązując wagę do najmniejszych detali.

Przemysław Bacik - Absolwent WSilZ 2011 europeistyka – licencjat, 2014 bezpieczeństwo publiczne – magisterium. Żołnierz zawodowy od 20 lat związany z 21 Brygadą Strzelców Podhalańskich. Uczestnik 2 misji zagranicznych 1999/2000 UN UNDOF, 2003/2004 NATO KFOR. Obecnie służbę pełni na stanowisku dowódcy plutonu w 5 batalionie strzelców podhalańskich w Przemyślu. Zainteresowania terroryzm w różnych jego aspektach i przeciwdziałanie zagrożeniom terrorystycznym, rola służb specjalnych we współczesnym świecie, literatura marynistyczna, historia, pływanie.

„Wieczorem o godz. 21.00 z obiektów sportowo – rekreacyjnych w Sękowej, wyruszył „Marsz ku Wolności”, w których brały udział grupy rekonstrukcji historycznej z kraju i zagranicy oraz nieliczni mieszkańcy Sękowej, którzy udali się na cmentarz nr 80 w Sękowej. Odbędzie się „Modlitwa wieczorna w intencji poległych”^[12]

Dnia 2 maja rozpoczęła się w Sękowej rekonstrukcja bitwy pod Gorlicami. Miało to miejsce już po raz piąty. Rekonstrukcja została przygotowana z niesamowitym rozmachem ze względu na 100 rocznicę bitwy. W tegorocznej inscenizacji wzięło udział około 500 rekonstruktorów z 9 krajów Europy. Organizatorzy zasługują na szczególną pochwałę ze względu na realizm bitwy, który pokazali. Prace, które zostały wykonane wymagały dużych umiejętności i wiedzy



historycznej. Dotyczy to okopów, zasieków oraz linii obrony. Scenografia także była wspaniale opracowana. Przed rekonstrukcją bitwy zaprezentowano pododdziały. Po prezentacji wojska austro-węgierskie i niemieckie ruszyły w bój z armią rosyjską. Widowisko trwało około 100 minut. Obserwowało je kilka tysięcy ludzi. Efekty pirotechniczne (ostrzały i potyczki, a także walka konnic) były na najwyższym poziomie. Nad polami Sękowskimi przeleciał kilkakrotnie samolot Nieuport 11 (francuski dwupłatowy samolot myśliwski z okresu I Wojny Światowej) Po rekonstrukcji można było zwiedzić pole bitwy i obejrzeć stanowiska walczących ze sobą stron. Narratorem całej rekonstrukcji był Profesor Andrzej Olejko z Uniwersytetu Rzeszowskiego.

Organizatorem widowiska batalistycznego była **Grupa Rekonstrukcji Historycznej „Gorlice 1915”**

Po rekonstrukcji na cmentarzu wojennym nr 123 w Łużnej-Pustkach, odbyły się uroczystości państwowe z udziałem władz państwowych oraz Wojska Polskiego.

Obchody trwały jeszcze 3 maja. Do najważniejszych imprez w tym dniu zaliczyć należy:

- Balonowy Turniej Polski o Puchar Franciszka Janika (Organizator: Miasto Gorlice, Mościcki Klub Balonowy)
- Gra Miejska „Gorlice 1915” (Organizator: Hufiec ZHP Gorlice)
- Aeropiknik (Organizator: Miasto Gorlice, Mościcki Klub Balonowy)

Nie sposób opisać wszystkich znakomych wydarzeń towarzyszących obchodom 100-lecia Bitwy pod Gorlicami. Aby tego doświadczyć trzeba się tam po prostu wybrać. Czytelników naszego miesięcznika szczególnie zapraszam w następnym roku. Będzie to 101 rocznica tej ważnej i przełomowej bitwy frontu wschodniego w dziejach Europy 🇵🇱

Przypisy:

- [1] http://m.krakow.gazeta.pl/krakow/1,106511,17811622,Gorlice_1915_Ta_birtwa_zmienila_bieg_historii_PRZEWODNIK_.html, z dnia 03.07.15.
- [2] Latinik F., Żołnierz polski pod Gorlicami 1915, Przemyśl 1923, s.31-32.
- [3] <http://pierzawojna.info/historie/zagrzmiolo-700-paszczarmatnich-gorlicki-przelom-1915/>, z dnia 03.07.15.
- [4] Klimecki M., *Gorlice 1915*, Warszawa 1991, s.4.
- [5] <http://www.viribusunitis322012.fora.pl/ksiazki,26/literatura-dotyczaca-piewrwszej-wojny-swiatowej-w-galicji,13.html>, z dnia 03.07.15.
- [6] <http://gmgorlice1915.cba.pl/dowodcy.php>, z dnia 03.07.15.
- [7] <http://gmgorlice1915.cba.pl/dowodcy.php>, z dnia 03.07.15.
- [8] <http://www.dobroni.pl/fotka,historia,51191>, z dnia 03.07.15.
- [9] <http://www.powiatgorlicki.pl/aktualnosci/naukowo-o-lotnictwie-wojennym.html>, z dnia 03.07.15.
- [10] <http://www.sekowa.info/index.php?go=12&id2=768>, z dnia 03.07.15.
- [11] <http://www.dws.org.pl/viewtopic.php?f=155&t=135614>, z dnia 03.07.15.
- [12] <http://www.sekowa.info/index.php?go=12&id2=768>, z dnia 03.07.15.






Wizyta studentów KNBN UJ w JW GROM

15 czerwca 2015 roku członkowie i sympatycy Koła Naukowego Bezpieczeństwa Narodowego Uniwersytetu Jagiellońskiego, dzięki uprzejmości dowódcy JW GROM pana płk. Piotra Gąstała, mieli możliwość odwiedzić Jednostkę Wojskową GROM.

Wizyta była następstwem konferencji naukowej poświęconej 25-leciu JW GROM, która odbyła się 13 maja br. na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. Na początku wizyty żołnierze GROM-u zaprezentowali nam wyposażenie i uzbrojenie, którym dysponuje jed-

nostka, a następnie członkowie KNBN UJ mieli możliwość zapoznać się w Auli im. Cichociemnych, z filmami poświęconymi JW GROM. Po projekcji materiałów filmowych, studenci obejrzeli wystawę fotograficzną zorganizowaną z okazji 25-lecia jednostki. Kolejnym etapem wizyty było zwiedzanie sali tradycji JW GROM. Żołnierze cały czas odpowiadali na pytania zadawane przez członków KNBN UJ. Ostatnim elementem wizyty było złożenie kwiatów przez delegację studentów pod pomnikiem Cichociemnych 



KOŁO NAUKOWE
BEZPIECZEŃSTWA NARODOWEGO UJ



KRZYSZTOF KUBIAK

Szara iglica ze Skarżyska-Kamiennej

Region świętokrzyski poszczycić się może długą i bogatą historią. I tak na przykład korzenie miasta noszącego dziś nazwę Skarżysko-Kamienna sięgają jakoby 12 tysięcy lat wstecz. Z wieku XII i XII pochodzą informacje o istnieniu osady Skarsisko. W 1511 roku członkowie rodu Szydłowieckich założyli – za aprobatą zakonu cystersów z Wąchocka - sadzawkę i kuźnię nad rzeką Kamienną, by wykorzystać niedlegle złoża rudy żelaza. Po III rozbiore Polski Kamienna znalazła się w zaborze austriackim, a w roku 1809 została włączona do Księstwa Warszawskiego, by ostatecznie - w 1815 roku - znaleźć się w granicach będącego częścią państwa carów Królestwa Polskiego.

Na początku XIX wieku, mimo zaborczej władzy, Kamienna wraz z resztą – tak zwanego – Staropolskiego Okręgu Przemysłowego miała się całkiem nieźle. Było to w dużej mierze związane z działalnością Stanisława Staszica i Franciszka Ksawerego Druckiego-Lubeckiego. Według ich planów wzdłuż rzeki Kamiennej powstać miały duże zakłady metalurgiczne. Jednak plany te udało się zrealizować tylko częściowo. Powstały w 1828 roku Bank Polski, dysponujący kapitałem 30 milionów złotych, wydatnie wspierał zarówno zakłady rządowe, jak i prywatnych przedsiębiorców, modernizujących swe fabryki lub budujących nowe. Względy polityczne związane z powstaniem narodowymi oraz brak kapitału powodujący niemożność konkurencji z Zagłębiem Dąbrowskim, gdzie działalność hutniczą oparto na koksie, a nie na drewnie spowodowały zastój ekonomiczny i wymusił przeprofilowanie produkcji. Budowa i oddanie do użytku w roku 1883 linii kolei żelaznej, łączącej początkowo Kamienną z Iwanogrodem (obecnie Dęblin) i Śląskiem umożliwiło sprowadzanie surówki, a miejsce prymitywnych hut



Szary obelisk ze Skarżyska-Kamiennej. Wyraz patriotyzmu lokalnej społeczności. W 1930 roku. Gdy monument odsłaniano miał on upamiętniać bojowników o niepodległość z lat 1794-1918. Już kilka lat później okazało się, że Naród stanął przed kolejną wielką próbą, na którą wystawiła go Historia.



zajęły odlewnie i walcownie. W latach osiemdziesiątych XIX wieku powstała więc Odlewnia Żeliwa i Emaliernia „Kamienna” należąca do Jan Witwickiego. W 1915 roku, w wyniku ofensywy austriacko-niemieckiej, Rosjanie wycofali się z Kamiennej, zaś ich miejsce zajęli żołnierze monarchii habsburskiej. Pozostali oni tam do listopada 1918 roku.

W 1922 roku, na mocy Rozporządzenia Rady Ministrów z dnia 22 grudnia, podpisanego przez premiera generała Władysława Sikorskiego, nadano z dniem 1 stycznia roku następnego prawa miejskie gminie Kamienna. Było to związane z tym, że już w roku 1922 władze zdecydowały o wybudowaniu w Skarżysku-Kamiennej zakładu zbrojeniowego o nazwie „Państwowa Fabryka Amunicji”. Była to jedna z poważniejszych inwestycji powziętych przez odrodzone państwo, a jednocześnie ambitny projekt z zakresu polityki społecznej zmierzający do zmniejszenia bezrobocia i aktywizacji ekonomicznej ludności rolniczej tego zapóźnionego rozwojowo regionu. Wraz z fabryką (i zakładami chemicznymi) powstały nowoczesne osiedla mieszkaniowe dla robotników i kadry inżynierskiej wyznaczające zupełnie nowy standard socjalny. Od 1928 roku oficjalnie zaczęto stosować obecną nazwę miasta. W 1932 roku Fabryka Amunicji zatrudniała 2760 osób, w roku 1936 - ponad 3000 osób, a w roku 1939 ponad 4500 osób.

W 1930 roku w Skarżysku-Kamiennej, w bezpośrednim sąsiedztwie jednego z takich osiedli wzniesiono społecznym wysiłkiem pracowników Fabryki Amunicji prosty monument w formie posadowionej na cokole iglicy zwieńczonej reliefem przedstawia-



Tablica, o którą wzbogacono iglicę już w wolnej Polsce.

jącym krzyż orderu Virtuti Militari. W zamyśle fundatorów miał on upamiętniać bohaterów bojów o niepodległość toczonych w latach 1794-1918 i takie właśnie daty wryto w kamieniu. Na cokole znalazła się również metalowa tablica poświęcona zbiorowemu darczyńcy, dzięki któremu pomnik powstał, i przypominająca datę jego odsłonięcia – 30 listopada 1918 roku.

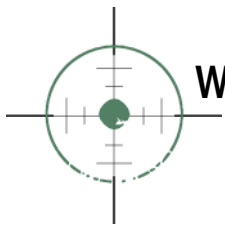
Podczas niemieckiej okupacji świętokrzyskie było z jednej strony obszarem aktywnych działań partyzantskich, z drugiej rejonem dotkniętym masowymi represjami. W obozie pracy „Hassagu” życie straciło około 25.000 robotników przymusowych. W Borze i na Brzasku Niemcy rozstrzelali w lutym i czerwcu 1940 roku ponad 1200 osób, w tym wielu członków kadry techniczne Fabryki Amunicji.

Po roku 1945 ludowa, industrializująca się Polska zainwestowała niebagatelne kwoty w skarżyski przemysł. Rozbudowana, przedwojenna Fabryka Amunicji zmieniła nazwę na Zakłady Mechaniczne „MESKO” będące głównym pracodawcą w mieście i okolicy. W owych czasach przedwojenny monument nie cieszył się specjalną estymą rządzących. Dopiero po roku 1989, dodano na nim tablicę rozszerzającą adres wystosowany w roku 1930 na lata 1794-1989, zaś w 2010 roku całą instalację odnowiono 🚧

Zdjęcia (K. Kubiak)



Replika oryginalnej tablicy upamiętniającej fundatorów monumentu.



Tajne wojny służb specjalnych II RP, Działalność Ekspozytury nr 2 Oddziału II Sztabu Głównego WP w latach 30. XX w.

Współpracownik naszego miesięcznika, dr Robert Witak jest autorem niezwykle interesującej, bogatej faktycznie książki pt. **Tajne wojny służb specjalnych II RP, Działalność Ekspozytury nr 2 Oddziału II Sztabu Głównego WP w latach 30. XX w.** Autora czytelnikom miesięcznika nie przedstawiam szerzej, gdyż znacząco Państwo jego kwalifikacje i zainteresowania badawcze z wielu artykułów i recenzji zamieszczonych w **e-Terroryzm.pl**. Pan doktor R. Witak jest pracownikiem Uniwersytetu Łódzkiego.

Książkę wydało łódzkie wydawnictwo Księży Młyn Dom Wydawniczy Michał Koliński. Monografia została wydrukowana z interesującą graficznie okładką. Dobrze dobrana czcionka i schludny, profesjonalny skład dopełniają dzieła.

Działalność Ekspozytury nr 2 Oddziału II nie miała wcześniej poważniejszych opracowań monograficznych. Jednym, ale niepublikowanym opracowaniem dotyczącym Ekspozytury nr 2 jest rozprawa Andrzeja Wszendyrównego pt. *Ekspozytura nr 2 Oddziału II sztabu Głównego Wojska Polskiego w latach 1929 – 1939* z 2010 roku. Szeroka problematyka poruszana przez Roberta Witaka w jego monografii znajduje odzwierciedlenie w szeregu publikacji. Np. tematyką prometejską zajmowali się Ireneusz Maj [2007], Marek Kornat [2003], Jan J. Bruski [2012] czy Grzegorz Mazur i Marcin Kwiecień [2002]. Akcje na Rusi Zakarpackiej oraz Zaolziu opisywali Edward Długajczyk [1996], Piotr Kołakowski [2007], Jerzy Kozeński [1964], Dariusz Dąbrowski [2003], Maciej Koźmiński [1970] czy Jerzy Kupliński [1996]. Na kierunku przeciwniemieckim np. współpracą z Serbołużaczynami zajmował się Aleksander Woźny [2007; 2004/2005]. Innymi piszącymi o tym kierunku działania polskiego wywiadu byli Henryk Chałupczak [1992], Adam Szymanowicz [2006, 2013], Piotr Bystrzycki [1997], Tadeusz Bogalecki [1995] czy Andrzej Gąsiorowski [1991]. Problematyką np. prometejską zajmują się badacze rosyjscy w osobach np. generałów Aleksandra Zdanowicza [2007] i Lwa Sockowa [2009].

Książka Roberta Witaka powinna być lekturą dla wszystkich interesujących się działalnością polskiego wywiadu, ale również szerzej służb specjalnych.

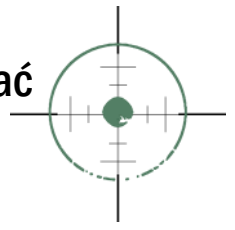
Pokazuje wielki wysiłek polskiego wywiadu starającego się zapewnić bezpieczeństwo II Rzeczypospolitej. (...) Opierając się na wiedzy zdobytej z lektury, możemy postawić pytanie, czy służby specjalne III RP są bardziej czy mniej skuteczne w swojej działalności od Oddziału II Sztabu Głównego i jego komórek organizacyjnych.

Omawiana monografia składa się z pięciu rozdziałów, wstępu, wykazu skrótów, zakończenia i bibliografii. Rozdział I pt. *Powstanie i działalność służb specjalnych II Rzeczypospolitej do 1929 roku* przedstawia komórki dywersyjne w strukturach władz wojskowych (centralnych) oraz przykłady (wybrane) działań specjalnych do 1929 r.

Druga część pt. *Ekspozytura nr 2 sztabu Głównego Wojska Polskiego* omawia struktury, kadry oraz problematykę finansowania działalności badanej przez Roberta Witaka komórki organizacyjnej Oddziału II. Dwa pierwsze rozdziały są wprowadzeniem do pozostałych, problemowych części książki.

Rozdział III *Działalność na kierunku przeciwsowieckim* zajmuje się dwoma problemami dywersją pozafrontową oraz ruchem prometejskim. Część czwarta pt. *Działalność na kierunku przeciwczesłowackim* zapoznaje czytelnika z operacjami dywersyjnymi polskiego wywiadu na Zaolziu. Drugą opisaną sprawą była operacja Łom na Rusi Zakarpackiej.

Ostatni, piąty rozdział, *Działalność na kierunku przeciwniemieckim* w pięciu podrozdziałach zajmuje się operacjami w Rzeszy Niemieckiej, na terenie Prus Wschodnich, Wolnego Miasta Gdańsk, kwestią serbołużacką, przygotowaniem do działań dywersyjnych na terenie Protektoratu Czech i Moraw oraz Słowacji.



Tajne wojny służb specjalnych II RP...

Bibliografia książki to ponad czterysta pozycji, w tym dokumenty archiwalne, dokumenty drukowane, prasa, pamiętniki i wspomnienia oraz opracowania.

Książka została mimo swoich wysokich walorów naukowych napisana przystępnym językiem. Używana przez Roberta Witaka aparatura naukowa doskonale wpisuje się w tekst książki, nie przytłacza go pokazując szeroką kwerendę przeprowadzoną przez autora. Jego umiejętność analizy, ale również syntezy pozyskanej wiedzy. Nawet czytelnik mający mniejszą, wcześniejszą wiedzę na poruszany w monografii temat, nie zniechęci się do jej lektury. Książka jest znakomitym uzupełnieniem poprzednich publikacji na ten temat. Jednocześnie może inspirować do kolejnych badań i opracowań, choćby typu biograficznego poświęconych kadrom Ekspozytury nr 2. Może warto było by skonfrontować część książki poświęconą np. akcji prometejskiej z publikacjami rosyjskich autorów wywodzących się ze Stowarzyszenia Studiowania Historii Ojczystych Służb Specjalnych, którego szefem jest wspomniany powyżej dr hab., były generał - lejt-nant FSB Aleksander A. Zdanowicz.



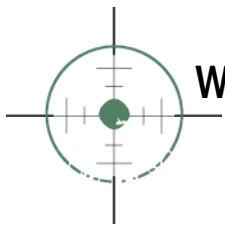
Publikacja składa się z pięciu rozdziałów, wstępu, wykazu skrótów, zakończenia i bibliografii. Książkę wydało łódzkie wydawnictwo Księży Młyn Dom Wydawniczy Michał Koliński. Monografia została wydrukowana z interesującą graficznie okładką. Dobrze dobrana czcionka i schludny, profesjonalny skład dopełniają dzieła.

Książka Roberta Witaka powinna być lekturą dla wszystkich interesujących się działalnością polskiego wywiadu, ale również szerzej służb specjalnych. Pokazuje wielki wysiłek polskiego wywiadu starającego się zapewnić bezpieczeństwo II Rzeczypospolitej. Mimo iż w ostatecznym rozrachunku Ekspozytura nr 2 nie zdała egzaminu, gdyż wyniki jej pracy były nieproporcjonalne do wkładanego wysiłku i potrzeb obronnych państwa. Problematyka prowadzenia działań dywersyjnych mimo zgłaszanych przez szefa Ekspozytury uwag była lekceważona przez przełożonych.

Współcześnie, opierając się na wiedzy zdobytej z lektury Roberta Witaka, możemy postawić pytanie, czy służby specjalne III RP są bardziej czy mniej skuteczne w swojej działalności od Oddziału II Sztabu Głównego i jego komórek organizacyjnych. Co nasze władze wiedzą o politycznych, militarnych, ekonomicznych koncepcjach polityki naszych sąsiadów. Niezależnie czy są naszymi sojusznikami czy też nie.

 Kazimierz Kraj

R. Witak,
Tajne wojny służb specjalnych II RP,
Działalność Ekspozytury nr 2 Oddziału II
Sztabu Głównego WP w latach 30. XX w.,
Łódź 2014,
ss. 382 + 1nlb.



Europejska wspólnota wywiadowcza Prawo – instytucje – mechanizmy.

Nakładem Wydawnictwa Uniwersytetu Jagiellońskiego wydana została niezwykle interesująca, będąca na czasie pozycja autorstwa Artura Gruszcza, poświęcona instytucjom wywiadowczym UE. Jej tytuł: **Europejska wspólnota wywiadowcza Prawo – instytucje – mechanizmy**.

Dr hab. Artur Gruszcak jest profesorem nadzwyczajnym Uniwersytetu Jagiellońskiego, pracuje w Instytucie Nauk Politycznych i Stosunków Międzynarodowych UJ. Jest jednocześnie koordynatorem **Forum Wymiar Sprawiedliwości i Sprawy Wewnętrzne UE** w Centrum Europejskim Natolin. Członek – założyciel **Europeans for Competitive and Strategic Intelligence** w Brukseli.

Tytuł książki nawiązuje do wspólnoty (społeczności) wywiadowczej USA. Poruszona przez autora problematyka jest polskiej literaturze naukowej występuje przedstawiana jest w nielicznych pracach. Wymienić można np. publikacje następujących autorów: T. Safjański [2009, 2013], M. Narojek [2006], M. Minkina [2008, 2014], D. Szlachter [2006] i oczywiście autora omawianego dzieła A. Gruszcza [2002, 2007, 2009, 2010, 2014].

Monografia Artura Gruszcza składa się z następujących elementów: *Wykazu schematów i skrótów, Podziękowania, Przedmowy, Wprowadzenia*. Zasadnicza część książki podzielona została na sześć rozdziałów. Na koniec *Zakończenie oraz Bibliografia, Indeks osobowy, Indeks rzeczowy*. Dzieło zostało napisane oparciu o obszerną literaturę, której spis liczy 28 stron. Zasadniczą częścią bibliografii, moim zdaniem, są wykorzystane dokumenty, których naliczyłem 203 sztuki. Ponadto autor wykorzystał podczas przygotowywania inne różnorodne źródła: monografie, opracowania zbiorowe, rozdziały w pracach zbiorowych, artykuły z czasopism naukowych, materiały robocze, prasowe i publikacje internetowe.

Wprowadzenie – wywiad we współczesnym państwie i organizacji międzynarodowej zaznajamia nas z hipotezą roboczą, założeniami metodologicznymi

Publikacja jest doskonałym źródłem informacji dla studentów politologii (stosunków międzynarodowych), kierunku bezpieczeństwo czy słuchaczy szkół wojskowych oraz kursów służb specjalnych.

Powinna stanowić również lekturę obowiązkową dla europarlamentarzystów czy posłów (senatorów) zajmujących się problematyką Unii Europejskiej oraz bezpieczeństwa zewnętrznego.

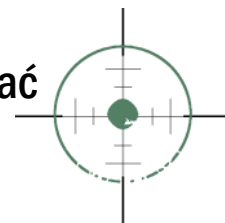
Zrozumienie treści i przyswojenie wiedzy zawartej w monografii ułatwiają zawarte w niej, dobrze dobrane stosunkowo liczne schematy i wykresy.

opracowania, przedstawia zakres pojęcia wywiad, mówi o ukrytych otwartych źródłach wywiadowczych, definiuje pojęcie wywiadu w prawie UE omawia przesłanki tworzenia wspólnoty wywiadowczej Unii oraz stan wiedzy na ten temat.

Rozdział 1 – **Strategiczne, polityczne i prawne podstawy tworzenia europejskiej wspólnoty wywiadowczej** zaznajamia czytelnika z traktatami regulującymi politykę bezpieczeństwa Unii, programem haskim, traktatem lizbońskim i jego skutkami dla współpracy wywiadowczej Unii Europejskiej.

Organy wywiadowcze Europejskiej Służby Działania Zewnętrznego jest rozdziałem 2 książki. Profesor A. Gruszcak przedstawia w nim strukturę organizacyjną ESFZ, Sztab Wojskowy UE, Zarząd Wywiadu tegoż sztabu, Wydział Reagowania Kryzysowego i Koordynacji Operacyjnej, Centralę Operacyjną, Platformę Kryzysową, Komórkę Monitorującą. Ponadto zapoznajemy się z organizacją i metodologią analizy wywiadowczej organów ESDZ oraz jednolitymi zdolnościami analizy wywiadowczej SAC.

Część trzecia pt. **Centrum Analizy Wywiadowczej Unii Europejskiej** przedstawia Centrum Operacyjne UZE, Wspólne Centrum Sytuacyjne UE, Centrum Analizy Wywiadowczej UE oraz Źródła informacji i produkty wywiadowcze **IntCenu**.



Rozdział 4 – **Centrum Satelitarne Unii Europejskiej** jest opisem działalności **Centrum** począwszy od początku lat dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia, poprzez podstawy prawne, organizację, źródła danych geoinformacyjnych, geoprzestrzennych oraz produktów wywiadowczych i ich odbiorców.

Piąty rozdział – **Europejski Urząd Policji Europol** zajmuje się całokształtem problematyki funkcjonowania **Urzędu**, celami i zdaniami, organizacją, źródłami informacji, analizą kryminalną, produktami wywiadowczymi oraz systemem informatycznym instytucji.

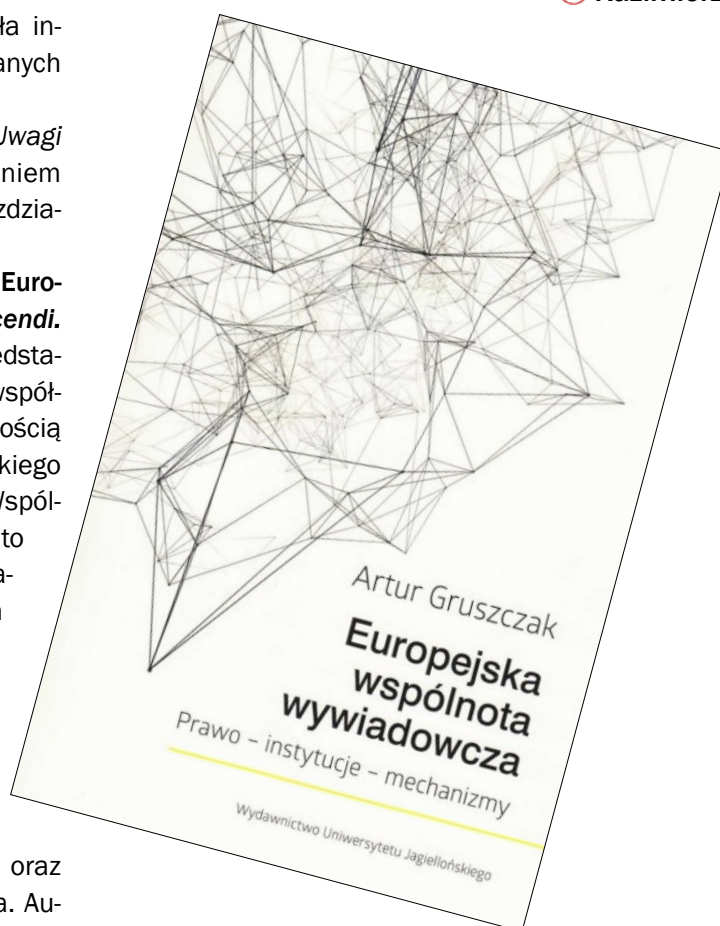
Europejska agencja graniczna Frontex jest tytułem ostatniego rozdziału monografii i stosunkowo obszernie omawia funkcjonowanie instytucji, strukturę organizacyjną, Europejski System Ochrony Granic (EUROSU), metody analizy wywiadowczej, źródła informacji, środki komunikacji, przetwarzanie danych oraz produkty wywiadowcze Frontexu.

Każdy rozdział jest zamykany częścią pt. *Uwagi końcowe*, będącą swoistym podsumowaniem i uzupełnieniem zawartych w poszczególnych rozdziałach informacji.

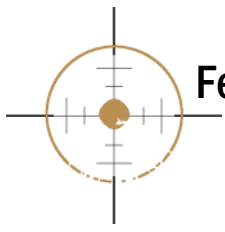
Książkę zamyka obszernie **Zakończenie – Europejska wspólnota wywiadowcza in statu nascendi**. Jednym z wniosków końcowych autora jest przedstawienie podstawowego ograniczenia rozwoju współpracy wywiadowczej związanego z nadrzędnością postanowień zapisów traktatu waszyngtońskiego (powstanie NATO) nad prawnymi podstawami Wspólnej Polityki Bezpieczeństwa i Obrony UE. Ponadto występuje zależność unijnych instytucji wywiadowczych od systemów technicznych i informatycznych Paktu Północnoatlantyckiego. Wynikiem jest operacyjna zależność od NATO. Monografia autorstwa dr hab. Artura Gruszcza jest pierwszym polskim kompleksowym opisem i analizą funkcjonowania instytucji wywiadowczych UE. Jej wartością jest syntetyczne ujęcie omawianej problematyki oraz wskazana w bibliografii obszerna baza źródłowa. Autor sprawnie uchwycił pewien moment kształtowania się wspólnoty wywiadowczej UE, której struktura nie jest odbiciem narodowych organizacji wywiadowczych oraz technik i metod ich działania. Ma być nową jakością antycypującą zagrożenia i przewidującą ryzyka w obszarze polityki bezpieczeństwa UE.

Dzieło jest doskonałym źródłem informacji dla studentów politologii (stosunków międzynarodowych), kierunku bezpieczeństwo czy słuchaczy szkół wojskowych oraz kursów służb specjalnych. Autor w sposób możliwie przystępny przedstawia tę skomplikowaną problematykę. Opracowanie powinno stanowić również lekturę obowiązkową dla europarlamentarzystów czy posłów (senatorów) zajmujących się problematyką Unii Europejskiej oraz bezpieczeństwa zewnętrznego Polski. Zrozumienie treści i przyswojenie wiedzy zawartej w monografii ułatwiają zawarte w niej, dobrze dobrane, stosunkowo liczne schematy i wykresy. Zachęcamy do lektury.

 **Kazimierz Kraj**



A. Gruszczak,
Europejska wspólnota wywiadowcza
Prawo – instytucje – mechanizmy,
Kraków 2014,
ss. 310.



Ze wspomnień emeryta

Pomysł kącika zrodził się podczas praktyk studenckich w Katedrze Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Dwie studentki kierunku bezpieczeństwa wewnętrznego, zainteresowały się felietonami „Starszego dzielnicowego”, które mają swoją historię nie tylko dlatego, że pokryte były grubą warstwą kurzu. Najpierw odkurzyły zbiór tych felietonów, a następnie utrwaliły w formie umożliwiającej ponowną ich publikację. Niekiedy sformułowały pytania, w kwestiach, które je najbardziej zainteresowały. W naszej ocenie, z uwagi na specyficzny czas, w jakim się ukazywały te felietony oraz poruszaną problematykę, poprzez fakt, że mimo upływu lat, niektóre felietony pozwalają poszerzyć wiedzę jak zwalczano przestępczość kiedyś, warto kontynuować podjętą próbę edukacji na przykładach. Materiały mogą okazać się pomocne w utrwalaniu wiedzy z zakresu szeroko rozumianego bezpieczeństwa uwzględniając dzisiejsze realia. Okoliczność, że do poruszanych kwestii, uwarunkowań prawnych i społecznych uzupełniają nieraz komentarze, do publikowania takich materiałów jeszcze bardziej przekonuje. Zatem zapraszamy do lektury, refleksji i poszukiwaniu innych źródeł informacji odnoszące się do tej problematyki. Redakcja zaprasza do współredagowania kącika, nie tylko studentów związanych z bezpieczeństwem wewnętrznym. Zapraszamy i zachęcamy także tych, którym marzy się dziennikarstwo śledcze oraz inne osoby. Czytelników zapraszamy

do dzielenia się spostrzeżeniami, uwagami oraz opiniami, nie tylko w wymiarze historycznym. Zachęcamy także do zainteresowania się studentów możliwością publikacji własnego artykułu, życząc połamania pióra. Próba wypowiedzenia się w obrębie problematyki poruszanej w biuletynie, może być dla niektórych studentów doskonałym treningiem, przed większym wyzwaniem, to jest pisaniem pracy dyplomowej z takiej lub zbliżonej problematyki. **Miło nam poinformować Państwa, że biuletyn cieszy się coraz to większą popularnością, a w oparciu felietony „Starszego dzielnicowego”, doczekamy się pracy licencjackiej.** Zespół redakcyjny biuletynu trzyma kciuki za pomyślność tego przedsięwzięcia. Z artykułów zamieszczonych w biuletynie e-Teroryzm.pl, korzystają autorzy piszący artykuły o charakterze naukowym oraz studenci piszący prace dyplomowe.

Zapraszamy do lektury. Może tym razem zechce ktoś, podzielić się swoimi refleksjami na ten temat. Tak jak uczyniły to Basia i Ania, były już studentki, które przyczyniły się do przedstawienia zjawisk o charakterze patologicznym w inny niż dotychczas sposób. Dzisiejszy felieton „starszy dzielnicowy” napisał w lipcu 1988 roku.



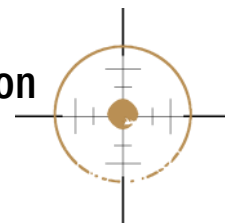
rys. Andrzej Zaręba

Poznali się przypadkowo w Krakowie, w miejscu, gdzie grupuje się element przestępczy. Po krótkiej rozmowie zorientowali się, że mają podobne zapatrywania na życie. Ona, Jagoda F., lat trzydzieści jeden, zamężna w nieudanym związku małżeńskim od samego początku, matka dwojga dzieci w wieku siedmiu i ośmiu lat, pracująca, jako pomoc kuchenna. Opinia z miejsca pracy i zamieszkania negatywna. Od roku 1983 tj. od czasu, gdy mąż odbywał karę pozbawienia wolności, utraciła także władzę rodzicielską, a dzieci umieszczono w domu dziecka. Wódkę i mężczyzn o podobnych zapatrywaniach przedkładała ponad wszystko. On, Mietek S., lat dwadzieścia dziewięć, kawaler, od roku nigdzie nie pracujący, karany sądowo za oszustwa i kradzież mienia

Sposób na życie

prywatnego w 1982 i w 1984 roku oraz za kradzieże z włamaniem. Po pierwszym włamaniu, po osiemnastu miesiącach został warunkowo zwolniony z odbywania reszty kary. Niedługo po tym wyrok był surowszy, trzy lata pozbawienia wolności. Karę odbył w całości, gdyż nie rokował nadziei na poprawę, co potwierdził zresztą początkiem czerwca 1988 r.

Jagoda przysiadła się na ławeczce do ucztującego Mietka i jego kolegi, prosząc o papierosa. Poczęstowali ją papierosem i wódeczką, którą bez wahania wypila. Wnet zrezygnowała z pójścia do pracy, co uroczyście



oświadczyła. Obietnice złożone przez Jagodę oraz sposób prezentowania swoich wdzięków nie przypadł do gustu koledze Mietka. Odchodząc wypowiedział kilka uwag pod adresem damy, co ta skwitowała stosowną odpowiedzią, nie nadającą się do dosłownego przytoczenia. Gdy zostali sami, pociągało ich ku sobie. Jednak prawdziwe uczucie miało nadejść po wypiciu jeszcze czegoś mocniejszego. Z braku pieniędzy przyjemność ta miała być odłożona na później. Mietek zaproponował wyjazd do Dębicy, po towar, który przywieziony do Krakowa dostarczy pieniądze również Jagodzie. Kobieta nie pytając o szczegóły, wyraziła zgodę, a podróż upłynęła w bardzo przyjemnej atmosferze. W Dębicy byli tuż po północy i przez jakiś czas kręcili się po dworcu, aż Mietek zdecydował, że pójdą w stronę nowo budowanych bloków. Po kradzieży pierwszego roweru powiedziała, aby więcej nie kradł. Mietek uspokajał ją, że wszystko będzie w porządku, prosił, aby poczekała na niego przed blokiem, a w razie przybycia milicji miała uprzedzić kompana. Wyszedł jednak po chwili, bo tu nic interesującego nie było. W następnym bloku Mietek znów spenetrował piwnicę, a z jednej z nich, po uprzednim włamaniu się, wyprowadził nowego składaka.


Idąc w kierunku innego bloku zostali zatrzymani przez funkcjonariuszy MO, których dociekliwość sprawiła, że wnet obalili twierdzenie Mieczysława S., że rower jeszcze z metką prowadzi od brata. Czując zbliżającą się chwilę odpowiedzialności za

popęnione przestępstwa, Mieczysław S. podjął próbę ucieczki. Wyrzucona w kierunku funkcjonariuszy latarka elektryczna nie powstrzymała pościgu, kleszcze również były mało skuteczne. Sprawcę szybko zatrzymano. Razem z Jagodą trafili do aresztu. Jeszcze przed przesłuchaniem w charakterze podejrzanego Mieczysław S. oświadczył, że do kradzieży dwóch rowerów się przyznaje. Jest recydywistą, wie co mu grozi za te przestępstwa, do innych kradzieży rowerów nie należy go „przymierzać”, gdyż przyznać się nie przyzna. Rowery chciał sprzedać, a pieniądze przeznaczyć na własne potrzeby. To samo powtórzył do protokołu podczas przesłuchania w Rejonowym Urzędzie Spraw Wewnętrznych, gdzie wszczęto postępowanie przygotowawcze. W prokuraturze, gdzie został doprowadzony z wnioskiem o tymczasowe aresztowanie, skorzystał z ustawowych uprawnień i odmówił składania wyjaśnień. Po zebraniu materiału dowodowego prokurator postanowił tymczasowo aresztować Mieczysława S. podejrzanego o czyn z art. 208 K. K. (kradzież z włamaniem) w związku z art. 60 par. 1 K. K. (określony, jako recydywa szczególna). Jagoda F., biorąca udział w przestępstwie, została zobowiązana do stawiania się cztery razy w tygodniu w Dzielnicowym Urzędzie Spraw Wewnętrznych Kraków-Śródmieście.

O winie i karze zdecydował sąd.

 Starszy Dzielnicowy





Zapraszamy
na stronę
internetową:

www.e-terroryzm.pl

Zobacz także
archiwalne
numery

Internetowy Biuletyn
e-Terroryzm.pl
wydawany jest
od stycznia 2012 r.

Czasopismo tworzą studenci
Wyższej Szkoły Informatyki
i Zarządzania w Rzeszowie,
pracownicy Instytutu Studiów
nad Terroryzmem
i zaprzyjaźnieni entuzjaści
poruszanej problematyki